



# WOJNY WYWIADÓW

Nie uwierzysz, dopóki nie przeczytasz

# Wojny wywiadów



WARSZAWA 2012

# Spis treści

Życie i śmierć według KGB  
Szpiegowski pojedynek  
Porwanie Eichmanna  
Ostatni chan Mongolii  
Dlaczego Polska przegrała kampanie wrześniową?  
Prawdziwa misja fałszywego generała  
Papiescy szpiegowie na dworze chana  
Szpieg, poseł, święty  
Człowiek, który powiedział „nie”  
Szkielety z szafy pana Edisona  
Agent Yeti nadaje  
Serce Bezpieczeństwa  
Agentka w synagodze  
Szyfranci na wojennej ścieżce  
Metryczka książki



# Życie i śmierć według KGB

Mordercy rosyjskiego agenta zostawili za sobą długi ślad radioaktywnego polonu. Mimo to jest mało prawdopodobne, że sprawcy zostaną kiedykolwiek wykryci.

autor Krzysztof Kęciek

**A**leksander Litwinienko konał powolną, bolesną śmiercią. Najlepsi brytyjscy lekarze nie byli w stanie mu pomóc, zabójcy podali bowiem byłemu rosyjskiemu agentowi śmiertelną dawkę radioaktywnego polonu-210. Litwinienko, wysoki, przystojny mężczyzna, pod koniec życia wyglądał jak więzień obozu koncentracyjnego, bez włosów, z gasnącym wzrokiem i zapadniętymi policzkami. Jego zwłoki były tak napromieniowane, że trzeba było pochować je w odpornej na radiację trumnie. Ślady zabójczej promieniotwórczej substancji wykryto w wielu miejscach Londynu, a także w Hamburgu i w samolotach lecących do Moskwy. Idąc tym tropem, Scotland Yard nadal ściga zabójców.

W przyrodzie polon występuje w śladowych ilościach. Można go uzyskać w sposób sztuczny, bombardując bizmut neutronami. Radioaktywny izotop polonu uzyskuje się w reaktorach nuklearnych lub w kosztownych laboratoriach państwowych. Jeden gram tej substancji kosztuje 2 miliony dolarów. Z pewnością więc zleceniodawcy mordu byli wysoko postawionymi lub niezwykle zamożnymi ludźmi.

Komentatorzy zastanawiają się, czy rozkaz zlikwidowania „zdrajcy” nadszedł z Kremla, czy też 43-letni Litwinienko padł ofiarą swych dawnych kolegów, którzy wymknęli się spod kontroli. Bez względu jednak na to, jak potoczy się śledztwo – jedno nie ulega wątpliwości: wrogowie rosyjskich służb specjalnych zazwyczaj nie żyją długo.

---

W swojej pracy Litwinienko stosował tak samo bezwzględne metody jak te, których padł w końcu ofiarą.

---

## **Kariera agenta**

Zabójstwo zostało przeprowadzone w sposób, którego nie powstydziliby się autor szpiegowskich thrillerów. Zresztą całe życie ofiary nadaje się do takiej powieści. Aleksander Litwinienko, przez przyjaciół zwany „Szaszą”, od 18. roku życia służył w armii radzieckiej i zdobył uznanie przełożonych. Po ośmiu latach został przyjęty do KGB, osławionej radzieckiej służby bezpieczeństwa. Kiedy imperium rozpadło się, Litwinienko trafił do Federalnej Służby Bezpieczeństwa (FSB), następczyni KGB. Otrzymał stopień podpułkownika i pracował w Departamencie 7., odpowiedzialnym za zwalczanie przestępczości zorganizowanej. Później opowiadał, że zadaniem Departamentu 7. było rekrutowanie potężnych biznesmenów i najemnych morderców. „Działaliśmy według zasady problemów – jeśli rząd miał problem, musieliśmy go rozwiązać”. Co to oznacza? Ni mniej, ni więcej tyle, że agent Litwinienko stosował metody, których sam padł potem ofiarą.

Nieraz twierdził, że otrzymał rozkaz zlikwidowania pochodzących z Kaukazu wierzycieli wysokiej rangi oficera FSB, a także, że polecono mu zabić Michaiła Triepaszkina, funkcjonariusza Federalnej Służby Bezpieczeństwa, który zbyt swobodnie opowiadał o działalności „resortu”. Według Litwinienki Departament 7. przeprowadził całą serię potajemnych egzekucji przeciwników rządu od 1997 roku, kiedy szefem FSB został późniejszy prezydent Władimir Putin. Polityków i biznesmenów zabijano w lasach i na ulicach.

W 1998 roku rosyjski agent wystąpił na niezwyklej konferencji prasowej – oskarżył przełożonych, że wydali mu rozkaz zgładzenia oligarchy Borysa Bierzowskiego, miliardera, który zbił fortunę podczas ekonomicznego chaosu lat 90. i należał wówczas do elity

władzy na Kremlu. Za tę śmiałość Litwinienko trafił do więzienia. Spędził za kratami dziewięć miesięcy, lecz, o dziwo, został uniewinniony.

W 2000 roku zbiegł do Wielkiej Brytanii. Logiczne było, kogo wybierze na nowego promotora. Związał się z Borysem Bierzowskim. To właśnie ten oligarcha pomógł Putinowi zdobyć najwyższy urząd w państwie, lecz potem popadł w niełaskę. Ponieważ prezydent Rosji postanowił złamać potęgę ekonomicznych magnatów – Bierzowski ratował się ucieczką do Zjednoczonego Królestwa i stał się bezpardonowym przeciwnikiem Kremla. Po spotkaniu z Litwinienką sfinansował jego demaskatorską książkę FSB wysadza Rosję, wydaną w 2002 roku. Były podpułkownik oskarżył w niej tajne służby Putina o podłożenie bomb w budynkach mieszkalnych w Moskwie i innych miastach w 1999 roku. Zginęło wtedy 246 ludzi, 2 tysiące zaś odniosło rany. O dokonanie tych barbarzyńskich ataków oficjalnie oskarżono rebeliantów czeczeńskich. Rosja rozpoczęła drugą wojnę czeczeńską, dzięki której Putin doszedł do władzy. Jak twierdził Litwinienko – po trupach własnych obywateli.

W kolejnych wywiadach prasowych były podpułkownik FSB wyjawiał coraz bardziej sensacyjne tajemnice – twierdził, że co najmniej dwóch spośród Czeczenów, którzy wzięli zakładników w 2002 roku w moskiewskim teatrze, było agentami FSB. Opowiedział, jak rosyjskie służby bezpieczeństwa szkoliły w Dagestanie egipskiego terrorystę Ajmana al-Zawahiri, zastępcę Osamy bin Ladena. Wielu uważało, że to wysrane z palca teorie spiskowe, za pomocą których rosyjski „zdrajca” usiłuje zwrócić na siebie uwagę.

7 października 2006 roku została zastrzelona w Moskwie krytyczna wobec Kremla dziennikarka Anna Politkowskaja, demaskująca w swych książkach prawdziwe oblicze brudnej wojny czeczeńskiej oraz autorytarnego reżimu Putina, zdominowanego przez byłych kagebistów, wojskowych oraz powiązanych ze światem zorganizowanej przestępczości biznesmenów. Śmiertelne kule dotknęły nieustraszoną reporterkę w windzie. Dla pewności zabójca podszedł jeszcze do krwawiącego ciała, wymierzył w głowę i oddał ostatni strzał.

Aleksander Litwinienko ogłosił, że rozpoczyna śledztwo i zamierza

zdemaskować zleceniodawców tego mordu. Dawał do zrozumienia, że decyzja o usunięciu krnąbrnej dziennikarki zapadła na Kremlu. Nie wiadomo, kto wydał na Poltkowską wyrok śmierci. Być może te same mroczne siły, które zlikwidowały później Litwinienkę.

W październiku 2006 roku do Londynu trzykrotnie przyjeżdżali z Moskwy dwaj byli funkcjonariusze FSB, Andriej Ługowoj i Dimitri Kowtun, którzy za każdym razem spotykali się ze swym dawnym kolegą. Zostawiali też po sobie w hotelach radioaktywne ślady polonu. Po raz ostatni Ługowoj w towarzystwie trzech innych Rosjan przyleciał 25 października lotem British Airways 873. Kowtun przybył samolotem z Hamburga. Byli agenci zamierzali jakoby obejrzeć mecz piłkarski CSKA Moskwa–Arsenal.

### **Trucizna w filizance**

Dla Litwinienki 1 listopada 2006 roku okazał się feralnym dniem. Były funkcjonariusz odbył spacer po Mayfair, jednej z najbardziej ekskluzywnych dzielnic Londynu. W barze sushi Itsu przy Piccadilly Circus spotkał się z włoskim ekspertem od tajnych służb Mario Scaramellą. Włoch pił tylko wodę, Litwinienko zamówił herbatę i zupę misu. Danie podała pochodząca z Polski kelnerka, 22-letnia Elżbieta Małek. Scaramella przekazał swemu rozmówcy dokumenty dotyczące śmierci Poltkowskiej oraz „listę wrogów Rosji”.

Listę tę sporządziła organizacja weteranów KGB „Sława i cześć”, a widniejący na niej ludzie przeznaczeni byli jakoby do likwidacji. Znaleźli się tam podobno Litwinienko, Scaramella, Bierzowski oraz znany rosyjski dysydent i pisarz Władimir Bukowski. Będąc w szpitalu, Litwinienko wysunął podejrzenie, że to Scaramella dosypał mu trucizny do potraw, jednak zdaniem Scotland Yardu do otrucia doszło później. Zamachowcy przez cały czas szli za swą ofiarą jak pies za zwierzyną, czekając na sprzyjający moment – stąd radioaktywny ślad w barze Itsu.

---

„Mój syn został zabity przez minibombę nuklearną” – powiedział po śmierci Litwinienki jego ojciec Walter.

---

Na kolejne spotkanie Litwinienko podążył do ekskluzywnego hotelu Millennium przy Grosvenor Square. Tam, w Pine Bar, umówił się z Kowtunem i Ługowojem. „Szpieg-zdrajca” pił jakoby tylko herbatę, aczkolwiek na stole pojawiła się także butelka dzinu. Zdaniem Scotland Yardu to właśnie tu doszło do zamachu. W zajmowanym przez Rosjan pokoju na czwartym piętrze wykryto później wysoki poziom radioaktywnego polonu. Spiskowcy byli tak niefrasobliwi, że pozwolili, aby jedna kropla wyjątkowo toksycznej, rzadkiej i trudnej do zdobycia substancji spadła na dywan.

Truciznę podano Litwinience w papierosie, lub – co bardziej prawdopodobne – w herbacie. Oficerowie śledczy zidentyfikowali później ślady polonu w filiżance po herbacie oraz w hotelowej zmywarce do naczyń. Siedmiu pracowników baru uległo radioaktywnemu skażeniu, podobnie jak dwóch stróżów prawa. Po spotkaniu w barze Litwinienko był już człowiekiem skazanym na śmierć. Odwiedził jeszcze biuro Bierzowskiego przy Down Street i firmę o nazwie Erinys zajmującą się sprawami bezpieczeństwa. Wszędzie zostawił po sobie radioaktywną smugę.

Jeszcze tego samego dnia poczuł się źle. Początkowo myślał, że dopadła go ostra grypa, lecz objawy stawały się coraz bardziej niepokojące. Były podpułkownik FSB, który w październiku 2006 roku otrzymał brytyjskie obywatelstwo, trafił 4 listopada do londyńskiego Barnet General Hospital, lecz bezradni lekarze nie potrafili postawić diagnozy. Polon czynił spustoszenie w organizmie chorego, niszczył zwłaszcza szpik kostny, produkujący komórki układu odpornościowego i krwi. Symptomy były typowe dla choroby popromiennej – nudności, biegunka, wypadanie włosów. Specjaliści nie wykryli jednak radioaktywności – promienie alfa, emitowane przez polon-210, mają zasięg kilku centymetrów, a trucizna była już w organizmie. 17 listopada system odpornościowy pacjenta załamał się. Litwinienko został przeniesiony do University College Hospital i otrzymał ochronę policyjną. W trzy dni później trafił na oddział intensywnej terapii. Lekarze podejrzewali, że chory został otruty talem, metalem ciężkim



bez zapachu i smaku. Potem wysunięto hipotezę, iż tajemniczą chorobę wywołał koktajl różnych substancji chemicznych.

### **ZABÓJCZY PIERWIASTEK**

Polon odkryty został w 1898 roku przez Marię Curie-Skłodowską, która nazwała ten radioaktywny metal na cześć swojej ojczyzny. Obecnie produkowany jest przede wszystkim w rosyjskich reaktorach atomowych. Ten pierwiastek emituje tak silne promieniowanie alfa, że w ciemności świeci niebieskim blaskiem. Śmiertelne promienie mają jednak niewielki zasięg – najwyżej 5 cm. Polon można śmiało wziąć do ręki – radiacja nie przechodzi przez skórę. Może jednak przedostać się do organizmu wraz z jedzeniem, napojem, w oddechu (np. z dymem zatrutego papierosa) lub przez otwartą ranę. Wtedy na ratunek jest już zazwyczaj za późno. Pierwiastek ten ma stosunkowo krótki okres połowicznego rozpadu – 138 dni. Oznacza to, że metal, którym otruto Litwinienkę, nie mógł być wcześniej długo przechowywany.

Dopiero na kilka godzin przed śmiercią Litwinienki w jego moczu wykryto ślady radioaktywnej substancji. Ale na ratunek było za późno. Były funkcjonariusz FSB zmarł wieczorem 23 listopada. Rodzinie powiedziano, że ciało musi zostać pogrzebane – gdyby zwłoki poddano kremacji, popioły byłyby radioaktywne jeszcze przez 22 lata i tak długo należałoby czekać z pogrzebem. Konający Litwinienko mówił, że jego śmierć jest ostatecznym potwierdzeniem, iż mówił prawdę. Oskarżył prezydenta Putina o zainspirowanie zbrodni: „Udało się panu uciszyć mnie, lecz trzeba będzie za to zapłacić. Okazał się pan tak barbarzyński i okrutny, jak twierdzili najbardziej bezlitośni pana krytycy. Pokazał pan, że nie ma szacunku dla życia, wolności i wszelkich cywilizowanych wartości. Okazał się pan niegodny swego urzędu i zaufania cywilizowanych mężczyzn i kobiet. Udało się uciszyć jednego człowieka, lecz protesty cywilizowanego świata będą docierać do pańskich uszu aż do pana śmierci, mister Putin. Niech Bóg panu przebaczy to, co pan uczynił nie tylko mnie, ale także ukochanej Rosji i jej ludowi”.

### **Śledztwo Scotland Yardu**

Sekcja zwłok wykazała, że do zamachu użyto „bezprecedensowo dużej dawki” izotopu polon-210. Dla organizmu ludzkiego pierwiastek ten jest 250 miliardów razy (sic!) bardziej trujący niż cyjanek. „Mój syn

został zabity przez minibombę nuklearną” – powiedział ojciec Litwinienki, Walter. Elżbieta Małek i jej koleżanki z baru sushi wpadły w panikę. „Od czasu, gdy wyszło na jaw, kim był (Litwinienko) i w jaki sposób umarł, jestem przerażona” – opowiadała Polka i żaliła się, że przyjaciele nie chcą się z nią spotykać z obawy przed napromieniowaniem.

Scotland Yard natychmiast podjął intensywne śledztwo, władze brytyjskie zwołały posiedzenie komitetu kryzysowego. Ślady radioaktywnego polonu wykryto w dwóch samolotach British Airways, które odbyły 221 lotów, m.in. do Frankfurtu, Barcelony i do Moskwy. Brytyjskie Linie Lotnicze skontaktowały się z 33 tysiącami pasażerów, aby sprawdzić, czy nie zostali narażeni na promieniowanie. Niemiecka policja wykryła ślady promieniowania także w hamburskim mieszkaniu Kowtuna oraz w lokalu zajmowanym przez jego byłą niemiecką żonę.

---

Śmierć Litwinienki poruszyła ludzi na całym świecie – wszystkich z wyjątkiem prezydenta Rosji.

---

Dziwiciu funkcjonariuszy Scotland Yardu pojechało do rosyjskiej stolicy, lecz miejscowe władze okazały im niewielką pomoc. Brytyjczycy nie mogli wypytywać świadków, pozwolono im tylko na obecność podczas przesłuchań Ługowej i Kowtun (których brytyjska policja uważała za głównych podejrzanych) trafili do moskiewskich szpitali z objawami choroby popromiennej. W miejscach, w których przebywał Ługowej (ambasada brytyjska w Moskwie i rozgłośnia radiowa Echo Moskwy), również wykryto ślady radioaktywnego polonu. Sprawa stała się jeszcze bardziej tajemnicza, kiedy 24 listopada, w dzień po śmierci Litwinienki, niespodziewanie ciężko zachorował podczas konferencji w Dublinie były premier Rosji Jegor Gajdar. „Przed śniadaniem czułem się znakomicie, w pół godziny później – okropnie” – opowiadał polityk.

Jeden z architektów reform gospodarczych w Rosji nieoczekiwanie

stracił przytomność, doznał krwotoku z gardła i z ust. Irlandzcy lekarze nie zdołali ustalić przyczyn nagłej i dziwnej dolegliwości. Nie udało się to także medykom moskiewskiego szpitala, do którego przewieziono byłego szefa rządu. Na szczęście Gajdar ocalał. Na początku lat 90. ochroniarzem tego polityka był Ługowoj. Były premier Rosji twierdził później, że jeśli to było otrucie, to zamach inspirowały nie rosyjskie władze, lecz ich wrogowie, dążący do zakłócenia stosunków między Rosją a Zachodem. Być może „nieznani sprawcy” postanowili pozbyć się za jednym zamachem trzech „wrogów” – Poltkowskiej, Litwinienki i Gajdara.

### **Szwadrony śmierci**

Rząd w Moskwie odrzucił wszelkie oskarżenia o współudział w zgładzeniu Litwinienki. Prezydent Putin ze swą charakterystyczną kamienną twarzą pułkownika KGB nie wyglądał na przejętego „radioaktywnym” zabójstwem, które wywołało poruszenie na całym świecie. Były oficer FSB Giennadij Gudkow, obecnie członek komitetu Dumy Państwowej ds. Bezpieczeństwa, podkreślił, że państwo rosyjskie nie miało żadnego interesu w likwidacji Litwinienki, zaś inni zbiegowie z KGB, jak Oleg Kaługin, którzy wyrządzili ojczyźnie znacznie większe szkody, spokojnie żyją sobie za granicą.

Prasa rosyjska, z pewnością inspirowana przez Kreml, zaczęła sugerować, że Litwinienko popełnił samobójstwo lub został zlikwidowany na polecenie Bierzowskiego, który pragnął zyskać w ten sposób „męczennika” dla antyputinowskiej opozycji. Pojawiła się też teoria, że podpułkownik zginął, ponieważ wdał się w podejrzanе interesy z rosyjskim układem mafijno-biznesowym i naraził się swoim partnerom.

### **KRAJ NIEWYJAŚNIONYCH MORDERSTW**

Tylko od stycznia do października 2006 roku w Rosji doszło do 3655 zabójstw lub usiłowań zabójstw, które nigdy nie zostały wyjaśnione. Jesienią 2006 roku w przeciągu kilku tygodni „nieznani sprawcy” zamordowali sześciu bankierów. Wśród ofiar znalazł się wicedyrektor rosyjskiego Banku Centralnego Michaił Kozłow. Śmiertelna kula dosięgnęła go 13 września, gdy wychodził z sauny moskiewskiego klubu piłkarskiego Spartak. Kozłow usiłował zaprowadzić porządek w rosyjskim systemie bankowym, używanym przez mafijne syndykaty do prania brudnych pieniędzy.

Także dziennikarze nie mogą czuć się bezpieczni. W 2004 roku w Irkucku został zastrzelony reporter dochodzeniowy Jan Trawinski. Rok wcześniej straszną śmiercią zginął Jurij Szczekoczkin, podobnie jak Anna Politkowskaja pracujący dla dziennika „Nowaja Gazieta”. Szczekoczkin zamierzał napisać artykuł, oskarżający zastępców prokuratora generalnego Rosji o udział w przemyśle broni i mebli na szeroką skalę, badał też pranie brudnych pieniędzy z Rosji w amerykańskich bankach.

Nie zdążył opublikować swych rewelacji – po spotkaniu z agentami FSB zapadł na tajemniczą chorobę, skóra odpadła mu od ciała, nastąpił obrzęk mózgu i zgon. Oficjalnie za przyczynę śmierci uznano „reakcję alergiczną”, aczkolwiek redaktorzy „Nowej Gaziety” są pewni, że ich kolega został otruty. Próbkę krwi Szczekoczkina zaginęły bez śladu w ministerstwie spraw wewnętrznych.

Brytyjscy oficerowie śledczy przypuszczali, iż prezydent Putin lub inni najwyżsi przywódcy Rosji nie ponoszą odpowiedzialności za zamach. Ostatecznie, jaką korzyść miałyby odnieść ze śmierci Litwinienki „oficjalna” Moskwa, poza międzynarodowym skandalem? Być może „zdrajcę” zgładzili, działając na własną rękę, funkcjonariusze rosyjskich służb specjalnych. Reżyser Andriej Niekrasow, przyjaciel Litwinienki, który spędził cztery dni przy łożu umierającego, powiedział: „Zapewne za zbrodnię ponoszą odpowiedzialność sojusznicy Putina, którzy chwalą się w swych saunach i daczach, że mogą zlikwidować każdego, kto im się nie podoba, i to w każdym miejscu na świecie”. Być może te ciemne siły usiłują nie dopuścić do zbliżenia między Rosją i Zachodem. Moskiewski dziennik „Kommiersant” spodziewa się dalszych zamachów, będących dziełem złowroziej sieci służb specjalnych, potajemnie rządzącej Rosją. Strukturze tej, „która zamiast podwójnej helisy DNA ma podwójną helisę KGB”, chodzi wyłącznie o utrzymanie wpływów i władzy. W razie konieczności ten ponury układ może poświęcić nawet Putina, kiedy ten okaże zmęczenie i słabość. „Struktura działa bowiem jak wirus, który zabija jednego gospodarza i przenosi się na drugiego” – napisał „Kommiersant”.

Prawdopodobnie prawdziwi zleceniodawcy otrucia Litwinienki nigdy nie zostaną wykryci. Zdaniem wielu komentatorów, przynajmniej pośrednia odpowiedzialność za tę zbrodnię spada jednak na Putina. Prezydent Rosji, sam wywodzący się z KGB, oddał władzę bezwzględny kagebistom i wojskowemu, stłamsił wolność mediów i pozwolił, aby cała seria tajemniczych morderstw uszła sprawcom

bezkarnie.

Wielka Rosja płynąca ropą i gazem, uzbrojona po zęby w broń nuklearną, zaczyna przypominać bananową republikę, w której szaleją inspirowane przez służby specjalne „szwadrony śmierci”.

**Krzysztof Kęciek**

Historyk, publicysta, autor m.in. książki Dzieje Kartagińczyków.



# Szpiegowski pojedynek

Spotkania na kortach tenisowych zaowocowały nawiązaniem przez polski wywiad współpracy z informatorem chętnie sprzedającym tajne dane dotyczące amerykańskich systemów broni.

**autor Krzysztof Kaszyński**

**W**illiam Holden Bell stał w drzwiach hotelu Grauer Bär w Innsbrucku. Spoglądał na szpakowatego mężczyznę, który zadał mu właśnie pytanie: „Czy pan jest przyjacielem Mariana?”. Zbielałymi dłońmi ścisnął w kieszeni płaszcza kasetę mikrofilmu i zastanawiał się, ile ta odpowiedź będzie go kosztowała. I ile dzięki niej zyska.

Po aresztowaniu przez FBI okazało się, że to jedno „tak”, wypowiedziane przez Williama Holdena Bella w obecności oficera polskiego wywiadu kosztowało go osiem lat więzienia. Dla jego przyjaciela – Mariana Zacharskiego, współpracownika, a później oficera wywiadu polskiego MSW – wyrok był o wiele surowszy. Sędzia sądu federalnego w Los Angeles skazał Polaka na dożywocie, z przewidywanym terminem ułaskawienia 28 czerwca 2011 roku.

Kiedy Zacharski otrzymał uzasadnienie i pokazał wyrok swemu koledze z celi, ten spojrzał na Polaka i powiedział: „Zapomniałeś zapytać o bardzo ważną rzecz i przez tyle lat będzie cię to trzymało w niepewności. Zwolnię cię 28 czerwca 2011 roku – ale rano czy po południu?”. Właśnie w więziennej celi w Memphis swój finał znalazła jedna z najbardziej spektakularnych afer szpiegowskich „zimnej wojny”. Afera, której początek dało przypadkowe spotkanie na kortach Playa del Rey pewnej wrześniowej niedzieli 1977 roku.

## **Szpiegowski gem**

Marian Zacharski mieszkał w apartamentach Cross Creek, które

od zespołu kortów Playa del Rey dzieliło zaledwie kilka minut jazdy samochodem. Cross Creek było miejscem eleganckim, ale jak na Kalifornię mało ekskluzywnym. Mieszkały w nim rodziny menedżerów, naukowców i pracowników administracyjnych zakładów z Doliny Krzemowej, technologicznego centrum USA. Sporo było osób samotnych. Właśnie tam jeden z apartamentów wynajął Marian Zacharski. Korty oraz położony obok nich ekskluzywny klub tenisowy były dla większości mieszkańców Cross Creek miejscem spotkań i odpoczynku po tygodniu ciężkiej pracy.

Właśnie w tym klubie William Bell po raz pierwszy spotkał Zacharskiego. Wtedy jeszcze nie wiedział, jaki wpływ będzie miała na jego życie wydawałoby się niewinna „partyjka” tenisa.

Tej niedzieli stały partner Williama nie miał czasu, żeby wybrać się z nim na kort. Toteż Amerykanin rozglądał się za równie jak on samotnym tenisistą. Jego wzrok padł na wysokiego, jasnowłosego młodzieńca, który z zacięciem trenował serwisy. Ten widok wywołał u Bella ukłucie w sercu. Chłopak przypominał mu bowiem zmarłego tragicznie syna.

Bell bez wahania podszedł do nieznanego i zaproponował mu rozegranie gema. Tak rozpoczęła się znajomość z człowiekiem, który miał odtąd kierować jego losem.

Marian Zacharski, 26-letni absolwent wydziału prawa Uniwersytetu Warszawskiego, do Stanów Zjednoczonych przybył w 1975 roku i przez 6 lat pracował jako dyrektor w będącym filią „Metalexportu” przedsiębiorstwie „Polish-American Machinery Corporation”, czyli Polamco, z siedzibą w Elk-Grove Village w stanie Illinois. Ten stan był bazą wypadową polskiego wywiadu w USA od wczesnych lat 50.

W Chicago mieściły się biura LOT i ekspozytury polskich przedsiębiorstw eksportujących do USA i Kanady, tu funkcjonował polski konsul, na chicagowskim Jackowie była zgrupowana liczna Polonia – wszystko to stwarzało korzystne tło i pozwalało maskować poczynania wywiadu.

---

Dzięki Zacharskiemu polscy inżynierowie z firmy Polamco instalowali

wyposażenie w tajnym centrum badań nuklearnych w Nevadzie, gdzie wdrażany był właśnie nowy program rozwoju broni jądrowej.

---

Wczesne lata 70. były dla polskich służb specjalnych w USA okresem poszerzania pola tradycyjnych zainteresowań. Przestały się one zajmować wyłącznie szpiegowaniem emigracji na kontynencie amerykańskim i wykradaniem tajemnic politycznych i wojskowych rządu USA. Zaczęły także zdobywać technologie niezbędne dla rozwoju polskiego przemysłu, rozpracowywać instytucje finansowe i gospodarcze Ameryki. Jedną z metod było wysyłanie do USA i Kanady współpracowników i pracowników służb specjalnych jako emigrantów politycznych, by później, już po zaaklimatyzowaniu się w nowym miejscu pobytu, zakładali „zwyczajne, amerykańskie” firmy. Te podstawione firmy kupowały z kolei urządzenia objęte barierami celnymi i zakazem wywozu do państw Układu Warszawskiego, by poprzez kraje trzecie przetransferować sprzęt nad Wisłę.

Inną z metod było zakładanie filii polskich przedsiębiorstw, które w ramach normalnego handlu zdobywały tajemnice potrzebne gospodarce. Takim właśnie przedsiębiorstwem było

Polamco. Firma importowała między innymi polskie obrabiarki i silniki elektryczne na rynek amerykański dla takich firm, jak linie lotnicze United Airlines czy Mobil Oil Company. W zamian polscy technicy instalujący sprzęt mieli dostęp do ściśle pilnowanych miejsc.

Zacharski był bardzo sumiennym pracownikiem. Przez pierwsze miesiące pracy dwoił się i troił, zostawał w firmie po godzinach, zdobywał nowe kontrakty. Dzięki niemu udało się podpisać kontrakt na wyposażenie ściśle tajnego centrum badań nuklearnych w Nevadzie. Ośrodek w okolicach Alamo pracował nad amerykańskim programem rozwoju broni jądrowej. Miejsce było doskonałe – na wschód od drogi między Alamo a Las Vegas znajduje się olbrzymi poligon atomowy określany na mapach mianem Las Vegas Bombing and Gunnery Range.

Jak napisali później w swej książce Być szpiegiem Krzysztof Dubiński i Iwona Jurczenko, urządzenia dostarczono w wymaganym terminie,

a na teren ośrodka wpuszczono nawet dwóch delegowanych przez Polamco inżynierów, którzy je na miejscu instalowali. Sprzętu tego używano potem w Nevadzie podczas procedur technologicznych, przygotowujących do testowania amerykańską broń jądrową.

Kiedy już Zacharski został aresztowany, rzecznik amerykańskiego Departamentu Energetyki zdecydowanie odpierał zarzuty dziennikarzy, że kontrakt ten był kompromitujący dla amerykańskiego partnera. „Nie było żadnej kompromitacji. Za 250 tysięcy dolarów dostaliśmy maszyny, które mogły nas kosztować miliony”. Dla Zacharskiego była to zaś szansa na wykazanie się operatywnością. Czy tylko przed szefami z „Metalexportu” czy też raczej przed oficerami polskiego wywiadu – to jest już do dyskusji. W tym okresie Zacharski z pewnością nie był etatowym szpiegiem. W tamtych czasach rzadko jednak spotykało się dwudziestoparoletniego dyrektora na placówce w USA, który nie miałby związków z wywiadem.

Z praktyki działania służb specjalnych można wnioskować, że w trakcie pracy w warszawskiej centrali „Metalexportu” Zacharskiego zauważył któryś z oficerów wywiadu pracujących w tak zwanej drugiej linii – tych pracowników służb specjalnych, którzy wykonując zadania dla wywiadu, mieli również drugą, „normalną” pracę. Dla swoich znajomych i przyjaciół byli handlowcami, dziennikarzami, podróżnikami, bankowcami, a w rzeczywistości zajmowali się zbieraniem informacji wywiadowczych. I ktoś z oficerów tej drugiej, ukrytej linii zwrócił uwagę na Zacharskiego, namówił go do pracy dla polskiego wywiadu i zaprotegował na stanowisko szefa filii „Metalexportu” w USA.

Bez ryzyka popełnienia większego błędu można założyć, że kiedy Zacharski poznał na kortach Playa del Rey Williama Bella, od razu skontaktował się z osobą, która szkoliła go w szpiegowskim rzemiośle i nadzorowała w czasie pracy w USA. Ta znajomość była dla polskiego wywiadu zbyt cenna, żeby nie wykorzystać Zacharskiego do gry o najwyższą stawkę. W warszawskiej centrali postanowiono, że młody szpieg musi podjąć z Bellem delikatną grę. Dlaczego tak zdecydowano? Na to pytanie najlepsza odpowiedź znajdowała się w dokumentach osobistych Bella. A dokładniej – w rubryce miejsce pracy: „Hughes Aircraft Corporation. Specjalista od radarów

wojskowych”.

### **Szpiegowski set**

W końcu lat 70. i na początku 80. zakłady Hughesa realizowały kilka najistotniejszych z punktu widzenia armii Stanów Zjednoczonych programów zbrojeniowych. Po klęsce w Wietnamie najwyżsi rangą wojskowi amerykańscy postanowili całkowicie zmienić organizację i wyposażenie sił zbrojnych USA. Nowa armia miała być oparta na pięciu supernowoczesnych systemach uzbrojenia, które u progu lat 80. zapewniałyby Amerykanom dominację nad Związkiem Radzieckim przez co najmniej całą dekadę.

Ta „wielka piątka”, jak ją nazwano w Pentagonie, to ściśle tajne projekty – czołgu M1 Abrams, bojowego wozu piechoty Bradley, śmigłowca szturmowego AH-64 Apache, myśliwca F-15 i systemu raketowej obrony przeciwlotniczej SAM-D (Patriot).

Tak jak w produkowanym przez Hughes Aircraft (zakłady w Culver City w Kalifornii) śmigłowcu AH-64 Apache, tak samo i w systemie Patriot oczami całego urządzenia były radary. Dla służb wywiadowczych państw Układu Warszawskiego było jasne, że dotarcie do systemów radarowych działających w obu tych rodzajach broni i rozpracowanie ich pozwoli na oślepienie wartych setki milionów dolarów technologicznych „cudeniek” i pokrzyżuje plany przeciwnika. Dlatego ten przypadkowy kontakt z zajmującym się u Hughesa zastosowaniem radarów Williamem Bellem był tak ważny dla polskiego wywiadu.

---

Instrukcje, przekazane przez przyjaciela z wywiadu, były jasne:  
„Wszelkimi sposobami zaprzyjaźnić się z Bellem”.

---

Tym bardziej że Bell nie był osobą, która zwracałaby na siebie uwagę FBI. W USA ta agencja rządowa nie tylko zajmuje się tropieniem przestępców, ale pełni również zadania, które w innych



państwach wykonują służby kontrwywiadu. I właśnie FBI nie miała najmniejszego powodu, by podejrzewać Bella o nieczne zamiary. Wręcz przeciwnie. Bell mógł uchodzić za wzorzec patriotycznego zachowania.

W wieku 18 lat Bell zaciągnął się do marynarki, służył na pokładzie trałowca, przeżył atak na Pearl Harbor. W czasie II wojny pływał po Pacyfiku, a podczas walk o Iwo Jimę był dwukrotnie ranny. Kiedy skończyła się wojna, Bell postanowił się kształcić i trafił na wydział fizyki Uniwersytetu Kalifornijskiego, skąd prosta droga wiodła do bram zakładów lotniczych Hughesa.

Następnych ponad 30 lat było dla Bella pasmem zawodowych sukcesów. Pracował wciąż w tej samej firmie, był doceniany przez przełożonych. Przyszła jednak końcówka lat 70. i jego wiedza o radarach, zdobyta na początku lat 50., przestała wystarczać. Jeden z jego programów naukowych został zarzucony, zaczął mieć problemy z szefami, poszedł w „odstawkę”. W końcu wysłano go do Europy Zachodniej, by nadzorował prace w zakładach kooperujących z Hughesem. Po powrocie z Europy sytuacja w pracy się nie zmieniła, a nawet było jeszcze gorzej. Do tego doszły kłopoty rodzinne.

W 1977 roku Bell miał 57 lat, właśnie rozpadło się jego małżeństwo – sąd pozbawił go części majątku i oszczędności, zasądził płacenie alimentów, a w dodatku, w wyniku odniesionych w wypadku ran, zmarł jego syn Kevin. Od Bella odsunęli się również przyjaciele, bo po rozwodzie związał się z dużo młodszą Belgijką, którą poznał w czasie pobytu w Europie. I przyszedł dzień, w którym Bell zobaczył na koczku młodego mężczyznę. Traf chciał, że niesamowicie przypominał mu syna.

### **Szpiegowski mecz**

Po pierwszym wspólnie zagrany meczu panowie przeszli do baru. Była piękna wrześnieowa niedziela 1977 roku. Kiedy Bell dowiedział się, że młody człowiek pochodzi z Europy, zaczął opowiadać o swoim pobycie na Starym Kontynencie. Okazało się, że obaj mężczyźni bywali w tych samych miejscach i mieli podobne poglądy na wiele spraw. Bell zaczął się użalać, że jego znajomi nie przepadają za Marią, jego belgijską żoną. Ze w pracy ma problemy z przemądrzałymi młokosami,

którym wydaje się, że wraz z otrzymaniem dyplomu Massachusetts Institute of Technology zjedli wszystkie rozumy, że on jeszcze w wojsku miał do czynienia z radarami i to w czasach, gdy tych szczeniaków nawet nie było w planach rodziców...

Na dźwięk słowa „radar” w głowie lekko wstawionego już Zacharskiego zapaliły się ostrzegawcze lampki. Umówił się z Bellem na następny tydzień. Po powrocie do domu od razu chwycił za telefon i zadzwonił do przyjaciela z wywiadu. Instrukcje były jasne. Wszelkimi sposobami zaprzyjaźnić się z Bellem.

Z tygodnia na tydzień kontakty między Zacharskim a Bellem stawały się coraz bardziej przyjacielskie. Obaj panowie spotykali się na kortach, przesiadywali w klubie. Bell na początku 1978 roku zaprosił Zacharskiego do siebie do domu, przedstawił żonę. Zakrapiane polską „żubrówką” weekendy, obecność w domu młodej żony i młodego przyjaciela, tak bardzo przypominającego mu syna – znakomicie wpływały na samopoczucie Bella.

Panowie spędzali weekendy na długich rozmowach i wizytach w okolicznych barach. Po kilku drinkach nawet problemy w pracy stawały się dla Bella mniej dokuczliwe. Już w trakcie procesu przyznał, że Zacharski stał się dla niego prawdziwym przyjacielem.

Pewnego dnia, zapewne na początku 1978 roku, Zacharski poprosił swojego znajomego o drobną przysługę.

Chodziło o kilka kontaktów handlowych, które ułatwiłyby Polamco sprzedaż maszyn. Bell prośbę spełnił i nie pogardził sumą czterech tysięcy dolarów. W trakcie procesu przyznał, że Zacharski przekazywał mu pieniądze w czasie tenisowych spotkań.

Po kilku tygodniach młody biznesmen przedstawił następną prośbę. Pieniądze od Polaka były dla nadszarpniętego rozwodem i alimentami budżetu domowego Bellów prawdziwym darem niebios. Nic więc dziwnego, że Bell czekał na nowe zamówienia od Polamco.

Była połowa 1978 roku. Firma złożyła nowe zamówienie. Tym razem chodziło o kilka informacji o firmie Bella

– Hughes Aircraft. Polak motywował tę prośbę żądaniem centrali w Illinois. Szefowie chcieli nawiązać współpracę z koncernem Hughesa i potrzebowali danych o przyzwyczajeniach i sytuacji finansowej pracowników.

„Wiesz, ktoś może nam pomóc w interesach” – puszczał oko do Bella młody Polak. Bell nie lubił swoich kolegów z pracy, więc nie miał skrupułów. Obgadał każdego. Znow wziął pieniądze. I znow doskonałym miejscem do zapłaty był klub tenisowy. Następnego dnia Amerykanin nieoczekiwanie zadzwonił do Zacharskiego. „Mogę wpaść do ciebie, Marian?” – padło pytanie. Polak nie miał nic przeciwko. Bell już od progu wyłuszczył, z czym przychodzi. „Po co któryś z tych młodych narwańców ma zarabiać, współpracując z Polamco. Jeśli ktoś ma zarobić, to chyba lepiej, żebym to był ja, prawda?”

---

Dla Bella, którego budżet był znacznie nadwreżony rozwodem i alimentami, pieniądze od przyjaciela z kortów stanowiły prawdziwy dar niebios. Dlatego Amerykanin chętnie wynosił kolejne, nawet ściśle tajne informacje.

---

Marian i tym razem nie miał nic przeciwko. W dodatku miał już dla Williama posadę. Bell pewnie byłby zdziwiony, gdyby wiedział, że kilka dni wcześniej kolega Zacharskiego z polskiego wywiadu (w swojej książce John Barron wspomina nazwisko Anatoliusza Inowolskiego, oficera wywiadu MSW, a oficjalnie pracownika Biura Radcy Handlowego w Nowym Jorku) przewidział w rozmowie z centralą w Warszawie, że właśnie taka będzie reakcja Amerykanina.

Nic więc dziwnego, że Zacharski miał dla Bella gotową propozycję – zaoferował mu stanowisko stałego konsultanta w Polamco. Oznaczało to solidny comiesięczny zastrzyk gotówki...

Bell opowiadał na procesie: „W tym czasie wszystkie mieszkania w naszym domu musiały zostać wykupione przez lokatorów, co wymagało niemałej inwestycji 80 tysięcy dolarów. Marian zapytał, czy zdecydowałem się na zakup. Musiał wiedzieć, że nie dysponuję niezbędną gotówką. Stwierdził, że na pewno będzie mógł mi pomóc finansowo a conto mojej przyszłej pracy dla Polamco. Niebawem zastukał i wręczył mi kopertę pełną pieniędzy”. Bell z wdzięczności

przekazał Zacharskiemu pierwszy tajny dokument – kilkadziesiąt stron materiałów oprawionych w twarde okładki z nadrukiem: „Zamaskowane systemy artyleryjskie przystosowane do trudnych warunków atmosferycznych”. Opracowanie było ciekawe z punktu widzenia wywiadu, ale nie zawierało żadnych informacji o przyspieszającym bicie serca znaczeniu.

Zacharski miał więc dla Bella nowe zadanie. Tym razem chodziło o sfotografowanie kilku firmowych, niezbyt tajnych dokumentów. Zacharski przyniósł Bellowi aparat fotograficzny i obiecał nowe pieniądze. Bell aparat wziął i wykonał zadanie. Padła ostatnia psychiczna bariera. William Holden Bell został agentem polskiego wywiadu, choć sam jeszcze o tym nie wiedział. Był rok 1978.

### **Do gry wtrąca się Warszawa**

Oficer wywiadu, który kontaktował się z Zacharskim w USA, przekazał Polakowi polecenie z centrali w Warszawie: „Bella przejmują zawodowi pracownicy wywiadu”. Do spotkania Bella z dwójką oficerów wywiadu MSW – jednym z nich miał być według Barrona wspomniany już Anatoliusz Inowolski – miało dojść w czasie wakacji 1978 roku. Zacharski miał ograniczyć swoje spotkania ze starszym Amerykaninem i służyć oficerom wywiadu pomocą jedynie w wyjątkowych wypadkach. Jego ostatnim zadaniem miało być skontaktowanie Bella z Polakami.

Metodę wybrano prostą. Zacharski na kolejnym spotkaniu ze swoim przyjacielem poinformował Bella, że centrala Polamco jest bardzo zadowolona z pracy Amerykanina. Jednakże szefowie chcieliby się z nim spotkać osobiście i przedstawić nową ofertę dobrze płatnej współpracy. Bell jako prezent na spotkanie z Polakami miał zabrać ze sobą mikrofilm z serią kolejnych zdjęć zrobionych w biurze projektowym Hughesa. Tak też się stało.

Do spotkania doszło w Szwajcarii. Tak we wspomnianej książce Dubiński i Jurczenko, cytując innego autora, Johna Barrona i jego pracę KGB dzisiaj, opisują to spotkanie: „Rano, kiedy Bell wychodził z hotelu, podszedł do niego mężczyzna, przedstawił się jako Paul i w bardzo dobrej angielszczyźnie zapytał: »Czy jest pan przyjacielem

Mariana?«. Podczas jazdy samochodem w towarzystwie Paula i drugiego, młodszego polskiego oficera Bell wręczył im trzy kapsułki filmów, zawierające m.in. dokumentację systemów działających w trudnych warunkach atmosferycznych. Zatrzymali się na krótko w centrum handlowym, gdzie młodszy oficer oddał agentowi mikrofilmy w jednym ze sklepów, po czym pojechali w ustronne miejsce u stóp gór otaczających Innsbruck. Obaj Polacy poprowadzili Bella pustą ścieżką, wypytując go o pracę i dostęp do dokumentów u Hughesa”.

---

„Bella przejmą już zawodowi pracownicy wywiadu” – zdecydowała centrala w Warszawie.

---

Ustalono warunki finansowe i sposoby wzajemnych kontaktów. Materiały Bell przekazywał w Wiedniu, Genewie, Los Angeles. Jedno ze spotkań odbyło się 7 maja 1980 roku w Innsbrucku. W wagoniku kolejki linowej Bell przekazał mikrofilm jednemu oficerowi wywiadu, a po wyjściu z drugim omówił warunki finansowania swojej dalszej działalności. W zamian otrzymał obietnicę 60 tysięcy dolarów rocznie na konto w Szwajcarii, a ponadto 3 tysięcy miesięcznie płatnych do ręki. Do tego co pewien czas dochodziły premie specjalne, które miały być przekazywane Bellowi przez Zacharskiego.

W trakcie procesu Amerykanin zeznawał przed sądem: „Zacharski płacił mi złotymi monetami. Umieszczał je w najróżniejszych miejscach, między innymi w mojej torbie tenisowej, gdy szliśmy rozegrać kilka setów”.

Zacharski złote monety przechowywał w domu, w skrytce znajdującej się pod figurką. Skrytka była na tyle duża, by w środku można było schować złoto lub mikrofilmy. Kiedy go aresztowano, FBI prześwietliło figurkę promieniami rentgenowskimi. Zdjęcia potwierdziły istnienie skrytki, otworzono ją więc w specjalnej komorze, by na podstawie analizy składu powietrza znajdującego się w skrytce



udowodnić Zacharskiemu, że właśnie od niego pochodziło złoto znalezione u Bella.

Do momentu zatrzymania przez FBI Bell przekazał polskiemu wywiadowi dwieście ściśle tajnych raportów. W raporcie dla Senackiej Podkomisji Dochodzeniowej eksperci CIA pisali: „Informacje zawarte w tych dokumentach stwarzają zagrożenie tak dla istniejących, jak i zaawansowanych w budowie systemów broni Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników. Zdobycie tych informacji zaoszczędzi rządowi sowieckiemu i polskiemu setki tysięcy dolarów, pozwalając im wprowadzić w życie zaawansowane plany Stanów Zjednoczonych w znacznie krótszym czasie”.

Tenże raport wymienia materiały, do których Zacharski zdobył dokumentację: rakietę sterowaną ziemia-powietrze Patriot, rakietę powietrze-powietrze Phoenix, udoskonalony pocisk ziemia-powietrze Hawk, system obrony powietrznej NATO, radarowe oprzyrządowanie myśliwca F-15, „cichy” radar dla bombowców B-1 i F-117 Stealth, eksperymentalny system radarowy marynarki USA, sonar dla łodzi podwodnych.

### **Przewaga nie tylko na korcie**

Na Amerykanach największe wrażenie wywarła kradzież radarów do rakiet Patriot. Co jeden Polak skradł – wcześniej inny Polak wymyślił. System Patriot jest bowiem dziełem między innymi Juliana Starosteckiego.

Podporucznik Starostecki był żołnierzem Drugiego Korpusu Polskiego. Po wojnie został w Anglii, a kilka lat później wyemigrował do USA, gdzie znalazł pracę w Centrum Badań Thomasa Edisona w Orange. W 1968 roku po sprawdzeniu przez FBI został zatrudniony w Centrum Badań i Rozwoju Projektów Departamentu Obrony USA. Jego nowym miejscem pracy było ściśle tajne laboratorium. Pracował w nim nad taktycznymi głowicami jądrowymi. W 1982 roku został kierownikiem projektu głowicy taktycznego systemu Patriot.

W sierpniu 1993 roku podczas spotkania w Sztapie Generalnym Wojska Polskiego inżynier Julian Starostecki powiedział między innymi: „Informacja o tym, że ukradziono Patriota, była szokiem. W tamtym

czasie była to najlepsza broń przeciwrakietowa”.

Podczas wojny w Zatoce o systemie Patriot było głośno. Wielu komentatorów miało za złe, że rakiety nie dość skutecznie strącają irackie SCUD-y.

To właśnie informacje przekazane przez polski wywiad spowodowały, że Rosjanie wzmocnili rakiety SCUD o powłokę z tytanu. Takie rakiety ZSRR sprzedawał Irakowi. Amerykańskie Patrioty nie mogły ich zniszczyć, gdyż w ładunku miotającym znajdowały się odłamki żeliwne, które nie były w stanie przebić tytanowego pancerza. Jeszcze w czasie operacji „Pustynna Burza” rozpoczęto w rakietach Patriot zmianę składu ładunku miotającego. Odłamki żeliwne zostały zastąpione przez molibdenowe, które radzą sobie z tytanem.

Te sukcesy Zacharskiego i jego przyjaciół z warszawskiej centrali wywiadu nie były dziełem przypadku. Lata 70. i 80. uznaje się za najlepsze dla wywiadu. Szczególnie tej jego części, która zajmowała się zbieraniem informacji naukowo-technicznych, co zaczęło być praktykowane już znacznie wcześniej.

Do klasyki szpiegostwa gospodarczego przeszło zdarzenie związane z pastą do zębów. W 1965 roku firma „Colgate Palmolive” dostała propozycję od urzędnika konkurencyjnej firmy „Procter and Gamble”, który zaoferował szczegóły dotyczące sprzedaży oraz planu kampanii akwizycyjnej nowej pasty do zębów „Crest”. W zamian pan, który życzył sobie, by nazywać go Crest, zażądał 20 tysięcy dolarów. Firma Colgate zgodziła się na spotkanie z owym urzędnikiem na lotnisku Kennedy’ego, o wszystkim poinformowała jednak FBI.

Oto jak opisuje to spotkanie „Sunday Times” z 24 października 1965 roku: „Pan Crest wszedł do jednej ubikacji, pan Colgate był w następnej. Pan Crest poprosił pana Colgate o zdjęcie spodni z 20 tysiącami w kieszeni i wsunięcie ich pod przepierzenie. Gdy ten ostatni to uczynił, pan Crest wyjął z kieszeni spodni pana Colgate pieniądze, a włożył w to miejsce plany, po czym spodnie wsunął z powrotem pod przepierzenie i opuścił ubikację. W drzwiach wpadł prosto w ramiona agenta FBI”.

---

FBI podejrzewało Zacharskiego, ale Amerykanom długo nie udawało się zdobyć dowodów jego szpiegowskiej działalności.

---

Zacharski i Bell w ramiona agentów FBI nie wpadli tak prosto. Do dziś nad ich aresztowaniem wisi olbrzymi znak zapytania. Jak to się stało, że jedna z najważniejszych operacji wywiadowczych w całym Układzie Warszawskim została przerwana przez Amerykanów? Odpowiedzi jest kilka.

### **Przerwany mecz**

Ówczesny bezpośredni przełożony Mariana Zacharskiego z warszawskiej centrali wywiadu, który zgodził się udzielić wypowiedzi pod warunkiem niewyjawiania jego nazwiska, ma na ten temat ugruntowaną opinię: „Pomiędzy wielkimi wywiadami istnieją niepisane reguły gry” – mówi. „Przez wiele lat swego działania polski wywiad tym regułom zawsze się podporządkowywał. Nie było działań, które przekraczałyby te niepisane normy. Nie strzelano do oficerów innych służb, nie rozjeżdżano ich samochodami, jednym słowem nie przekraczano granic tego, co w walce wywiadów można czynić, a czego nie. Robiliśmy co prawda operacje mające na celu skompromitowanie obcych dyplomatów, ale nie mściliśmy się, jeśli ktoś odmówił. Służby amerykańskie też tego nie robiły”.

Aresztowanie Zacharskiego nie było więc przekroczeniem reguł. Nie był dyplomatą, nie posiadał immunitetu, znaleziono dowody jego działalności wywiadowczej. Sprawa z punktu prawa amerykańskiego była czysta. W polskim MSW przeprowadzono tymczasem postępowanie mające wyjaśnić, jak doszło do wpadki Zacharskiego.

Marian Zacharski wpadł w sposób najbanalniejszy z możliwych. Na spotkanie z polskim wywiadowcą jego przyjaciel William Holden Bell przyszedł wyposażony przez FBI w ukryty magnetofon. Nagrał rozmowę, z której niezbitcie wynikało, że Zacharski pracuje dla polskiego wywiadu. W chwilę po tej rozmowie 28 czerwca 1981 roku Zacharski został aresztowany.

Emerytowany oficer polskiego wywiadu uważa, że do aresztowania obu panów przyczyniły się dwa nakładające się na siebie elementy – szczęście FBI i w pewnym sensie niesubordynacja samego Zacharskiego. „Jako współpracownik wywiadu zachował się doskonale” – mówi mój rozmówca „Kiedy poznał Bella, nie przestraszył się, lecz nawiązał z nim kontakt. Ale gdy sprawę przejęli oficerowie polskiego wywiadu, powinien się wycofać i zerwać z Bellem wszelką znajomość. Tymczasem tak nie postąpił. I wpadł przypadkiem”.

Funkcjonariusze FBI próbowali rozpracować Zacharskiego, ponieważ od pewnego czasu podejrzewali go o pracę dla wywiadu MSW. Nie mieli jednak żadnych dowodów, tylko same przypuszczenia. Zgłosili się więc do Bella – jako do amerykańskiego patrioty i znajomego Zacharskiego jednocześnie – żeby im pomógł. Nie mieli wtedy pojęcia, że ten od dawna współpracuje z polskim wywiadem.

Kiedy FBI zjawіło się w jego domu, Bell usłyszał słowa: „Chcemy porozmawiać o pana polskim znajomym Marianie”. Natychmiast zemdlął. Gdy go ocucono, „pęknął” i przyznał się do wszystkiego. Podobno wtedy o mało nie zemdlął z wrażenia agent FBI. Za cenę złagodzenia wyroku Bell zgodził się nagrać rozmowę z Zacharskim.

## **ODKRYCIA WYWIADU GOSPODARCZEGO**

Szpiegostwo gospodarcze stało się fenomenem lat 70. i 80. Niektórzy twierdzą jednak, że pierwszym szpiegiem zainteresowanym technologią był już Prometeusz, który bogom ukradł ogień.

„Wywiad gospodarczy prowadzą dziś najbogatsze kraje świata, można wręcz powiedzieć, że niektóre w dużej mierze jemu zawdzięczają swoją potęgę. Pozyskiwanie obcych tajemnic naukowych i technicznych jest dziś stałym elementem gry ekonomicznej prowadzonej przez małe i wielkie przedsiębiorstwa na świecie” – mówił w styczniu 1990 roku ówczesny szef wywiadu generał Zdzisław Sarewicz. Tylko w 1989 roku polskiemu wywiadowi udało się zdobyć dokumentację, która przyniosła gospodarce korzyści rzędu 500 milionów dolarów. Nie był to jednak jak na międzynarodową społeczność szpiegowską wynik powalający. W 1992 roku francuski kontrwywiad DST stwierdził, że Rosjanie wykradli ich rodzimym firmom technologie wartości około 1,5 miliarda dolarów.

Na wystawie aeronautycznej pod Paryżem w 1973 roku zaprezentowano Concorde'a i Tu 144, ze względu na wręcz bliźniacze podobieństwo złośliwie nazwanego „Concordzki”. Kiedy radziecki ponaddzwiękowiec podczas pokazów rozpadł się w powietrzu, media sugerowały, że konstruktorzy w Bristolu i Tuluzie, świadomi obecności radzieckich szpiegów, tworzyli dwie dokumentacje techniczne. Jedna była prawdziwa, druga – przeznaczona na użytek przemysłu ZSRR.

Jeden z najbardziej spektakularnych przypadków szpiegostwa przemysłowego miał miejsce w 1958 roku, kiedy potężny koncern farmaceutyczny American Cyanamid stracił 120 milionów dolarów. Tylko dlatego, że szef zespołu badawczego w dziedzinie antybiotyków doktor Sidney Fox sprzedał za pośrednictwem innej amerykańskiej firmy niewielką ilość kultur bakteryjnych, które trafiły do włoskich spółek produkujących leki.

Inną wersję wpadki obu panów prezentowali generałowie Czesław Kiszczak i Władysław Pożoga. Ich zdaniem za dekonspirację kalifornijskiej dwójki mógł odpowiadać kapitan Jerzy Koryciński – oficer wywiadu pracujący w pionie naukowotechnicznym, który w 1983 roku uciekł do Szwecji. Według tej teorii Koryciński na długo przed swą ucieczką współpracował z CIA. Na początku lat 70. Koryciński pracował w polskim konsulacie w Chicago i wtedy mógł nawiązać współpracę z amerykańskim wywiadem.

Co prawda Kiszczak zapewniał, że o misji Zacharskiego wiedziały dwie, może trzy osoby, ale o tym, że do centrali polskiego MSW przyjeżdżają pielgrzymki oficerów z pionu naukowo-technicznego KGB, wiedziało już znacznie więcej osób. Rosjanie przyjeżdżali, bo polski wywiad postanowił sprzedać KGB dokumenty zdobywane przez Zacharskiego. Polski przemysł zbrojeniowy niektórych technologii nie był w stanie zastosować, a dla Rosjan były to bezcenne dane. Tak więc informacja, że polski wywiad ma kogoś w amerykańskim przemyśle zbrojeniowym, mogła przez Korycińskiego lub innego szpiega CIA trafić do USA.

Według innej teorii to francuskie służby specjalne miały w radzieckim wywiadzie wtyczkę, która poinformowała Paryż o warszawskich eskapadach oficerów KGB po zdobyte przez Zacharskiego materiały. Francuzi w ramach współpracy z USA mieli przekazać te informacje do Waszyngtonu.

Dziś trudno rozstrzygnąć, która z wersji jest prawdziwa. Prawdę skrywają przepastne szafy archiwów wywiadowczych central w Waszyngtonie, Warszawie czy Moskwie. Jedno jest pewne – 23 czerwca 1981 roku zatrzymany został William Bell, a pięć dni później – Marian Zacharski.

## **Wymiana**

„Podczas procesu, który dla Zacharskiego zakończył się 21 listopada 1981 roku, polski wywiad zapewnił polskiemu wywiadowcy pomoc prawną” – opowiada emerytowany oficer wywiadu. „Wydano na to sto tysięcy dolarów. Wynajęto jedną z najbardziej znanych amerykańskich kancelarii adwokackich”. Kanałami dyplomatycznymi rozpoczęto próby wydobywania Zacharskiego z więzienia. W tej materii, jak w handlu, obowiązuje jednak zasada „coś za coś”. Amerykanie powiedzieli, że wypuszczą Zacharskiego, jeśli Rosjanie uwolnią Szaranskiego – sławnego wówczas dysydenta, dziś ministra w rządzie Izraela – ale KGB nie było tym targiem zainteresowane. Sprawa zaczęła się przeciągać, była jednak stałym elementem rozmów między dyplomatami obu krajów. Po jakimś czasie sytuacja się zmieniła. Polski kontrwywiad zatrzymał kilku szpiegów amerykańskich, na Zachodzie wpadli szpiedzy niemieccy i rosyjscy – jednym słowem można było znów zacząć mówić o wymianie.

---

„Nie strzela się do agentów, nie rozjeżdża się ich samochodami. To taki niepisany kodeks” – powiedział anonimowy oficer polskiego wywiadu.

---

Spotkania negocjacyjne odbywały się to w Berlinie Wschodnim, to w zachodniej części tego miasta. Amerykanie przedstawili listę osób, które chcieliby wymienić. „Bez wątpienia MSZ były tymi instytucjami, które żyrowały wiarygodność negocjacji” – opowiada mój rozmówca. „Ich stroną techniczną zajmował się jednak wywiad NRD-owski i osobiście mecenas Wolfgang Vogel. Mecenas był człowiekiem mocno związanym z wywiadem NRD”.

Ten urodzony w 1924 roku na Śląsku prawnik ukończył uniwersytet w Jenie, by po 1954 roku pojawić się w Berlinie Wschodnim. Jego przeszłość jest owiana mgłą tajemnicy. W świątku wywiadowców mówiono jednak, że jego wysoka pozycja w NRD wynikała z bliżej niesprecyzowanych związków z KGB.

Dość powiedzieć, że w 1962 roku to właśnie on prowadził negocjacje w sprawie wymiany zestrzelonego nad Rosją amerykańskiego pilota szpiegowskiego samolotu U-2 Gary'ego Powersa na szpiega KGB Rudolfa Abła. Wraz z amerykańskim adwokatem Jamesem Britem Donovanem dokonali wtedy przełomu w szpiegowskich obyczajach. Po raz pierwszy nie zlikwidowano szpiegów, ale ich wymieniono.

Mecenas Vogel stanął na moście Glünecke także 11 czerwca 1985 roku, gdy autobus z 25 szpiegami schwytanymi przez kraje Układu Warszawskiego podjechał od strony NRD. Wśród siedzących w autobusie znajdowało się pięciu szpiegów złapanych przez polski kontrwywiad. Byli to Leszek Chrust, Jacek Jurzak, Norbert Adamaschek, Bogdan Walewski oraz słynny szermierz Jerzy Pawłowski.

Zgodnie z regulaminem więziennym pięciu polskich szpiegów, w asyście brygady antyterrorystycznej, na czele której stał Edward Misztal, wyruszyło samolotem z Warszawy dzień wcześniej. Z Okęcia wystartowali około szóstej. W jedną stronę eskortowali więźniów, w drugą mieli przywieźć Zacharskiego.

Od świtu ruch na moście został wstrzymany. Wymiana rozpoczęła się o 10 rano. W Berlinie szpiegów przejęli Niemcy. Polacy zostali wraz z pozostałą dwudziestką z innych państw wsadzeni do autobusu. Z drugiej strony nadszedły samochody osobowe, w których siedzieli szpiedzy złapani przez Amerykanów. Było ich czterech: 34-letni Marian Zacharski, profesor Alfred Zehe pracujący dla wywiadu wschodniemieckiego, Penyu Kostadinov współpracujący z wywiadem bułgarskim oraz Alice Mitchelson, która zdradziła CIA.

„Z kieszeni naszego wywiadu kupiono dla więźniów ubrania” – wspomina mój rozmówca z polskiego wywiadu. „Od skarpetek po płaszcze. Chcieliśmy, żeby elegancko wyglądali”.

W okienku jednego z aut siedzący kilkadziesiąt metrów od mostu oficerowie zobaczyli przez lornetki Mariana Zacharskiego. „Siedzieliśmy w centrum obserwacyjnym” – wspomina mój rozmówca, który jako przełożony Zacharskiego poleciał obserwować wymianę. „Wejście na most było zagrodzone przepierzeniem z blachy falistej. Na moście był mecenas Vogel, który podchodził do każdego z zatrzymanych



i pytał, czy chce przejść na drugą stronę. Więźniowie byli skuci. Do końca obawialiśmy się, że Amerykanie wytną nam jakiś numer i »przekabacą« Zacharskiego. Baliśmy się, żeby Polak już na moście nie oświadczył, że zostaje w USA. To byłby straszny wstyd przed sojusznikami. Na wszelki wypadek tak poprowadziliśmy rozmowę z Pawłowskim, że to on nie wyraził zgody na przejście do Niemiec Zachodnich i zdecydował, iż zostaje w kraju. Gdyby coś się stało z Zacharskim, byłoby 1:1. Zobaczyliśmy, jak Zacharski wysiada z pojazdu, robi kilka kroków i nagle zawraca. Myśleliśmy, że cała wymiana to zręcznie przeprowadzona przez amerykańskie służby wywiadowcze prowokacja. Jeszcze chwila napięcia i Zacharski jednak przeszedł na naszą stronę. Okazało się, że zapomniał bagażu. Dopiero gdy skrył się za blaszanym murem, byliśmy pewni, że jest 1:0 dla nas. Ten szpiegowski mecz wygraliśmy”.

„W około 20 minut po wymianie na moście miałem wreszcie okazję, żeby porozmawiać z Zacharskim. Do tej pory on mnie nie znał osobiście. Spotkaliśmy się w centrum Berlina, w jakimś lokalu, gdzie zorganizowano dla wymienionych wywiadowców skromny poczęstunek. Po trzydziestu minutach jedziemy do willi pod Berlinem, otoczonej zielenią, gdzieś nad wodą. Tam na Zacharskiego czeka żona. Dopiero wieczorem, przy kolacji, zaczynamy omawiać szczegóły. Jak doszło do aresztowania, jak wyglądał pobyt w więzieniu” – wspomina przełożony Zacharskiego.

Kiedy kilka lat później do centrali polskiego wywiadu przybył szef CIA William Webster, by nadać odznaczenia polskim oficerom, którzy w trakcie kryzysu irackiego w 1991 roku pomogli ocalić z rąk Saddama Husajna amerykańskich szpiegów, jedno z pierwszych pytań, jakie zadał, brzmiało: „Co słyhać u Mariana Zacharskiego?”

Informacje wywiadowcze Zacharskiego nie zmieniły losów „zimnej wojny”. Pomogły radzieckiemu wywiadowi zorientować się w amerykańskich nowinkach zbrojeniowych, pomieszały szyki Amerykanom, ale bilansu sił nie zmieniły. Polsce dokonania Zacharskiego przyniosły trochę dolarów, jakie polski wywiad dostał od KGB za opracowania Bella oraz opinię jednej z najbardziej sprawnych służb specjalnych.

---

Polskie służby wywiadowcze obawiały się, że Amerykanie będą chcieli przeciągnąć Zacharskiego na swoją stronę i w ostatniej chwili Polak nie zechce wrócić do kraju.

---

Dlaczego ta historia wciąż intryguje? Jak napisał Tacyt, „Omne ignotum pro magnifico”, czyli: wszystko, co nieznanne, wydaje się wspaniałe.

Po powrocie Zacharski awansował na członka Zarządu Wywiadu, jednocześnie dostał posadę dyrektora Pewexu. Potem został nawet szefem zarządu wywiadu Urzędu Ochrony Państwa. Ta kontrowersyjna nominacja wywołała liczne protesty, Zacharski po czterech dniach złożył rezygnację. Wysłano go do Szwajcarii, gdzie, już w stopniu generała, objął rezydenturę polskiego wywiadu. Po kilku miesiącach został odwołany, ale do Polski już nie wrócił.

**Krzysztof Kaszyński**

dziennikarz, współautor m.in. książek pt. Szpiezy i Kryptonim – Polska.

# Porwanie Eichmanna

W 1960 roku agenci izraelskiego wywiadu uprowadzili z Argentyny Ricardo Klementa. Pod tym nazwiskiem ukrywał się poszukiwany od lat nazistowski zbrodniarz.

**autorzy Andrzej Kaniewski, Paweł Kolanowski**

**P**ierwsze informacje o miejscu pobytu jednego z najbardziej znienawidzonych zbrodniarzy wojennych izraelski wywiad otrzymał we wrześniu 1957 roku. Prokurator generalny Hesji Kurt Bauer powiadomił szefa Mossadu Isera Harela, że były esesman nazywa się obecnie Ricardo Klement i mieszka ze swą rodziną w Argentynie. Wiedzę tę zawdzięczał niewidomemu pół-Żydowi Lotharowi Hermannowi, którego córka poznała chłopaka o nazwisku Klaus Eichmann.

Według Hermanna, Eichmannowie mieszkali w Olivos, północnej dzielnicy Buenos Aires, przy ulicy Chacabuco pod numerem 4261.

W styczniu 1958 roku do Argentyny przyjechał oficer śledczy izraelskiej policji Efraim Hofstetter. Spotkał się z Hermannem i pojechał pod wskazany przez niego adres. Zobaczył ciemną ulicę z nędznymi kamienicami i doszedł do wniosku, że musiała zajść jakaś pomyłka. „W tak biednej dzielnicy nie może przecież mieszkać były nazistowski dygnitarz” – stwierdził w swoim sprawozdaniu, przekazanym szefowi Mossadu. Harel po przeczytaniu raportu Hofstettera zerwał kontakt z Hermannem i o całej sprawie natychmiast zapomniał.

Kiedy przez ponad dwa lata Bauer nie mógł uzyskać żadnej informacji na temat postępów dochodzenia w sprawie Eichmanna, wpadł w złość. Pod koniec lutego 1960 roku przyjechał do Tel Awiwu, by spotkać się z prokuratorem generalnym Izraela Chaimem Cohenem

oraz szefem Mossadu Harelem.

Dopiero osobista interwencja niemieckiego prokuratora pchnęła sprawę ścigania Eichmanna na właściwe tory, stając się impulsem do rozpoczęcia jednej z najbardziej spektakularnych akcji służb specjalnych w historii.

### **1 marca 1960 roku**

Do Buenos Aires przybywa doświadczony agent Mossadu Zvi Aharoni. Cel jego misji: sprawdzenie, czy w domu przy Chacabuco 4261 w dzielnicy Olivos rzeczywiście zamieszkuje Adolf Eichmann alias Ricardo Klement. Aharoni nawiązuje kontakt z niejakim Yossefem – pracownikiem ambasady i emerytowanym oficerem służb specjalnych, który zajmie się m.in. werbunkiem miejscowych ochotników. Ich pomoc w wytropieniu Eichmanna okaże się bezcenna.

Aharoni szybko ustala kilka istotnych faktów. Przede wszystkim przy Chacabuco rzeczywiście mieszkał z rodziną jakiś Niemiec. Ale jeśli nawet był to Eichmann, to i tak właśnie wyprowadził się na północne przedmieścia Buenos Aires, prawdopodobnie do San Fernando. Agent dowiaduje się także, że niedaleko znajduje się warsztat samochodowy, w którym pracuje syn owego Niemca.

Aharoni wysyła do warsztatu Juana, jednego z młodych ochotników podesłanych mu przez Yossefa. Chłopak poznaje tam jasnowłosego dwudziestolatka imieniem Dito, który wyznaje mu, że niedawno przeprowadził się razem z rodzicami „na północ”.

Agent domyśla się, że Dito to jeden z młodszych synów Eichmanna, imieniem Dieter. Postanawia go śledzić, by dotrzeć do nowego domu byłego hitlerowca. Raz dojeżdża za nim aż do granic San Fernando, ale jest już ciemno i młody mechanik jadący na motorze znika mu z oczu. Innym razem zatrzymuje go powolny i długi kondukt pogrzebowy. Aharoni i Juan jeszcze kilka razy śledzą Dietera, nie udaje im się jednak namierzyć jego domu. Aharoni popada w zwątpienie. „Może idziemy fałszywym tropem?” – rozmyśla.

---

Już po trzech tygodniach pobytu w Buenos Aires agent Mossadu Zvi

Aharoni odnalazł ukrywającego się Eichmanna.

---

## **12 marca**

Tego dnia następuje prawdziwy przełom. Aharoni ponownie wysyła Juana do kamienicy przy Chacabuco. Po południu spotykają się w kawiarni w pobliżu ambasady izraelskiej. Juan sprawia wrażenie przybitego. „Mam dla pana złe wiadomości” – wyznaje zmartwiony. „Cała praca poszła na marne. Tropiliśmy nie tego człowieka”. Aharoni patrzy na niego z przerażeniem. Nie może wykrztusić słowa. „Nie nazywa się Klement” – ciągnie Juan. „Jego nazwisko brzmi Ajczman”. Słyszając to Aharoni o mało nie podskakuje z wrażenia. Uśmiecha się do Juana, który zupełnie dezorientowany dodaje, że Niemiec mieszka przy Garibaldiego 14.

Aharoni jest przekonany, że odnalazł Eichmanna. Zanim jednak powiadomi centralę w Izraelu, musi mieć stuprocentową pewność. Kolejnego dowodu dostarcza mu zaprzyjaźniony architekt, który zbiera informacje w siedzibie lokalnych władz dzielnicy San Fernando. Okazuje się, że właścicielką domu przy Garibaldiego 14 jest niejaka Veronica Catarina Liebl de Fichmann, ostatni adres: Chacabuco 4251, Olivas.

Mimo drobnych różnic, Aharoni nie daje się zwieść: „Liebl” to panińskie nazwisko żony Eichmanna, a to, że zamiast E w drugiej części nazwiska widnieje F, zaś numer przy ulicy

Chacabuco różni się o jedną cyfrę od prawdziwego, dowodzi – jego zdaniem – że Eichmannowie próbują mimo wszystko się ukrywać.

## **19 marca**

Aharoni znów pojawia się w San Fernando. Jest sobota i ma nadzieję zobaczyć Niemca. Kilka razy przejeżdża ulicą Garibaldiego. Wreszcie przed domem numer 14 dostrzega mężczyznę, zdejmującego upraną bieliznę ze sznura. To „średniego wzrostu pięćdziesięciolatek z wysokim czołem i częściową łysiną”. Aharoni ma już pewność – to Eichmann.

Kilka dni później Aharoni wraca do Izraela. Włącza się do prac specjalnej grupy, której zadaniem będzie uprowadzenie Eichmanna z Buenos Aires i przewiezienie go do Tel Awiwu.

---

„Tropiliśmy nie tego człowieka” – powiedział Juan ze smutkiem. „Nie nazywa się Klement, jego nazwisko brzmi Ajczman”.

---

## **24 kwietnia**

Aharoni ponownie przylatuje do Buenos Aires, a razem z nim jego współpracownicy z Mossadu: Jakow Gat, zwany Jankele, oraz Avraham Shalom. Na miejscu jest już Efraim Ilani. Ta czwórka stanowi „przednią straż, mającą zbadać sytuację na miejscu i ocenić, czy warunki sprzyjają realizacji głównego zadania”. Z czasem pojawiają się kolejni członkowie ekipy: Icchak Neshet, Zeev Keren, Zvi Malchin (Zvika) oraz dowódca grupy Rafi Eitan i sam szef Mossadu Iser Harel. Do grupy należy również lekarz – jego nazwisko nie jest znane, Aharoni nazywa go „Doktorem”.

Przez pierwsze dni Eitan i jego ludzie zajmują się przede wszystkim obserwacją domu przy Garibaldiego oraz poznawaniem rozkładu dnia Eichmanna i jego rodziny. Przekonują się, że w każdy dzień powszedni był esesman wraca do domu autobusem linii 203 z San Fernando, zawsze o 19.40, a następnie pokonuje wciąż tę samą trasę od przystanku do swego domu. To przesądza o miejscu i godzinie przeprowadzenia akcji, natomiast konkretna data zostanie ustalona dopiero, gdy grupa operacyjna będzie już dysponować bezpiecznymi lokalami oraz samochodami.

Agenci wynajmują dwa duże domy i trzy mieszkania w Buenos Aires. Domy są oddalone o ponad 10 kilometrów od San Fernando, mają dogodny dojazd do lotniska. Jedna z willi zostaje oznaczona kryptonimem Maoz, co po hebrajsku oznacza warownię, będzie służyć za bazę operacyjną. W drugiej, o kryptonimie Tira (pałac), będzie

przebywał Eichmann aż do opuszczenia Argentyny.

Muszą mieć także dużą, elegancką, pozbawioną wgnieceń na karoserii amerykańską limuzynę. Na argentyńskim rynku w roku 1960 zdobycie jej graniczy niemal z cudem.

W końcu jednak Neshet znajduje czarnego czteroletniego buicka, który po gruntownej kontroli i kilku niezbędnych naprawach nadaje się do akcji. Drugi samochód to wysłużony, ale sprawny chevrolet – będzie służył jako wsparcie.

## **6 maja**

Agenci mogą wreszcie rozpocząć szczegółowe planowanie samej akcji. „Postanowiliśmy, że poczekamy na Eichmanna pomiędzy przystankiem autobusowym a domem” – wspomina Zvi Aharoni. „Avraham poprowadzi drugi wóz. Zaparkuje przy moście kolejowym i włączy reflektory w chwili, gdy Eichmann wysiądzie z autobusu. Oślepi go w ten sposób i utrudni zobaczenie pierwszego wozu oraz jego pasażerów. Od początku było jasne, że Zvika Malchin i Zeev Keren, nasi dwaj mocarze, zasiądą w pierwszym wozie. Mają obezwładnić Eichmanna i wciągnąć go na tylne siedzenie”. Plan wydaje się prosty i skuteczny, toteż uzyskuje akceptację Harela.

## **11 maja**

Dzień akcji. Po południu agenci sprawdzają jeszcze raz wszystkie trasy przejazdów. Chcą być pewni, że nie ma żadnych remontów czy objazdów. Wszystko wydaje się w porządku.

## **Godzina 19.25**

Aharoni za kierownicą czarnego buicka dojeżdża majestatycznie do skrzyżowania szosy 202 i ulicy Avellaneda. Mija przystanek autobusowy, skręca w ulicę Garibaldię. Wóz toczy się jeszcze około 20 metrów i staje. Aharoni wyłącza silnik. Zvika i Zeev wysiadają, podnoszą maskę i pochylają się nad silnikiem. Eitan leży na tylnej kanapie.

Drugi samochód stoi już przy moście. Zgodnie z planem ma wyłączone światła. Do przyjazdu autobusu jest jeszcze około



kwadransa.

### **Godzina 19.39**

Aharoni spogląda na zegarek, potem na drogę. Panuje absolutna cisza. Mija minuta i nic, potem kolejna. Autobus nie przyjeżdża. Dopiero trzy minuty później słysząc głośny warkot silnika i widać blask potężnych reflektorów. Od strony San Fernando nadjeżdża spóźniony autobus 203. Aharoni oddycha z ulgą, zaciska mocniej ręce na kierownicy. Czeką go jednak kolejna niespodzianka. Autobus nawet nie zwalnia przed przystankiem, mija ulicę Garibaldię i szybko znika za mostem.

Agenci zachowują spokój. Wcześniej zdecydowali, że w takiej sytuacji będą czekać pół godziny na następny autobus. Jeśli się nie pojawi, wtedy odjadą, a akcję powtórzą następnego dnia.

Gdy zbliża się już czas odwrotu, Aharoni zwraca się do Eitana z pytaniem: „Znikamy czy czekamy dalej?”. W odpowiedzi słyszy syk dowódcy: „Czekaj”. Mija zaledwie kilkanaście sekund, gdy nadjeżdża kolejny autobus, który ciężko hamuje przy przystanku.

### **Godzina 20.05**

Z autobusu wysiadają dwie osoby: niewysoka kobieta i średniego wzrostu mężczyzna. Każde z nich odchodzi w inną stronę.

Wieje silny wiatr. Mężczyzna – skulony, w płaszczu mocno ściągniętym paskiem – idzie wolno wzdłuż drogi w kierunku ulicy Garibaldię.

### **Godzina 20.07**

Jest już ciemno i w pierwszej chwili Aharoni nie jest pewien, czy to faktycznie Eichmann. Zaraz jednak w drugim aucie zapalają się reflektory. Gdy mężczyznę dzieli od buicka zaledwie pięć metrów, Aharoni rozpoznaje w nim Eichmanna i włącza silnik.

---

Całkiem zaskoczony przez agentów Eichmann tylko przez chwilę

stawiał opór. W końcu „podał się swojemu losowi”.

---

Nie wzbudza to w Niemcu żadnych podejrzeń. Wciąż tym samym krokiem, nieświadomy niebezpieczeństwa, którego przez tyle lat udawało mu się unikać, zbliża się ku swemu przeznaczeniu. Kilka sekund później, gdy jest już na wysokości przednich kół samochodu, drogę zagraża mu gwałtownie Zvika.

„Momentito” – rzuca w jego kierunku. Zaskoczony mężczyzna zamiera w pół kroku. Skryte za szklami okularów oczy napotyka zimny wzrok Zviki. Niemiec ciągle jeszcze niczego nie pojmuje, kiedy Zvika gwałtownie rzuca się na niego.

Agent stara się złapać Eichmanna za prawą rękę, którą ten trzyma w kieszeni – obawia się, że ma tam schowaną broń. Obaj mężczyźni tracą równowagę i lądują w płytkim, wypełnionym błotem rowie. Eichmannowi spadają okulary i giną w rozmięklej ziemi.

Zvika jedną ręką chwyta Eichmanna za gardło, drugą mocno przyciska jego prawą rękę. Udaje się mu wstać i podciągnąć w górę zaatakowanego mężczyznę, ale poluznia uścisk na jego szyi. Eichmann zaczyna krzyczeć i wyć. „Nic ci to nie pomoże, ty świnio” – myśli Zvika.

Słyszając wrzaski Niemca, Aharoni naciska pedał gazu. Silnik samochodu ryczy na wysokich obrotach i zagłusza nieco dochodzące z rowu okrzyki. Do akcji włącza się Zeev, który głośno krzyczącego i wierzgającego mężczyznę łapie za nogi. Zza kierownicy Aharoni przygląda się tej bezładnej szamotaninie: „Ileż sił może mieć człowiek walczący o życie!” – myśli z niedowierzaniem, zaniepokojony przeciągającą się walką. Odwraca się do Eitana. „Chyba musisz im pomóc” – mówi. Rafi bez namysłu wyskakuje z wozu i dołącza do walczących w rowie mężczyzn. „Chwyciłem go za szyję z taką siłą, że zobaczyłem, jak oczy wychodzą mu z orbit” – wspominał Eitan. „Zacisnąłbym odrobinę mocniej ramię, a zadusiłbym go na śmierć”.

## **Godzina 20.10**

We trzech unieruchamiają w końcu Eichmanna i wrzucają go na tylne siedzenie buicka. Zvika przykrywa mu ręką usta. Zeev opuszcza maskę

auta i tak jak pozostali pospiesznie pakuje się do środka. Aharoni wrzuca jedynekę, dodaje gazu i auto gwałtownie rusza. Po chwili skręca w ulicę Avellaneda i szybko mknie w stronę centrum Buenos Aires. Kierowca wciąż z niepokojem spogląda we wsteczne lusterko, ale nikt za nimi nie jedzie.

Porwany jest spokojny. Nie wrywa się, nie krzyczy. Pozwala założyć sobie na oczy specjalnie spreparowane motocyklowe gogle, zaklejone szeroką, nieprzezroczystą taśmą. Będzie je nosił praktycznie bez przerwy – wcześniej postanowiono, że aż do dnia wylotu do Tel Awiwu Eichmann nie zobaczy żadnego ze swoich strażników i porywaczy, poza Zviką i Aharonim.

Eichmann leży teraz na podłodze samochodu, owinięty kocem i przytrzymywany nogami przez agentów. Potężna ręka Zviki żelaznym uściskiem wciąż knebluje mu usta. Nikt się nie odzywa, napięcie jeszcze nie opadło.

Dopiero po kilku minutach jazdy w kompletnej ciszy odzywa się Aharoni. Mówi po niemiecku do Eichmanna: „Proszę się nie ruszać, a nikt nic panu nie zrobi”. Zaraz potem dodaje jednak ostrzejszym głosem: „W razie oporu pana zastrzelimy!”.

Eichmann zdaje się wierzyć w te groźby. Kiwa głową, potwierdzając, że zrozumiał ostrzeżenie i zastosuje się do wszelkich żądań porywaczy.

## **Godzina 20.20**

Agenci zatrzymują się i zmieniają tablice rejestracyjne ze zwykłych biało-czarnych na dyplomatyczne, niebieskie. Mają także przy sobie doskonale podrobione austriackie paszporty, nie do rozpoznania podczas rutynowej kontroli drogowej.

---

Eichmann zostaje wrzucony do samochodu i skrupowany. „W razie oporu zastrzelimy pana!” – ostrzega Aharoni.

---

Wreszcie zaczynają odczuwać ulgę, a w końcu również radość i satysfakcję. Wierzą, że najgorsze mają już za sobą. Kiedy mijają ich drugie auto, agenci pokazują sobie nawzajem podniesione do góry kciuki.

Zvika zdejmuje rękę z ust byłego esesmana. Rękawiczka jest mokra od śliny. Wtedy Eichmann odzywa się cicho po raz pierwszy: „Poddałem się już mojemu losowi” – mówi po niemiecku. Aharoni odwraca się do Eitana, a jego twarz rozjaśnia uśmiech: „Udało się! Zrobiliśmy to”.

Jeszcze pół godziny jazdy i nie niepokojeni przez nikogo agenci dojeżdżają do wynajętej na kryjówkę willi Tira. Buick wjeżdża do garażu.

## **Z TAJNYCH ARCHIWÓW MOSSADU**

Mossad zręcznie nagłaśnia własne sukcesy oraz ukrywa porażki. Również dzięki temu ma opinię najlepszego wywiadu na świecie.

Oficjalna nazwa tej najbardziej tajemniczej agencji wywiadowczej świata brzmi: Instytut do spraw Wywiadu i Zadań Specjalnych (po hebrajsku Ha-Mossad le-Modiin ule-Tafkidim Meyuhadim). „Instytut” z siedzibą w Tel Awiwie został powołany przez pierwszego premiera Izraela Dawida Ben Guriona w kwietniu 1951 roku. Jest jedną z kilku instytucji tworzących izraelskie służby specjalne. W ich skład wchodzi służba bezpieczeństwa Szin Bet i wywiad wojskowy Aman.

Na czele Mossadu stoi dyrektor, tzw. memun, odpowiadający bezpośrednio przed szefem rządu. Podlega mu około 1200 etatowych pracowników, w tym zaledwie kilkudziesięciu oficerów operacyjnych. W odróżnieniu od większości instytucji wywiadowczych, które swą pracę operacyjną opierają na działalności utajnionych siatek szpiegowskich, Mossad posługuje się pojedynczymi, świetnie wyszkolonymi agentami. Taka struktura zmniejsza ryzyko zdrady. Poza tym zgodnie z doktryną Ben Guriona, że każdy Żyd jest potencjalnym członkiem Mossadu, w dowolnym zakątku świata agenci mogą liczyć na bezinteresowne wsparcie licznych ochotników. Rekrutują się oni z miejscowych społeczności żydowskich i bez ich pomocy wiele tajnych akcji nie miałyby szans powodzenia (na przykład operacja porwania Eichmanna w maju 1960 roku).

Mossad zajmuje się wywiadem zagranicznym oraz operacjami poza granicami kraju. Od początku istnienia cieszy się opinią agencji wyjątkowo skutecznej. Wzbudza szacunek swą bezwzględnością w ochronie interesów państwa żydowskiego i walce z jego wrogami.

Jednym z największych sukcesów Mossadu w pierwszych latach działalności było zdobycie tekstu tajnego referatu Chruszczowa z lutego 1956 roku, w którym przywódca ZSRR opisywał zbrodnie stalinowskie. Przekazanie go Amerykanom umożliwiło ówczesnemu szefowi Mossadu Harelowi podpisanie korzystnej umowy o współpracy między wywiadami Izraela i USA.

W czerwcu 1967 roku Mossad zdobył informacje o rozmieszczeniu egipskiego lotnictwa na Synaju. W zmasowanym nalocie Izrael zniszczył prawie wszystkie z 400 samolotów wroga, przesądzając o swym zwycięstwie w wojnie 6-dniowej.

Swoje najbardziej spektakularne operacje agenci Mossadu przeprowadzali we współpracy z elitarnym oddziałem komandosów Sayeret Matkal. Podlega on Sztabowi Generalnemu izraelskiej armii, ale wspiera także bojowo działania wywiadu, głównie w walce z terroryzmem arabskim: 9 maja 1972 roku – odbicie z rąk bojowników palestyńskiej organizacji al-Fatah samolotu belgijskich linii lotniczych Sabena (operacja Izotop); 10 kwietnia 1973 roku – zniszczenie fabryki broni w Bejrucie, produkującej bomby dla terrorystów z „Czarnego Września” (operacja Wiosenna Młodość); 3 lipca 1976 – brawurowa akcja uwolnienia 83 zakładników samolotu Air France w Ugandzie (operacja Piorun). To tylko kilka z licznych operacji wojskowych Mossadu, w których bezwzględna walka z „wrogami Izraela” była ważniejsza niż prawo międzynarodowe.

Taka sama reguła przyświecała agentom Mossadu w akcji odwetowej za śmierć izraelskich sportowców na Igrzyskach Olimpijskich w Monachium w 1972 roku. Specjalnie powołana grupa zabójców otrzymała zadanie likwidacji terrorystów z al-Fatah i „Czarnego Września”, a także wspierających ich działalność przywódców Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Zginęło wtedy dziewięciu Palestyńczyków, m.in. Wael Adel Zwaiter i Mahmud el-Hamshari – przedstawiciele OWP w Rzymie i Paryżu. Z tą operacją wiąże się jedna z największych wpadek Mossadu. W czerwcu 1973 roku w norweskim Lillehammer zginął niewinny człowiek, którego agenci wzięli omyłkowo za przywódcę „Czarnego Września” Abu Dauda.

W historii Mossadu niepowodzeń jest znacznie więcej, a niektóre z nich stawały się nawet przyczyną napięć międzynarodowych. Tak było z zatopieniem w maju 1967 roku amerykańskiego okrętu zwiadowczego USS „Liberty” na Morzu Śródziemnym. Mossad podejrzewał, że z okrętu prowadzony jest nasłuch izraelskich samolotów szpiegowskich.

Mimo afery z Lillehammer Mossad nie zrezygnował z mordowania wrogów. W kwietniu 1988 roku w Tunisie zginął Abu Dżihad, współzałożyciel al-Fatah.

Po chwili z auta wysiada mężczyzna w goglach. Chwieje się na nogach, wygląda na bardzo przestraszonego – kuli się, drżą mu usta, nerwowo przełyka ślinę. Zvika bierze Niemca pod rękę i przeprowadza do kuchni, potem schodami na pierwsze piętro – do specjalnie przygotowanej maleńkiej sypialni, której obydwa okna są zasłonięte grubymi, pochłaniającymi dźwięki materacami. Eichmann mógłby tu krzyczeć do woli, i tak nikt go nie usłyszy.

---

Operacja przewiezienia Adolfa Eichmanna do Izraela okazała się równie brawurowa, co samo porwanie byłego hitlerowca.

---

Wyposażenie pokoju stanowi łóżko, dwa krzesła i stolik. Więzień staje pośrodku, nadal w płaszczu, z opuszczoną głową, sztywny.

Kurczowo zaciska dłonie – widać, że bardzo się boi.

### **Godzina 21.00**

Eichmann zostaje rozebrany do slipów i ułożony na łóżku. Doktor przystępuje do oględzin. Bada ciało więźnia centymetr po centymetrze – twarz, plecy, ramiona, brzuch. Zagląda do ust w poszukiwaniu kapsułki z trucizną. Szuka blizn, a znalezione porównuje z danymi otrzymanymi z Tel Awiwu. Eichmann ma wiele znaków ułatwiających identyfikację – trzycentymetrową bliznę pod lewą brwią, jednocentymetrową bliznę na żebrach z lewej strony, tatuaż z grupą krwi pod lewą pachą. Blizna na piersiach pokrywa się z informacjami w dokumentach, natomiast pod lewą pachą, tam, gdzie powinna być wytatuowana grupa krwi, znajduje się mała blizna, jak po usuniętym tatuażu.

Także inne dane się zgadzają – wzrost: 1,73–1,75 metra, waga: 70 kg, obwód głowy: 56 cm, włosy: ciemny blond, oczy: niebieskoszare, czaszka: długa i wąska, rozmiar buta: 41.

Po kwadransie Doktor jest pewny – człowiek, którego porwali, to Adolf Eichmann.

Jeśli mają przed sobą rzeczywiście Eichmanna, potwierdzenie muszą otrzymać od niego samego. Do akcji wkracza specjalista od przesłuchań Zvi Aharoni.

### **Godzina 21.15**

Agent od początku koncentruje się na tej jednej sprawie. Pierwsze przesłuchanie trwa blisko czterdzieści minut, Aharoni tak je wspomina: „Zadałem pierwsze pytanie: Pańskie nazwisko? – Ricardo Klement. Jak nazywał się pan uprzednio? – Otto Heninger.

W tym miejscu lekko się speszyłem. Odpowiadał spokojnie, rzeczowo, nie wydawał się nerwowy. Podejrzewałem, że ten człowiek – kimkolwiek jest – nigdy się nie przyzna, że jest Adolfem Eichmannem.

Dlatego wybrałem drogę pośrednią dla uzyskania tego samego rezultatu. Pański numer członkowski w NSDAP? – 899895. Pański numer w SS? – 45326. Wszystko to zgadzało się z moimi

informacjami.

Dostrzegłem światełko w tunelu. Data urodzenia? – 16 marca 1906. Miejsce urodzenia? – Solingen. Pańskie nazwisko w momencie urodzenia? – Adolf Eichmann. Opuściłem tunel. Promienny blask słońca. Nie potrafiłem inaczej, musiałem się uśmiechnąć”.

Pierwsza część operacji zostaje pomyślnie zakończona. Zostaje już „tylko” zorganizować bezpieczny przerzut Eichmanna z Argentyny do Izraela. Akcja okaże się równie spektakularna, co samo porwanie.

## **15 maja**

Eitan i Aharoni rozważają kilka wariantów. W końcu decydują, że Niemiec odleci z Buenos Aires samolotem izraelskich linii lotniczych El Al – w przebraniu członka załogi, po podaniu mu wcześniej środka oszałamiającego. Byleby tylko nie dać się złapać. Nie teraz.

## **19 maja, godzina 17.52**

Na lotnisku Ezeiza w Buenos Aires ląduje specjalny samolot izraelskich linii lotniczych El Al „Britannia”, numer lotu 4X-AGE. To najnowocześniejszy, najcichszy i najbardziej komfortowy samolot we flocie El Al. Na jego pokładzie przybywa z wizytą do Argentyny minister spraw zagranicznych Izraela Abba Eban. Oprócz oficjalnej delegacji, na pokładzie jest także dwóch agentów Mossadu, którzy przylecieli pomóc w transportowaniu Eichmanna do Izraela. Minister nie orientuje się, z jakim ładunkiem „Britannia” odleci następnej nocy do Izraela. Operacja jest nadal ściśle tajna.

## **20 maja**

Szefem akcji jest Aharoni. Rankiem udaje się do ambasady Izraela, gdzie czekają już na niego kluczyki do chevroleta na dyplomatycznych numerach oraz izraelski paszport dyplomatyczny. Od tej chwili jest kurierem odwożącym pocztę dyplomatyczną do Tel Awiwu. Według stempli w nowym paszporcie, w Buenos Aires przebywał tylko dwa dni.

Po południu agent informuje Eichmanna, że w nocy odlatują do Izraela. „Przypominam panu o pańskiej obietnicy współpracy” –



mówi tonem ostrzeżenia. „Nie musi się pan obawiać” – odpowiada Eichmann. „Idę z wami dobrowolnie i dotrzymam mojej części umowy”.

Aharoni jest dobrej myśli. Z niepojętych powodów ufa Eichmannowi. Wierzy, że z jego strony nie czeka ich niespodzianka. Nie widzi też innych powodów do obaw. Od zniknięcia „Ricardo Klementa” mija dziewiąty dzień, a nie było ani jednej wzmianki w prasie, ani jednego komunikatu radiowego. Nie pojawił się też żaden sygnał, mogący świadczyć, że argentyńska policja szuka Eichmanna i jego porywaczy.

Rodzina byłego esesmana najwyraźniej nie chciała, by do opinii publicznej dotarł fakt, że od dziesięciu lat przebywa w Argentynie poszukiwany na całym świecie hitlerowski zbrodniarz wojenny. Jedynym problemem mogą się okazać argentyńscy urzędnicy na lotnisku.

### **Godzina 20.20**

W willi, gdzie przetrzymywany jest Eichmann, trwają ostatnie przygotowania do wyjazdu na lotnisko. Eichmann, Doktor i Jankele mają na sobie mundury pilotów El Al. Eichmannowi nie nałożono kurtki, gdyż w jego ramieniu przez cały czas tkwić będzie igła – by Doktor mógł w razie potrzeby zwiększyć dawkę narkotyku.

---

Eichmann jest zrezygnowany: „Nie musi się pan obawiać” – zapewnia Aharoniego. „Idę z wami dobrowolnie”.

---

„To tylko środek uspokajający” – zapewnia Eichmanna Aharoni. „Działa odprężająco. Czeka pana bardzo długa droga. Zastryk pomoże znieść wszystkie niewygody”. Niemiec nie czyni żadnych obiekcji, bez słowa wyciąga ramię. Po kilku minutach środek zaczyna działać. „Jesteśmy gotowi do drogi” – mówi Doktor.

### **Godzina 21.00**

Jankele i Doktor biorą Eichmanna pod ramiona i podnoszą z krzesła. Więzień jest jednak przytomny i porusza się o własnych siłach. Krok za krokiem przechodzą do garażu, sadzają go na tylnym siedzeniu chevroleta. Niemiec milczy, być może pod wpływem środka uspokajającego, a może już nie chce powiedzieć ani słowa.

Dwa samochody, jeden z Eichmannem, drugi z obstawą, mają dotrzeć na lotnisko dokładnie za półtorej godziny. O tej samej porze podjedzie mikrobus z załogą El Al. Eichmann zostanie otoczony przez agentów i wprowadzony na pokład samolotu.

### **Godzina 22.30**

Samochód z Eichmannem wjeżdża bez przeszkód na lotnisko i kieruje się w stronę „Britannii”. Strażnicy przy wjeździe odnoszą wrażenie, że pasażerowie auta odsypiają kilkugodzinną zabawę z alkoholem. Machają do nich przyjacielsko i nie żądają okazania dokumentów. Mimo późnej pory po lotnisku kręci się kilka osób. Nikt nie interesuje się ani autem, ani tym, co się dzieje w pobliżu samolotu El Al.

Po dwóch minutach do samochodu z Eichmannem podjeżdża mikrobus załogi „Britannii”. Oba pojazdy stoją tuż przy schodkach prowadzących na pokład. Pierwsi do samolotu wchodzi kapitan i dwaj członkowie załogi. Reszta otacza samochód.

Po niespełna minucie ktoś z załogi pojawia się w otwartych drzwiach i daje znak, że można wchodzić.

Jankele i Doktor wyciągają oszołomionego Eichmanna z wozu, podpierają go z obu stron i wolno wprowadzają po schodkach do samolotu. Noc, rozjaśniana tylko słabymi światłami, stanowi doskonałą ochronę dla tego momentu operacji. Jego przebiegu nie dostrzega nikt postronny.

Po wejściu na pokład Eichmann zostaje usadzony w pierwszej klasie na miejscu przy przejściu. Za nim sadowi się lekarz. Resztę miejsc zajmują prawdziwi członkowie załogi.

W ramieniu Eichmanna wciąż tkwi igła. „Proszę się zdrzemnąć” – mówi Aharoni. Eichmann odchyła się w fotelu i zapada w sen. Gasną światła. Zostaną zapalone, gdy samolot znajdzie się w powietrzu.

## **Godzina 23.00**

Aharoni oddaje chevroleta pracownikom ambasady, czekającym w sektorze dyplomatycznym lotniska i z dwoma workami poczty wraca do hali odlotów. Informuje Isera Harela o przebiegu akcji. Może już tylko czekać na wezwanie do samolotu i kontrolę paszportową. Dziesięć minut później w hali odlotów zjawia się członek załogi „Britannii”: „Samolot jest na pozycji startowej, mamy zgodę na start” – mówi.

Agenci oraz dwaj wysocy rangą pracownicy El Al, którzy przez ostatnie dni za pomocą drinków i papierosów „urabiali” argentyńskich celników i straż graniczną, by ci sprawnie i łaskawie potraktowali pasażerów i załogę odlatującej w noc „Britannii”, mogliby już wejść na pokład. Jednak funkcjonariusze kontroli paszportowej nie spieszą się z podstemplowaniem dokumentów. Izraelczycy są spięci. Te ostatnie minuty przed odlotem są bardziej denerwujące niż całe porwanie. Czy tylko opieszałością urzędników należy tłumaczyć fakt, że jeszcze nie otrzymali paszportów? A może Argentyńczycy zorientowali się, w czym rzecz? Może przeszukali samolot i znaleźli na wpół przytomnego Eichmanna? Może dać sygnał kapitanowi, by startował, nie czekając na resztę?

## **Godzina 23.50**

Nareszcie zbliża się wysoki, brodaty urzędnik kontroli paszportowej. Uśmiecha się szeroko: „Mam nadzieję, że się nie gniewacie”. Machinalnie wbija pieczątki w paszporty, nie zwracając uwagi na nazwiska, zdjęcia, wizy. Agenci przechodzą do samolotu. Silniki już pracują. „Britannia” rozpędza się i unosi w powietrze. Przed nią ponad 20-godzinny lot do Izraela.

---

Po 20-godzinnym locie z Buenos Aires Eichmann znalazł się w Izraelu. Nic już nie mogło go uratować od stryczka.

---

## **22 maja, godzina 7.35**

„Britannia” kołuje na lotnisku Lydda w Tel Awiwie. Dzień jest bezchmurny i dość upalny. Adolf Eichmann, człowiek, który organizował wysyłkę milionów Żydów do obozów śmierci, przybywa do kraju, w którym jego samego czeka śmierć.

## **24 maja**

Trwa sesja izraelskiego parlamentu. Do mównicy podchodzi liczący 74 lata premier Ben Gurion. „Pragnę poinformować Kneset, że jakiś czas temu izraelskie służby bezpieczeństwa odnalazły jednego z największych zbrodniarzy nazistowskich, Adolfa Eichmanna, który wraz z przywódcami nazistowskimi odpowiada za to, co oni nazwali »ostatecznym rozwiązaniem« kwestii żydowskiej. Eichmann znajduje się już w naszym kraju, w więzieniu, i stanie wkrótce przed sądem zgodnie z ustawą z 1950 roku o karaniu nazistów i ich popleczników”.

---

Eichmann skończył mowę pożegnalną i spojrzał na kata. „Jestem gotów” – rzekł. Zapadnia otworzyła się...

---

Tak jak zapowiedział premier Ben Gurion, Eichmann stanął przed sądem. Po ośmiomiesięcznym procesie został uznany za winnego i skazany na śmierć. Odwołanie do Sądu Najwyższego nic nie dało. Również prezydent Ben Zvi odrzucił prośbę o łaskę.

## **31 maja 1962 roku**

Więzienie Ramleh w Tel Awiwie. Kilka minut przed północą Eichmann został wyprowadzony z celi śmierci. Kiedy stawał na zapadni, był spokojny. Powiedział kilka słów pożegnania i zakończył, patrząc na kata: „Jestem gotów”. Kat założył mu pętlę na szyję. Po chwili zebrani usłyszeli stuknięcie otwierającej się zapadni i zobaczyli, jak mężczyzna, pociągnięty niewidzialną siłą, zniknął w otchłani.

Ciało Eichmanna spalono, a prochy rozrzuciono nad Morzem

Śródziemnym.

**Andrzej Kaniewski, Paweł Kolanowski**

# Ostatni chan Mongolii

Najpierw wyzwolił Mongolię spod chińskiego jarzma, potem z kilkoma tysiącami wiernych wojaków próbował nie dopuścić do zniewolenia jej przez bolszewików.

autor **Witold St. Michałowski**

**W** początkach XX wieku Mongolia już od ponad dwustu lat nie była państwem suwerennym. Rządziła nią dynastia mandzurska, sprawująca władzę także w Chinach. Mimo aspiracji niepodległościowych, Mongolia nie potrafiła skutecznie przeciwstawić się trzem wielkim mocarstwom – Chinom, Rosji i Japonii, walczącym o dominację w tym rejonie Azji.

Wprawdzie chińska rewolucja burżuazyjna w 1911 roku otworzyła Mongolii drogę do autonomii, jednak nie udało się Mongołom stworzyć państwa silnego i samowystarczalnego. Przede wszystkim swego poparcia odmówiła Rosja, bojąc się konfliktu z Chinami.

Dopiero po czterech latach doszło do podpisania trójstronnego układu politycznego między Mongolią, Rosją i Chinami. Na mocy umowy, zawartej w mieście Kiachta na pograniczu rosyjsko-mongolskim w czerwcu 1915 roku, Mongolia stawała się państwem autonomicznym pod chińskim protektoratem. Ustrój pozostawał teokratyczny, a na czele rządu stanął Bogdo-gegen – namiestnik mongolskiego Kościoła lamajskiego. Petersburg w końcu tę autonomię uznał.

Okres stabilizacji skończył się w roku 1917 wraz z wybuchem Rewolucji Październikowej w Rosji. Nad państwem Bogdo-gegena ponownie zaczęły zbierać się czarne chmury. Lenin uznał Mongolię za idealny przyczółek, z którego ideologia komunistyczna mogłaby rozprzestrzenić się na cały Daleki Wschód. Szykował się do podboju.

---

Kiedy w październiku 1920 roku Ungern wyruszał na wojnę z Chinami i Sowiecką Rosją, dysponował „armią” liczącą zaledwie 800 żołnierzy.

---

W tym czasie Roman Teodorowicz Ungern baron von Sternberg, młody i dumny oficer carskiej armii, bił się z Niemcami na frontach I wojny światowej. Przez trzy lata walczył wiernie po stronie Rosji, kiedy jednak bolszewicy przejęli władzę i zapowiedzieli zawarcie separatystycznego pokoju z wrogiem, baron uznał ich za zdrajców i swych śmiertelnych wrogów. „Dlaczego Włosi skazują na śmierć członków mafii, dlaczego Amerykanie sadzają na krześle elektrycznym anarchistów i dlaczego ja nie mam tępić bolszewików, morderców ciała i duszy społeczeństwa? Dla sekty morderców tylko śmierć” (te słowa Ungerna cytuje w swej książce Zwierzęta, ludzie bogowie polski pisarz Ferdynand Ossendowski, który spotkał się z baronem w maju 1921 roku w stolicy Mongolii Urdze).

Ungern był przekonany, że rewolucja komunistyczna to początek końca cywilizacji europejskiej. Wierzył, że ludzkość mogą uratować tylko koczownicy Wielkiego Stepu, którzy – jak mówił Ossendowskiemu – „płomienistym mieczem wyrwą z korzeniami przegniłą, rozkładającą się kulturę rasy białej, która zalewa nawet Japonię i Chiny”. Nadszedł czas, by wyparła i zastąpiła ją rasa żółta. Ungern uwierzył nawet, że to właśnie on jest bohaterem opowieści o nadejściu z północy wodza, który odbuduje imperium Dżyngis-chana.

Z takimi myślami pod koniec 1917 roku baron przybył nad jezioro Bajkał, gdzie podobne idee głosił jego przyjaciel z czasów frontowych kozacki ataman Grigorij Siemionow.

Popierający panmongolskie koncepcje Siemionowa Japończycy już w początkach kwietnia 1918 roku wysadzili desant we Władywostoku i w ciągu kilku miesięcy rozmieścili swe wojska na terytorium Rosji – nad Amurem i w Kraju Zabajkalskim, m.in. w mieście Czyta, gdzie

na czele kontrrewolucyjnego rządu postawili atamana Siemionowa.

## **Luty 1919 roku**

W Czycie odbywa się konferencja przedstawicieli narodów mongolskich, którzy podejmują uchwałę o utworzeniu Wielkiej Mongolii „od Mandżurii po Tybet i od Uralu po Wielki Mur”.

Zapędy panmongolistów nie podobają się w Rosji, która mogłaby utracić część swych terytoriów na rzecz nowego państwa mongolskiego. Wykorzystując niezdecydowanie rządu Bogdo-gegena wobec propozycji Japonii, bolszewicy rozpoczynają wśród ludności mongolskiej komunistyczną indoktrynację. W połowie roku w stolicy Mongolii Urdze działają dwie grupy rewolucyjne, kierowane przez rodzimych komunistów – Suche Batora i Czojbałsana. Wkrótce staną oni na czele rewolucji.

---

Ungern zasłużył sobie na miano „krwawego barona” – nawet za najmniejszą niesubordynację potrafił skazać na śmierć.

---

Wydarzenia te zbiegają się z pierwszymi zwycięstwami bolszewików na wschodnim froncie wojny domowej. Armia Czerwona odpięra ofensywę admirała Kołczaka i rusza w głąb Syberii.

### **ROMAN NICOLAUS TEODOROWICZ UNGERN BARON VON STERNBERG**

Urodził się 21 grudnia 1885 roku w austriackim Grazu. Pochodził ze starego rodu Niemców bałtyckich, osiadłych w XVI wieku w Estonii w okolicach Rewla (obecnie Tallin). W jego żyłach płynęła krew niemiecka, węgierska i turecka, wśród przodków miał rycerzy krzyżowych i członków zakonu krzyżackiego, a także rabusiów, piratów i awanturników. W 1908 roku skończył szkołę kadetów morskich w Sankt Petersburgu, nie został jednak marynarzem. Wyjechał na Syberię, gdzie w latach 1910–1913 służył jako sotnik 2. pułku Kozaków Zabajkalskich w stancyi Jekaterinonikolskiej nad rzeką Amur. Zrażony brakiem perspektyw na zrobienie kariery, jesienią 1913 roku rzucił służbę i wyruszył na zachód „w poszukiwaniu śmiałych czynów”. Na wieść o wybuchu I wojny światowej wrócił do Europy. Walczył w armii rosyjskiej od lipca 1914 roku – najpierw w Prusach Wschodnich, potem w Karpatach. „W dziedzinie wojskowości jest świetnym oficerem – nieustraszonym i odważnym” – pisał o Ungernie jego ówczesny dowódca, generał Piotr baron Wrangel.



„W dziedzinie moralnej trzeba mu zarzucić stały pociąg do picia, przy czym nietrzeźwy zdolny jest do czynów niegodnych oficerskiego munduru”. Jednym z takich „niegodnych czynów” było pobicie oficera na początku 1917 roku, za co Ungern został skazany na trzy lata twierdzy.

## **Czerwiec 1919 roku**

Sukcesy militarne Rosji i jej zaangażowanie w sprawy mongolskie bardzo niepokoją rząd w Pekinie, który wysyła do Urgi korpus ekspedycyjny generała Czen-I. Stając przed wyborem mniejszego zła, Bogdo-gegen woli poddać kraj staremu i znanemu imperializmowi chińskiemu niż zaprzedać go nowej, antyreligijnej i antynarodowej ideologii bolszewickiej. W listopadzie ukazuje się dekret o zniesieniu autonomii i oddaniu Mongolii z powrotem pod władzę Pekinu.

Tymczasem wojna z Polską wiąże znaczną część Armii Czerwonej w Europie i jej pochód w kierunku Bajkału zostaje zahamowany. Ośmiela to Japończyków do nowych wystąpień przeciwko bolszewikom. W odpowiedzi Lenin wpada na pomysł utworzenia państwa, które oddzieli Rosję od Japonii.

## **6 kwietnia 1920 roku**

W Wierchnieudyńsku odbywa się „zjazd delegatów mas pracujących”, który proklamuje powstanie Republiki Dalekiego Wschodu (DWR). Nowe państwo liczy zaledwie dwa miliony mieszkańców, lecz jest ogromne – zajmuje przeszło półtora miliona kilometrów kwadratowych, rozciąga się od północnych granic Mongolii do Oceanu Arktycznego i od rzeki Selengi po Kamczatkę. Sukces Lenina jest całkowity – Japonia uznaje DWR i wyprowadza swe wojska z Rosji.

W tym samym czasie w Urdze dochodzi do zjednoczenia kółek rewolucyjnych Suche Batora i Czojbałsana. Komuniści czują się na tyle pewnie, że powołują Mongolską Partię Ludową. Lenin obiecuje pomoc – zarówno finansową, jak i militarną.

Ungern traci sojusznika, na którym opierał swe polityczne plany, a zarazem „zyskuje” wroga jeszcze silniejszego niż dotychczas. Jego sprawa jest już w zasadzie przegrana, o czym on sam jeszcze nie wie.

## **21 września**

Wojska DWR zdobywają Czytę, a ataman Siemionow ucieka na wschód. Z niedobitków jego armii Ungern tworzy Azjatycką Dywizję Konną, która zasłynie później na całą Syberię. Siedzibą dywizji jest Aksza nad rzeką Onon, oddalona 200 kilometrów od Czyty i niecałe 100 kilometrów od granicy mongolskiej. Miejsce to doskonale nadaje się na punkt wypadowy – długiej i ciągnącej się przez górzyste odludzie granicy nikt nie pilnuje, bo też nikt upilnować nie jest w stanie.

Po wycofaniu się Japonii i upadku Siemionowa idee panmongolskie straciły rację bytu, jednak Ungern nie zamierza się poddać. Ma osiem setni kozackich oraz dwa pułki kawalerii (razem około 800 żołnierzy), oprócz tego sześć armat i kilka karabinów maszynowych.

Z tą „potęgą” baron opuszcza Akszę – „ostatni bohater narodowy Mongolii, idealista i fanatyk, który porwał się z motyką na słońce w imię niezrozumiałych dla swych rosyjskich podwładnych idei niepodległości obcego narodu”.

## **2 października**

Z hasłami wyzwolenia Mongolii spod okupacji chińskiej Ungern na czele swej Dywizji Konnej przekracza granicę mongolską i forsownym marszem zmierza na południowy zachód. Kierunek – Urga. Przed ungernowcami trzy tygodnie ciężkiego marszu. W tym czasie tajgę trawi straszliwy pożar. Wojska barona posuwają się wąskim traktem, prowadzącym przez spopieliałe, martwy las. Z tłęcego się jeszcze tu i ówdzie pogorzelniska raz po raz wykwitają języki płomieni. Co pewien czas drogę zagradzają zwały zwęglonych zwierzęcych ciał.

## **24 października**

Pierwsza próba zdobycia z marszu mongolskiej stolicy kończy się niepowodzeniem, podobnie jak druga, przeprowadzona dwa dni później. Chińczycy bronią się zaciekle i nie dopuszczają ungernowców do miasta. Duża część nacierających odnosi rany i obrażenia. Baron nakazuje odwrót kilkadziesiąt kilometrów na wschód i rozbija obóz nad

rzeką Kerulen. Tu postanawia przezimować. Przywiezione zostają jurty dla żołnierzy, dla dowództwa wzniesiono drewniane domki, zbudowana jest nawet ruska bania.

Dni stają się coraz chłodniejsze. Prószy śnieg, wieją przenikliwe, zimne wiatry. W tej części kontynentu azjatyckiego nierzadkie są dni, podczas których temperatura spada do 50 stopni poniżej zera.

Przedłużający się stan zawieszenia broni wpływa na żołnierzy demoralizująco. Wielu marzy o ucieczce z tego piekła, jakim jest służba pod rozkazami Ungerna.

---

Krwawy bój o Urgę trwał kilkanaście dni. Jeszcze przez wiele tygodni później pole bitwy było zasłane tysiącami trupów.

---

Jednak baron żelazną ręką trzyma całą tę żołnierską zbieraninę, która bez jego determinacji rychło rozpadłaby się na luźne bandy maruderów. Nazywają go „krwawym baronem” i rzeczywiście Ungern zasłużył sobie w pełni na ten mało pochlebny przydomek.

Zdarza się pewnej nocy, że oficerowie jednego z pułków potajemnie siodłają konie i uciekają z obozu. Kiedy baron zauważa ucieczkę, wysyła za zbiegami pościg. Zostają szybko dogonieni, większość ginie pod bezlitosnymi ciosami szabel. Pięciu pochwyconych żywcem baron rozkazuje stłuc do nieprzytomności kijami, a następnie dla przykładu powiesić. Dyscyplina i morale w dywizji zostają uratowane, a skład uzupełniają oficerowie z innego pułku.

### **Początek listopada**

Zaraz po wkroczeniu wojsk Ungerna do Mongolii namiestnik chiński w Urdze rozkazał uwięzić Bogdo-gegena. Teraz, aby złagodzić złe wrażenie, jakie wywołał tym posunięciem, poleca zwolnić go z więzienia i umieścić w areszcie domowym w Zielonym Pałacu. Do udziału w rządach dopuszcza przedstawicieli miejscowej arystokracji i duchowieństwa.

Także baron przygotowuje się do starcia – przez całą zimę będzie szukał sprzymierzeńców dla swych planów. Ubrany w żółty terłyk o pagonach ozdobionych swastykami (symbolem Dżyngis-chana), mówiący znakomicie po mongolsku, szanujący lamów i sam będący buddystą – Ungern bez trudu znajduje wspólny język z całą plejadą miejscowych książąt różnych rang i stopni. Feudałowie chętnie nadstawiają ucha, gdy baron obiecuje wypędzić powszechnie znienawidzonych Chińczyków. Cieszą ich także jego zapewnienia, że zjednoczy wszystkie szczepy Mongolii i z pomocą sprzymierzonych ludów Azji podbije Europę, uwalniając ją od „zmory komunizmu”.

Wizje Ungerna znajdują podatny grunt. Krwawe rządy chińskich namiestników, którzy wymuszają ogromne kontrybucje i konsekwentnie egzekwują zaciągnięte u chińskich lichwiarzy długi wraz z odsetkami, wywołują u prostego ludu głuchą nienawiść i żądzą odwetu (według niepełnych danych, w ciągu trzech lat Chińczycy zagrabili co najmniej 30 tysięcy koni, 14 tysięcy wielbłądów, 7 tysięcy sztuk bydła oraz 65 tysięcy owiec i kóz).

Ungerna popiera również duchowieństwo i arystokracja. Po wielu długich biesiadach z udziałem mongolskich lamów i feudałów, obficie obdarowywanych cennymi upominkami, baronowi udaje się ich przekonać do konieczności wspólnego wystąpienia przeciwko chińskim okupantom, a przede wszystkim uwolnienia Bogdo-gegena, którego autorytet w teokratycznym społeczeństwie mongolskim jest ogromny. Książęta ogłaszają mobilizację. Powołują także „rząd tymczasowy Mongolii”, który będzie działać przy sztabie Ungerna. Sam baron zostaje mianowany głównodowodzącym armii. Po całej Mongolii rozjeżdżają się posłańcy z odezwą wzywającą do tworzenia oddziałów zbrojnych do walki z Chińczykami.

## **Połowa grudnia**

Ungern otrzymuje pierwsze posiłki wojskowe z Tybetu. Dowodzi nimi Buriat nazwiskiem Tubanow, człowiek „w pełni cywilizowany”, bo w Wierchnieudyńsku ukończył czteroklasową szkołę powszechną. Jego żołnierze do picia zamiast czarek używają oprawionych w srebro ludzkich czerepów. To dzielne, choć dzikie wojsko pozostanie wierne

Ungernowi i będzie walczyć do końca.

---

Nienawiść do okupantów była powszechna. Pewna kobieta zabiła aż trzech Chińczyków zamarznąłą baranią nogą.

---

Nieco później przybywa jeszcze nowa sotnia kozacka i oddział mongolskiej konnicy ze wschodnich prowincji. Ungern dysponuje teraz około tysiącem żołnierzy i oddziałem karabinów maszynowych.

### **17 stycznia 1921 roku**

Armia Ungerna opuszcza zimowe leże nad Kerulanem i rusza na Urgę. Dzień przed wymarszem baron wydaje zakaz picia alkoholu. Na tę hiobową wieść oficerowie postanawiają ostatniej nocy zabawić się na zapas. Większość upija się do nieprzytomności i niektórzy z nich następnego ranka nie są w stanie dosiąść koni. Ci, którzy mają nieszczęście wpaść w oko baronowi, dostają taszurem przez grzbiet. Największych opojów dowódca zamienia w pastuchów i każe im pieszo gnać bydło na końcu pochodu. Niemniej Dywizja Ungerna nie traci sprawności bojowej i nie niepokojona przez nikogo szybko zbliża się do mongolskiej stolicy.

### **24 stycznia**

Dla zmylenia wroga Ungern postanawia uderzyć na miasto nie od wschodu, lecz od południowego wschodu. Zaskoczenie jest całkowite. W mgnieniu oka ungernowcom udaje się wyprzeć Chińczyków z zajmowanych przez nich pozycji na przedmieściach i obsadzić górujące nad miastem wzgórze. Biorą zdobycz w sprzęcie i amunicji.

W pierwszym dniu oblężenia Chińczycy przenoszą Bogdo-gegena do jednego z klasztorów, znajdujących się na terenie pałacowym. Tam już dzień później duchowy przywódca Mongolii zostaje oswobodzony, i to przez samego Ungerna.

To jednak jeszcze nie koniec walki. Oblężenie ciągnie się blisko dwa tygodnie. Ungern atakuje posterunki chińskie nocą i aby umożliwić atakującym orientację w terenie po zapadnięciu zmierzchu, pali ogniska na zboczach gór. Podtrzymywane są też setki małych ognisk, które utrudniają Chińczykom prawidłowe oszacowanie liczby atakujących.

W walkach o Urgę tracą życie setki żołnierzy obu armii. Po wielu tygodniach pole bitwy wygląda tak, jakby bój zakończył się zaledwie dzień wcześniej. „Olbrzymia przestrzeń stepu była zavalona trupami. Widać było połamane wozy, potrzaskane karabiny. Wszędzie leżały trupy... trupy... setki, tysiące trupów najokropniej rozplątanych od szyi do bioder, z odrąbanymi głowami, ramionami. Straszliwie pocięte twarze, zdruzgotane czaszki, porzrzucone, odcięte od tułowia dłonie składały się na straszliwą ofiarę, złożoną zachłannemu bogu wojny przez dzikie, waleczne wojska barona Ungerna”.

#### **4 lutego**

Urga jest nareszcie wolna. Większość Chińczyków ucieka na północ, z niedobitkami rozprawia się ludność cywilna. Za broń chwytają wszyscy – prości pasterze, bogaci feudałowie, myśliwi, mnisi, słudzy klasztorni. Kilkunastoosobowe grupy nieuchwytnych jeźdźców dzień i noc polują na żołnierzy byłej armii okupacyjnej.

Mongołowie odreagowują lata poniżeń i wyzysku, tępią Chińczyków zawzięcie i bezwzględnie – sławę zdobywa kobieta, która zabiła trzech maruderów zamarniętą na kość tylną nogą barana.

Jednocześnie trwają przygotowania do koronacji Bogdo-gegena. Emisariusze z listami dyplomatycznymi krążą pomiędzy Lhasą, Tokio, Londynem i Waszyngtonem. Ungern szerokim gestem obdarowuje wpływowych książąt mongolskich, tybetańskich i dzungarskich.

#### **15 lutego**

Kiedy wreszcie Bogdo-gegen zostaje oficjalnie władcą Mongolii z prawem do mianowania rządu, baron może na chwilę odetchnąć. Udało mu się zrealizować pierwszą część swych dalekosiężnych planów, czas na etap drugi – ostateczne przegnanie bolszewików

najpierw z Mongolii, a potem z Syberii i całego Dalekiego Wschodu.

Przede wszystkim Ungern musi odświeżyć i powiększyć swoje siły. Z pomocą sprzymierzonych feudałów przeprowadza pobór, bierze także pod swą komendę rozproszone oddziały białogwardyjskie, które od kwietnia operują przy północno-zachodniej granicy mongolskiej. Dozbraja i szkoli wciąż rozrastającą się armię. W ciągu trzech miesięcy jego Dywizja Konna zwiększa stan do około 11 tysięcy żołnierzy, baron ma także 21 dział (większość zdobyta na Chińczykach) oraz 37 karabinów maszynowych. Życie gospodarcze Uрги kręci się wokół armii i jej stale rosnących potrzeb, a nad wszystkim panuje „krwawy baron”.

Ossendowski wspomina: „Gwałtowna natura barona zmuszała wszystkich do pracy. Sam był wszędzie i we wszystko wglądał. Nabijano pociski armatnie i karabinowe, remontowano armaty i inną broń, rozpoczynano fabrykację prochu i gazów trujących, robiono saletrę i terpentynę, którą miano zastąpić benzynę przy samochodach”.

Baron jest zmuszony dokonywać masowych konfiskat na potrzeby wojska – z jego rozkazu służby kwatermistrzowskie rekwirują około 40 tysięcy koni, blisko 5 tysięcy wielbłądów i ponad 120 tysięcy sztuk bydła, owiec i kóz. Z oczywistych względów wywołuje to opór ze strony bezlitośnie grabionej ludności, a także części arystokracji i wysokiego duchowieństwa.

Ungern, którego Bogdo-gegen w dowód najwyższego uznania zasług mianował chanem, nie zdaje sobie sprawy, że te niepopularne działania odbierają mu autorytet i sympatię wśród „swoich”, a co gorsza są bezlitośnie wykorzystywane przez wroga. Bolszewicy, którzy od wielu miesięcy wspierają organizację mongolskich rewolucjonistów Suche Batora i Czojbałsana, właśnie szykują się do kolejnego natarcia politycznego.

## **1 marca**

W położonym na terenie DRW Troickosawsku rozpoczyna się I Zjazd Mongolskiej Partii Ludowej. Partia liczy zaledwie 165 członków (w zjeździe bierze udział 26 delegatów), lecz ma potężnego sprzymierzeńca, który uznał, że stanowi ona poważną siłę polityczną

w toczącej się walce o władzę w Mongolii.

Powstaje mongolska armia rewolucyjno-ludowa, a niedługo potem Tymczasowy Rząd Ludowy, z Suche Batorem i Czojbałsanem na czele. W odezwie do narodu mongolskiego komuniści wzywają do oporu przeciwko Ungernowi: „Białogwardyjskie oddziały rosyjskie z baronem Ungernem na czele, wykorzystując niski poziom kultury i zacofanie ludności Mongolii, pod przykrywką wielkiego hasła wyzwolenia mas mongolskich od jarzma imperializmu chińskiego wkroczyły niespodziewanie do Urgi, siłą zagarnęły władzę w swoje ręce i dokonały niezliczonych zabójstw i aktów grabieży, całkowicie terroryzując ludność. Wyniesiony na święty tron Bogdo-gegen i rząd, który utworzono w Urdze, znajdują się wyłącznie w rękach jednego barona Ungerna. Nie mogą oni kierować wielką sprawą narodu mongolskiego”.

Wielu mieszkańców Mongolii daje wiarę tej zmasowanej propagandzie nienawiści do barona, który w tamtym czasie faktycznie większości prostych Mongołów kojarzy się raczej z konfiskatami, represjami i nędzą niż z wolnością, bezpieczeństwem i dobrobytem.

### **18 marca**

Zaledwie kilkanaście dni po sformowaniu oddziały Suche Batora odnoszą pierwsze zwycięstwo – zdobywają Kiachtę, silnie bronioną przez ponad 10 tysięcy chińskich żołnierzy. Suche Bator zwraca się do rządu sowieckiej Rosji o wsparcie wojskowe i natychmiast je otrzymuje. Sztab Generalny bolszewików kieruje na Daleki Wschód prawie 200 tysięcy żołnierzy.

---

Mimo ogromnej przewagi liczebnej, armia sowiecko-mongolska przez wiele tygodni nie potrafiła ostatecznie pokonać wojsk barona Ungerna.

---



## 15 maja

W Urdze baron szykuje swoją dywizję do wymarszu. Doszły go już wieści o „bratniej pomocy”, jaką bolszewicy obiecali rządowi ludowej Mongolii. Wojna z Rosją stała się faktem, choć Ungern nie spodziewał się, że przyjdzie mu walczyć także z Mongołami. Planuje odsunąć teatr działań jak najdalej od Mongolii – chce przekroczyć granicę w okolicach Kiachty, ruszyć dalej na północ w kierunku Bajkału i opanować w kilku punktach kolej transsyberyjską. Liczy na pomoc Japonii oraz wsparcie oddziałów białogwardyjskich rozproszonych po całej południowej Syberii.

To właśnie w tych majowych dniach Ungerna odwiedza w Urdze Ferdynand Ossendowski (poznali się kilka tygodni wcześniej w klasztorze Wan-Kure nad rzeką Selengą). Baron ufa Polakowi, który również nienawidzi rewolucji sowieckiej i bolszewizmu. Zwierza mu się ze swej obsesji, że zostanie zdradzony przez własne wojsko – iluż to białogwardzistów „zaraziło się” komunizmem i wstąpiło do Armii Czerwonej. „Tylu zdrajców... Uczciwych ludzi prawie już nie pozostało. Nikomu nie można ufać. Wszystkie nazwiska przybrane... fałszywe... Dokumenty łąją. łąją oczy i języki. Wszystko splugawione, zepsute przez bolszewizm”.

---

Baron nie miał litości dla bolszewików. Kiedy w jego ręce wpadło dwóch komisarzy, rozkazał: „Zatłuc ich kijami!”.

---

Jego antybolszewicka mania osiąga kulminację. Boi się, że sowieccy agenci zdążyli już przeniknąć do jego armii i sączą w umysły jego wiernych Kozaków i Buriatów „komunistyczną truciznę”. Któregoś dnia patrol łapie sześciu bolszewickich wywiadowców. Kiedy dowiaduje się o tym Ungern, „oczy jego miotają pioruny, a twarz drży konwulsyjnie” – wspomina Ossendowski. Wśród sześciu czerwonych baron rozpoznaje czterech wcielonych na siłę do Armii Czerwonej chłopów, których uwalnia i pozwala im wstąpić do swej dywizji. Dwaj pozostali

okazują się komisarzami (za podszewką cholew ich butów odnaleziono sowieckie paszporty). Ungern „chmurzy czoło i powoli wymawiając każde słowo, rzuca w przestrzeń rozkaz: Zatłuc ich kijami!”.

## **21 maja**

Pozostawiwszy w Urdze tylko osobistą gwardię Bogdo-gegena, chan Ungern wyrusza na północ, ku Kiachcie, gdzie swoją siedzibę ma Tymczasowy Rząd Ludowy Suche Batora. Próba zdobycia miasta nie udaje się, a klęska atakujących oddziałów Ungerna powoduje gwałtowny spadek morale wśród jego żołnierzy, wielu daje się przekonać komunistycznej propagandzie i przechodzi na stronę wroga.

Baron nie traci jednak ducha. Jego pułki atakują miasto Menza, leżące na terytorium DWR, i należące do Rosji miasto Modoń Kuł. Celem głównego uderzenia konnicy jest Troickosawsk, który baron zamierza zdobyć szturmem od północy. Początkowo atakujący mają przewagę. Niebawem jednak bolszewicy przerzucą na Zabajkale dwie brygady piechoty, a z „czerwonych” Kozaków sformują ochotniczy pułk jazdy pod dowództwem sławnego na Syberii partyzanckiego wodza Piotra Szczetinkina.

## **11 czerwca**

Bolszewicy w porę orientują się w zamiarach Ungerna. Na przedpolu Troickosawska ustawiają dwa pułki strzelców oraz oddział „czerwonych” Mongołów, którzy mają wziąć na siebie cały impet uderzenia Ungerna. Obrońcy używają fortelu. Wbite w ziemię przed linią okopów kołki łączą sznurami – koń mongolski, wychowany na rozległych jak ocean stepach, nie potrafi brać przeszkód. Zapora ta okazuje się nie do przebycia dla ungernowskiej konnicy. Na wzgórzach na wschód od miasta wojska bolszewickie okrążają białych, przechwytyują ich działa i tabory. Baron bezskutecznie usiłuje powstrzymać panikę.

## **13 czerwca**

Bitwa o Troickosawsk jest przegrana, a sytuacja Dywizji Konnej staje się dramatyczna. Droga na Urgę stoi przed komunistami otworem.

## **20 czerwca**

Dowodzone przez Łotysza Nejmana główne siły sowiecko-mongolskiego korpusu ekspedycyjnego ruszają na stolicę Mongolii. Marsz wojsk rewolucyjnych odbywa się w piekielnie trudnych warunkach. Z nieba leje się żar nie do wytrzymania, brakuje wody, chleba i soli. Nie wystarcza koni ani zaprzęgów.

O transporcie samochodowym nie ma co marzyć. Najtrudniej znoszą to czerwonoarmiści, którzy w przeważającej masie pochodzą z europejskiej części Rosji. Stepy, pustynię i wysokie góry oglądają pierwszy raz w życiu, a muszą pokonywać dziennie po 50–60 kilometrów. Wszyscy są skrajnie wycieńczeni, ledwo powłóczą odparzonymi do żywych ran nogami, z których spadają zamienione w strzępy buty. Na szczęście intendentura czuwa i pod koniec czerwca dostarcza 26 tysięcy całkiem nowych łapci.

Po tygodniu szaleńczego marszu i pokonaniu prawie 400 kilometrów bojownicy rewolucji stają w łapciach pod Urgą. Po ciężkich walkach miasto pada. Bodgo-gegen po raz kolejny jest zmuszony oddać władzę w obce ręce.

### **ROMAN NICOLAUS TEODOROWICZ UNGERN BARON VON STERNBERG GDZIE JEST SKARB?**

O wielkim skarbie Ungerna legendy krążyły jeszcze za jego życia. Prawdą jest, że nigdy nie odnaleziono kasy polowej Azjatyckiej Dywizji Konnej, nie wiadomo także, co zawierała, a mogła być naprawdę zasobna. Przez cały czas istnienia dywizji oddziały barona dokonywały regularnych rekwizycji i konfiskat na potrzeby wojska, przy okazji grabiąc i rabując, co się dało. Poza tym Ungern, który myślał o przebiciu się do Władywostoku i potrzebował środków do dalszej walki z bolszewikami, wykradł zasoby złota z banku chińskiego w Urdze i przejął ogromną kontrybucję nałożoną przez Chińczyków na mieszkańców Mongolii. Mówi się również o przechwyceniu przez niego części tzw. skarbu Kołczaka, czyli carskiego złota wywiezionego przez admirała z Omska w listopadzie 1919 roku. Daje to w sumie ogromny skarb, złożony ze złota, srebra, klejnotów, futer i dzieł buddyjskiej sztuki sakralnej. Gdzie się podział?

Ślady prowadzą w okolice jeziora Biur-Nur na pograniczu mongolsko-chińskim. Tam w latach 20. ubiegłego wieku polski inżynier Kazimierz Grochowski prowadził prace górnicze. Według opisu z jego książki Polacy na Dalekim Wschodzie, kasę Dywizji Konnej potajemnie wywieziono z obozu barona gdzieś w środkowej Mongolii w kierunku miasta Hajłar w Chinach, skąd już kolejną miała pojechać do Harbinu, Władywostoku i dalej – do Europy. W czasie wyprawy żołnierze barona zostali zaatakowani przez bolszewików. Ukryli więc skarb w pierwszym nadającym się do tego miejscu – jak twierdzi Grochowski, około 160 km na południe od Hajłaru.

Jest bardzo prawdopodobne, że wieść o niepowodzeniu akcji dotarła do Ungerna. Baron w lipcu 1921 roku zlecił bowiem tajną misję swemu zaufanemu oficerowi, Polakowi Kamilowi Giżyckiemu. Wyposażył go w specjalne pełnomocnictwa i wysłał na wschód. Możliwe więc, że nie zrezygnował z przetransportowania kasy dywizji do Władywostoku i właśnie porucznik Giżycki miał to uczynić. Nie zachowała się relacja Giżyckiego z tamtych wydarzeń. Wiadomo tylko, że dotarł do Hajłaru, ale sam i raczej w opłakanym stanie. Z pewnością nie miał ze sobą skarbu. Jeśli więc Polak go odnalazł, to musiał go ponownie ukryć. Późniejsze tajemnicze wypowiedzi Giżyckiego wskazują, że tym miejscem mogą być okolice wzgórz Tabun Tołogoi niedaleko miasta Tamsagbulag. W tej części Mongolii jest wiele starych gór osadowych z licznymi pieczarami i grotami wypłukiwanymi przez wodę – idealne miejsce do ukrycia skarbu.

Do dziś jednak go nie odnaleziono. Może zatem prawdziwa jest hipoteza, że baron podzielił skarby i w częściach przekazał różnym zaufanym osobom. Ferdynand Ossendowski wspomniał kiedyś o diamentach, które ukrył „u źródeł Amuru”. Czyżby więc skarb uległ rozproszeniu i dziś nie ma już czego szukać? Minęło ponad 80 lat i zagadka wciąż czeka na rozwiązanie.

## **11 lipca**

Podczas gigantycznego wiecu w stolicy kraju Suche Bator – już jako minister wojny stałego rządu ludowo-rewolucyjnego – ogłasza „ostateczne wyzwolenie Mongolii spod wiekowego ucisku dynastii mandżurskiej i wszechwładzy duchowieństwa i ustanowienie władzy ludowej”. Przemowę do narodu napisał mu któryś z bolszewickich komisarzy.

Tymczasem Ungern zbiera swe rozbite siły i – w obawie przed okrążeniem – wycofuje się do Mongolii. Zaraz jednak wydaje rozkaz... powrotu na terytorium rosyjskiej Syberii. Jego wojska bez walki docierają nad Jezioro Gęsie, gdzie okrążają batalion Armii Czerwonej i wycinają go niemalże do nogi. Nielicznym jeńcom proponuje się służbę w dywizji barona. Ci, którzy chcą żyć, nie wahają się ani przez chwilę.

## **25 lipca**

Ungern przez moment zamierza ruszyć z wojskiem ku południowemu brzegowi Bajkału, by wysadzić znajdujące się tam mosty i tunele magistrali transsyberyjskiej. Byłaby wówczas przerwana łączność kolejowa Moskwy z Władywostokiem.

Znad Jeziora Gęsiego do Bajkału jest w prostej linii zaledwie kilkadziesiąt kilometrów. Po drodze należy pokonać niezbyt wysokie

przełęcz górskie, co zajęłoby najwyżej trzy dni marszu. Tego wyzwania jednak baron nie podejmuje (prawdopodobnie tak zdecydowały wróżby towarzyszących mu lamów, w które baron wierzy bezgranicznie) i ponownie zawraca ku granicy mongolskiej.

## **5 sierpnia**

Pierścień wojsk bolszewickich zaciska się. Po kilku krwawych potyczkach, w których bolszewickie tankietki z karabinami maszynowymi dziesiątkują jego konnicę, Ungern wkracza w końcu do Mongolii i szybko rusza na południe. Ma nadzieję dotrzeć do Tybetu i oddać się do dyspozycji Dalaj Lamy. Stanie się inaczej.

Ostateczną klęskę Ungerna przypieczętuje rozkład jego Dywizji. Porzucają barona sprzymierzeńcy, oficerowie mają już dość służby. Nie chcą dalej wojować, maszerować przez rozległe pustynie i mroźne płaskowyże do Tybetu czy może jeszcze dalej – na Kaukaz i Krym, gdzie wciąż walczy generał Wrangel. Większość rosyjskiego korpusu oficerskiego od dawna nienawidzi Ungerna. On odpłaca im bezbrzeżną pogardą.

Baron coraz bardziej oddala się od swego wojska. Kiedyś mógł jeszcze liczyć na ślepo mu oddanych Kozaków – długo imponował im znajomością wojennego rzemiosła, arystokratycznym pochodzeniem, szaleńczą odwagą, wytrwałością, okrucieństwem. Teraz jednak i oni stracili zapał do wojaczki, chcą wylizać się z ran, tęsknią do kobiet. A i barona boją się mniej niż kiedyś, grozę budzą w nich obecnie bolszewicy i mongolscy komuniści.

Wreszcie którejś nocy kilku najodważniejszych oficerów zakrada się do namiotu barona. Żółty chański terłyk zarzucają mu na głowę, zawijają ciało w filcowy kobierzec i obwiązują sznurem. Żywy ludzki kokon podryguje i charcze. Baron próbuje się wyswobodzić. Nadaremnie.

---

W końcu żołnierze Ungerna stracili wiarę w sens dalszej walki.  
Zdradzili swego dowódcę i wydali go bolszewikom.

---

## **24 sierpnia**

Zbuntowani oficerowie przekazują Ungerna do sztabu 35. pułku kawalerii, dowodzonego przez Konstantego Rokossowskiego. Bolszewicy przewożą Ungerna do Irkucka. Tam wielokrotnie go przesłuchują, po czym – zamiast zwyczajnie rozstrzelać – decydują, że odbędzie się proces.

## **15 września**

W Nowonikołajewsku, ówczesnej stolicy Syberii (dziś Nowosybirsk), rozpoczyna się rozprawa przeciwko Ungernowi. Jej przebieg znamy z publikacji w miejscowej gazecie, której autorem jest Iwan Majski, późniejszy ambasador ZSRR w Londynie. „Podsądny wysoki, szczupły, blond włosy, nieogolony od wielu dni zarost, wychudzony. Jedwabny żółty terłyk z generalskimi pagonami i rosyjskim orderem świętego Jerzego na piersi dosłownie na nim wisi. Jest spokojny. Na pytania odpowiada krótko. Okrucieństw, jakich dopuszczali się jego żołnierze w czasie ekspedycji karnych, nocnych jazd z płonącymi ciałami zamiast pochodni, nie wypiera się. Tłumaczy prosto – to była wojna”.

Ungern zachowuje się wyzywająco: „Od tysiąca lat Ungernowie rozkazywali innym, nigdy od nikogo nie przyjmując rozkazów” – mówi z nieukrywaną pogardą dla sędziów. „Odmawiam uznania rządów klasy robotniczej”.

Proces trwa zaledwie jeden dzień, wyrok może być tylko jeden: kara śmierci.

---

„Odmawiam uznania rządów klasy robotniczej” – oświadczył przed trybunałem Ungern, nie kryjąc pogardy dla sędziów.

---

## **17 września 1921 roku**

Przed frontem oddziału kawalerii baron Ungern zostaje rozstrzelany. Kiedy wiadomość o tym dociera do Urgi, Bogdo-gegen nakazuje we wszystkich świątyniach odprawić modły. Odszedł ostatni chan Mongolii, nad Wielkimi Stepami zaciągnęła się długa noc. Świt wolności wstanie dopiero za siedemdziesiąt lat.

**Witold St. Michałowski**

# Dlaczego Polska przegrała kampanie wrześniową?

W 1939 roku w starciu z armią niemiecką i radziecką nie mieliśmy żadnych szans. Główna przyczyna klęski nie była jednak natury militarnej, ale politycznej.

**autor Zbigniew Lalak**

**11** sierpnia 1922 roku w Rapallo minister spraw zagranicznych Republiki Weimarskiej Walther Rathenau i ludowy komisarz spraw zagranicznych Rosji Sowieckiej Geоргij Cziczeryn podpisali układ handlowy. To był właśnie początek końca. Rozmowy bardzo szybko przyniosły konkrety w dziedzinie współpracy wojskowej. Pod Moskwą w miejscowości Filii zbudowano zakłady lotnicze Junkersa, które produkowały pierwsze całkowicie metalowe samoloty wojskowe. Niedługo potem, w 1927 roku, Niemcy i Rosjanie uzgodnili, że w ZSRR powstaną trzy niemieckie bazy wojskowe. W Lipecku powstała baza lotnicza, koło Kazania centrum szkolenia broni pancernej (Panzertruppenschule „Kama”), a w Saratowie Szkoła Wojny Gazowej. Niemcy uzyskali w ten sposób możliwość szkolenia oficerów oraz badania sprzętu, Rosjanie zaś dostęp do nowoczesnych technologii, co było zbawiennym impulsem dla zniszczonego i słabego sowieckiego przemysłu.

Najważniejszą placówką była „Kama”, przeniesiona w 1929 roku do Woroneża. Niemcy testowali tam swoje czołgi Grosstraktor oraz Leichttraktor, a dodatkowo dzięki zakupom zagranicznym (Brytyjczycy sprzedali Sowietom 56 czołgów) mogli zapoznać się z nowoczesnym sprzętem pancernym. Największą korzyścią, jaką odnieśli Niemcy z utrzymywania baz w ZSRR, było wyszkolenie grupy młodych oficerów, którzy stali się później kadrą tworzących się jednostek



pancernych i lotnictwa.

Gdy stanowisko kanclerza objął Adolf Hitler, współpraca urwała się. Pięć lat później znowu ruszyła pełną parą.

### **Rok 1938 – gra skończona**

Sytuacja polityczna Polski pod koniec 1938 roku była zdecydowanie zła. Niemcy przedstawili Polsce roszczenia terytorialne, a poszukiwanie sojuszników szło jak po grudzie. Rząd brytyjski odnosił się do Polski z dużą rezerwą, wręcz z niechęcią. Przyczynili się do tego sami Polacy, zajmując część Śląska Cieszyńskiego, a następnie Jaworzyny. Polska zaczęła być traktowana jak nieformalny sojusznik III Rzeszy.

---

Anglia, na którą liczyła Polska w wypadku konfliktu zbrojnego, ościagała się z podpisaniem traktatu sojuszniczego do końca.

---

Rankiem 15 marca 1939 roku sytuacja gwałtownie się odmieniła. Oddziały niemieckie przekroczyły granicę z Czecho-Słowacją (zmianę nazwy republiki wymusili nacjonałści słowaccy), zajmując Czechy i Morawy, a Słowacja proklamowała powstanie niepodległego państwa.

Całkowitym zaskoczeniem dla Hitlera była reakcja na te wydarzenia Wielkiej Brytanii. Premier Neville Chamberlain wygłosił 31 marca w Izbie Gmin przemówienie, w którym poinformował, że wobec „jakichkolwiek działań wojennych mogących wyraźnie zagrozić niepodległości Polski (...) rząd Jego Królewskiej Mości będzie się czuł zobowiązany do udzielenia rządowi polskiemu natychmiastowego poparcia”.

### **PAKT RIBBENTROP–MOŁOTOW**

W marcu 1939 roku Stalin rozpoczął sondowanie stanowiska niemieckiego w sprawie podpisania układu o nieagresji. Podjęto wstępne rozmowy o umowie handlowej. Po udzieleniu Polsce 31 marca 1939 roku gwarancji przez Wielką Brytanię (25 sierpnia 1939 roku podpisano układ o pomocy) Hitler zaczął usilnie szukać porozumienia ze Stalinem. 23

sierpnia 1939 roku do Moskwy przybył minister von Ribbentrop i przystąpiono do rozmów. W tzw. protokole dodatkowym zdefiniowano strefy wpływów. Ustalono, że strefa taka będzie przebiegać na linii rzek Narew, Wisła i San, co jednoznacznie oznaczało podział Polski. Treść traktatu wraz z protokołem dodatkowym była znana przedstawicielom Wielkiej Brytanii i Francji już dwa dni po podpisaniu.

Dla Polaków ta deklaracja była na wagę złota. Radość trwała jednak krótko, a rozczarowanie było bardzo bolesne. Już w maju bowiem odbyła się dwustronna konferencja francusko-brytyjska, która określiła zakres pomocy dla Polski w wypadku wojny z Niemcami w sposób następujący: „Sojusznicy zachodni nie będą mogli podjąć żadnego wysiłku dla obrony Polski, jej upadek we wczesnej fazie wojny jest nieunikniony”. Wniosek był oczywisty: ani Brytyjczycy, ani Francuzi nie zamierzali wywiązywać się z podpisanych umów. Co więcej, Brytyjczycy zaczęli ociążać się z podpisaniem traktatu z Polską – zrobili to dopiero na wieść o podpisaniu umowy pomiędzy III Rzeszą a ZSRR.

W przeddzień wybuchu wojny Polska znalazła się w sytuacji gracza, który usiadł do partii pokera rozgrywanej znaczonymi kartami, a na dodatek nie wie, że pieniądze, o które toczy się gra, są fałszywe.

### **Niemcy idą na wojnę**

Plan inwazji na Polskę był gotowy w czerwcu 1939 roku – gen. płk von Brauchitsch, naczelnym dowódcą wojsk lądowych, zamierzał przeprowadzić koncentryczne uderzenie na Warszawę z obszaru Śląska, Pomorza oraz Prus Wschodnich. Przyjął, że główne siły polskie zostaną skoncentrowane na zachód od linii Wisły i Narwi.

---

We wrześniu 1939 roku Anglia i Francja nie zamierzały kiwnąć nawet palcem w naszej obronie. Niestety, marszałek Rydz-Śmigły do ostatniej chwili liczył na pomoc Zachodu.

---

Plan przewidywał dwa warianty tej operacji. Pierwszy zakładał,

że polskie jednostki nie zostaną zmobilizowane, a szybkie uderzenie przeszkodzi im w osiągnięciu zdolności bojowej. W tym wypadku Niemcy uważali, że wystarczające będzie uderzenie przeprowadzone z użyciem jednostek zmotoryzowanych i pancernych. Według drugiego wariantu Polska miała dokonać pełnej mobilizacji, zamierzano więc zrobić najpierw to samo i dopiero wtedy uderzyć.

Ze względów wojskowych (element zaskoczenia) oraz politycznych zdecydowano się na wariant pierwszy. Żeby zamaskować mobilizację jednostek zmechanizowanych i pancernych, zarządzono ćwiczenia na Śląsku i Pomorzu, natomiast koncentracja w Prusach Wschodnich odbywała się pod pozorem obchodów 25-lecia bitwy pod Tannenbergiem.

Sprawne przeprowadzenie ataku miało zagwarantować połączenie poszczególnych armii w dwie grupy: Grupę Armii „Północ” (3. armia i 4. armia) oraz Grupę Armii „Południe” (8. armia, 10. armia i 14. armia). Ich zadaniem było połączenie Prus Wschodnich z Pomorzem poprzez równoczesne uderzenie wzdłuż Wisły na Warszawę, a następnie okrążenie wojsk polskich w tzw. korytarzu i na Mazowszu.

Główne natarcie miała przeprowadzić Grupa Armii „Południe”, która zgromadziła się w rejonie Byczyna – Pyskowice – Opole. Rozkazano jej przełamać obronę polską, zdobyć Warszawę, a następnie ruszyć w kierunku północnym.

Niemcy nie mieli podstaw sądzić, że cokolwiek będzie w stanie plany te pokrzyżować.

## **Rozpoznanie sił przeciwnika**

4 marca 1939 roku Sztab Główny przystąpił do prac nad planem obronnym „Zachód”.

Polacy słusznie przewidywali, że Niemcy uderzą na całej szerokości granicy. Spodziewano się, że główne siły atakujące od południa skierują się na Łódź i Warszawę, a pomocnicze na Kraków. Na północy przewidywano szybkie „zamknięcie korytarza” i uderzenie na Bydgoszcz, następnie Kutno i Warszawę.

Zgrupowanie z Prus Wschodnich – według przewidywań – miało posuwać się na Toruń lub na Warszawę. Według Sztabu Głównego

Niemcy mieli wystawić na froncie polskim około 70 związków taktycznych (w rzeczywistości 1 września zdołali skoncentrować 51 taktycznych oraz 9 pomocniczych). Spodziewano się przytłaczającej przewagi w jednostkach technicznych oraz w lotnictwie (liczbę samolotów szacowano na ok. 3500). Zarówno założenia taktyczne, jak i potencjał sił Sztab Główny ocenił zatem wyjątkowo trafnie.

### **WOJNA BŁYSKAWICZNA**

Twórcami teoretycznych podstaw „Blitzkriegu” byli... Brytyjczycy. Pierwsze w pełni profesjonalne opracowanie wyszło spod pióra J.F.C. Fullera, który napisał swoje studium w 1918 roku. Głównym założeniem Fullera było użycie czołgów szybkich do przekroczenia linii obronnej i szerokie wejście na tyły przeciwnika. Lotnictwo bombowe miało niszczyć linie komunikacyjne oraz jednostki rezerwowe, następnie piechota oraz czołgi ciężkie miały ostatecznie przełamać obronę. Ten pogląd był następnie rozwijany przez Giffarda le Martela oraz Basila Liddel-Harta. Przewidywali oni, że gdy dojdzie do następnej wojny, armia będzie w pełni zmotoryzowana, a główną siłę operacyjną będą stanowić związki szybkie. Niemcy natychmiast dostrzegli świeżość i nowatorstwo tych teorii. Nie oznacza to, że w armii niemieckiej nie istniał wobec nich opór. Popierający je oficerowie, jak Guderian czy Lutz, byli wręcz w mniejszości. W 1935 roku w trakcie manewrów w 2. brygadzie pancerniej dowodzonej przez płk. Heinza Guderiana 300 czołgów Pz. I wykonało improwizowane natarcie, i wtedy z trybuny dla gości dał się słyszeć okrzyk: „Tak, tego właśnie potrzebuję!”. W ten sposób entuzjastą broni pancernej stał się Adolf Hitler.

23 marca 1939 roku Generalny Inspektor Sił Zbrojnych rozkazał uformować ogólnowojskowe związki operacyjne. Powstały sztaby i dowództwa armii „Poznań”, „Pomorze”, „Łódź”, „Kraków”, „Modlin” oraz Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Narew”. W lipcu – wobec pojawienia się jednostek niemieckich na Słowacji – także armię „Karpaty”. Miały one wziąć na siebie pierwszy impet niemieckiego natarcia i utrzymać pozycje. Natomiast zadaniem armii „Prusy” było atakować.

Dziś wiadomo, że zarówno Polacy, jak i Niemcy wiedzieli w zasadzie prawie wszystko o swoich możliwościach. Podczas gdy Sztab Główny opracowywał plan operacyjny „Zachód”, Oddział II podjął energiczne prace wywiadowcze. Już 25 marca 1939 roku gotowy był komunikat informacyjny „Wojska niemieckie w roku 1938/39”. Było to kompleksowe opracowanie dotyczące stanu Wehrmachtu. Jaką miało wartość?

Polski wywiad doskonale rozpracował strukturę dywizji piechoty, brygad kawalerii, dywizji pancernych oraz dywizji lekkich Wehrmachtu. Błędy były nieliczne, dotyczyły np. organizacji pułku pancernego – liczby czołgów (26 zamiast 24), zastąpienia lekkich czołgów Panzer I czołgami średnimi Panzer III i Panzer IV (co nastąpiło dopiero w październiku 1939 roku) czy kalibru dział, w które były uzbrojone. Ciekawą informację zawarto w podsumowaniu: „Z wydanych w 1938 roku zarządzeń niemieckich władz centralnych, mających na celu uodpornienie wojska przed ew. akcją szpiegowską, wynika, że niebezpiecznym objawem w wojsku niemieckim jest wzmożenie się działalności rozkładowej elementów komunistycznych i socjalistycznych”. Zwracano uwagę na dużą liczbę dezercji oraz na niechęć żołnierzy i młodych oficerów do wojny, wśród oficerów starszych panował „nastrój niepokoju i brak zaufania do kierownictwa politycznego Niemiec”.

---

Zarówno polski, jak i niemiecki wywiad wojskowy miały doskonałe rozeznanie w kwestii rozlokowania sił jednostek przeciwnika.

---

Wywiad niemiecki nie pozostawał w tyle. Do sztabów niemieckich dywizji w sierpniu 1939 roku dotarł dokument zawierający dokładne opracowanie o armii polskiej, wraz ze schematami organizacyjnymi, stanami ilościowymi oraz mapami rozmieszczenia poszczególnych jednostek. Także ich rozpoznanie zawierało zaledwie drobne błędy (w dywizji piechoty zamiast podanych 13 500 żołnierzy powinno być 15 900, 27 DP zamiast na Pomorzu usytuowano w rejonie Kowla, Podolska Brygada Kawalerii znajdowała się w rzeczywistości w Wielkopolsce, a nie w Stanisławowie). Jedynym „kosztownym” błędem było nierozpoznanie Odcinka Fortecznego „Wizna” – na mapie polskich umocnień zabrakło informacji na temat tamtejszych bunkrów. Za tę pomyłkę zapłacili czołgiści z 10. DPanc., a cały XIX Korpus gen. Guderiana został powstrzymany na okres kilkunastu godzin przez

załogi 9 schronów bojowych. Do dziś obrona Wizny występuje w polskiej literaturze historycznej jako „polskie Termopile”.

### **Szansa na sukces**

Podczas całej kampanii wrześniowej największą szansę na sukces miała Armia „Poznań” dowodzona przez gen. Kutrzebę. Niemcy założyli, że została ona rozbita w walkach na Pomorzu Zachodnim lub zdołała się wycofać za Wisłę. Sporadyczne meldunki o oporze jednostek polskich na zachód od Wisły były traktowane jako nic nieznaczące. Niemcy sądzili, że chodzi o małe izolowane oddziały bez kontaktu z siłami głównymi. Tak została odebrana sytuacja w Naczelnym Dowództwie Wojsk Lądowych (OKH), które 8 września wydało dyspozycję do wykonania manewru przygotowującego okrążenie i zniszczenie sił polskich na wschód od Wisły.

Kierunek głównego natarcia niemieckiej 8. armii, dokonanego 1 września, stwarzał dogodną sposobność zaatakowania jej lewego skrzydła, które nie było ubezpieczane. O tej znakomitej okazji meldował w pierwszych godzinach gen. Kutrzeba Naczelnemu Wodzowi. Marszałek Rydz-Śmigły odrzucił jednak sugestie gen. Kutrzeby i wydał rozkaz nakazujący odwrót na Warszawę. 8 września gen. Kutrzeba odbył rozmowę z szefem sztabu Naczelnego Wodza gen. Stachiewiczem, w której szczegółowo przedstawił swoją sytuację. Niemiecka 8. armia znajdowała się przed jednostkami polskimi i posuwała się równoległe z nimi na wschód ku Wiśle. Mogła w każdej chwili zająć pozycję obronną i zagrozić drogę armiom „Poznań” i „Pomorze”, na skutek czego niemożliwe byłoby ich połączenie się w rejonie Warszawy z innymi oddziałami. Kutrzeba sugerował, by armia „Poznań” zaatakowała lewe skrzydło armii niemieckiej, natomiast armia „Pomorze” kontynuowała marsz na Warszawę.

Sytuacja na lewym skrzydle 8. armii niemieckiej była niezwykle korzystna z punktu widzenia nacierających jednostek polskich. Dwie dywizje piechoty były „rozciągnięte” na długość ok. 90 km. Skierowany pospiesznie na Warszawę XVI KPanc. (4. DPanc. i 1. DPanc.) znajdował się o ok. 130 km od głównego punktu natarcia. Na domiar złego w razie ewentualnego ataku nie mogły liczyć

na szybką pomoc jednostek 10. armii, bowiem znajdowały się one w odległości ok. 300 km na wschód i, postępując za wycofującymi się jednostkami armii „Prusy”, z każdą godziną oddalały się od pola bitwy.

---

Podczas kampanii wrześniowej popełniono kardynalne błędy taktyczne, za które winę ponosi Wódz Naczelny.

---

### **Bzdura nad Bzurą**

Gen. Kutrzeba 9 września rozpoczął natarcie. Początkowo jednostki polskie odnosiły sukcesy – obrona niemieckiej 30. DP została przełamana, Niemcy stracili ok. 800 żołnierzy, a do niewoli dostało się ponad 3000. Gdy wieczorem 9 września polska kawaleria z Grupy Operacyjnej gen. Grzmota-Skotnickiego wyszła na tyły niemieckiego X Korpusu Armijnego, dowódca 8. armii gen. Blaskowitz zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Przez następne dwa dni Niemcy – na skutek błędnej oceny kierunku polskiego natarcia – dostawali baty.

Niestety, w tym momencie do akcji wkroczył marszałek Rydz-Śmigły. Jeszcze poprzedniego dnia wieczorem Naczelny Wódz, po zapoznaniu się z koncepcją Kutrzeby, nakazał wykonać natarcie nie na Warszawę, lecz na Radom. Natarcie związałyby siły niemieckie znajdujące się na zachodnim brzegu Wisły, a to pozwoliłoby na koncentrację sił polskich w rejonie tzw. przedmościa rumuńskiego w oczekiwaniu na francuską ofensywę. Rozkazy dotarły do Kutrzeby dopiero 11 września wieczorem, a więc gdy armia „Poznań” prowadziła już zażarte walki. Dowódcą nowego zgrupowania został mianowany gen. Bortnowski, dotychczasowy dowódca armii „Pomorze”. Ten otwarcie wyraził opinię, że kontynuowanie akcji zaczepnej jest niecelowe. Nie wydano żadnych rozkazów, a 13 września Bortnowski poinformował Kutrzebę, że... rezygnuje z dowodzenia. Wprowadziło to totalny chaos. Dowódcy dywizji nie otrzymali żadnych rozkazów, a co mniejsze jednostki działały

właściwie na własną rękę. Brak koordynacji w dowodzeniu musiał skończyć się fatalnie. Niemcy już w nocy z 13 na 14 września osiągnęli przewagę, kierując w rejon walk nowe jednostki. Walki trwały do 18 września. Poszczególne pułki przedzierały się do Warszawy, ponosząc olbrzymie straty. Łącznie w walkach nad Bzurą poległo około 16 500 żołnierzy polskich, a 170 000 dostało się do niewoli. Straty niemieckie wyniosły ok. 8000 poległych i rannych.

## **Nieudolny Rydz**

Profesor Paweł Wieczorkiewicz napisał, że „wrześniowa klęska w 1939 roku była skutkiem nie tyle słabości militarnej II Rzeczypospolitej, ile wynikiem prowadzonej przez nią polityki zagranicznej (...)”. Trudno się z tym nie zgodzić. Konfiguracja obronna, która powstała w połowie 1939 roku, praktycznie przekreślała możliwości skutecznej obrony. Na jednoczesne uderzenia z Prus, Słowacji i Śląska nie było skutecznego antidotum. Jak wiemy, rozmieszczenie polskich umocnień polowych było w większości znane Niemcom, dzięki czemu ominęli Obszar Warowny „Śląsk” i przełamali obronę armii „Kraków”.

Czy jednak Polska mogła dłużej stawiać opór? Czy choć przez chwilę była szansa na powodzenie? Dziś wiadomo, że pierwszą przeszkodę stanowił sam Wódz Naczelny. Rydz-Śmigły święcie wierzył w to, że sojusznicy wystąpią w naszej obronie w siedemnastym dniu wojny. Dlatego właśnie nakazał gen. Kutrzebie skierowanie armii „Poznań” na Radom, tak by związała ona jak najwięcej sił niemieckich. Co więcej, Kutrzeba miał nacierać aż „do wyczerpania sił i środków”, co oznaczało potraktowanie jego żołnierzy jako mięsa armatniego. Rydz-Śmigły okazał się fatalnym dowódcą. Ingerował nawet w rozkazy wydawane na szczeblu dywizji piechoty. Wprowadzało to chaos i zamęt, potęgowany jeszcze przez fatalny system łączności. Otrzymywane rozkazy okazywały się nieaktualne.

## **PRAWDZIWY POCZĄTEK WOJNY**

Niemcy zaatakowali terytorium polskie o godzinie 4.34. Atak miał miejsce w rejonie Tczewa, a jego celem były stanowiska saperów w rejonie mostu kolejowego. Pierwszego nalotu dokonały trzy załogi junkersów Ju 87B z 3. eskadry 1. pułku bombowców nurkujących pod dowództwem por. Bruna Dilleya. Nalot niemieckich bombowców skoordynowany był z akcją



pociągu pancernego nr 1, którym dowodził płk Gerhard Medem. Dzięki przestawieniu zwrotnicy pociąg skierowano na boczny tor i most nie został zdobyty. Saperzy o godzinie 6.30 wysadzili most. W odwecie za nieudaną akcję oddział SA rozstrzelał 21 polskich kolejarzy oraz ich rodziny.

Kolejnym błędem Rydza-Śmigłego było zbytne przywiązanie do niektórych wyższych dowódców, pomimo ich krańcowo nieodpowiedzialnej postawy w trakcie wojny. Gen. Rómmel, dowódca armii „Łódź”, fatalnie rozmieścił swoje dywizje w rejonie rzeki Warty, co spowodowało ciężkie straty, a na dodatek po otrzymaniu rozkazu o odwróceniu opuścił sztab, pozostawiając armię samą sobie. Rydz-Śmigły nie wyciągnął z tego żadnych konsekwencji. Zamiast postawić Rómmla przed sądem wojennym, mianował go dowódcą armii „Warszawa”.

Błędy w dowodzeniu gen. Dęba-Biernackiego doprowadziły do klęski armii „Prusy”. Ten zamiast skupić się na dowodzeniu armią, jeździł do pułków i nadzorował prace sztabów, jakby to były ćwiczenia. Na szczęblu dywizji kilku generałów okazało się pospolitymi tchórzami i pod pretekstem odniesionych ran czy choroby – pozostawili swoje oddziały już w pierwszych dniach wojny.

**Zbigniew Lalak**

# Prawdziwa misja fałszywego generała

Kazimierz Leski był jednym z najodważniejszych agentów AK.  
W niemieckim mundurze udawał generała w... Paryżu.

**autor Jerzy Besala**

**B**yla późna wiosna 1942 roku; w Paryżu, na placu Pigalle, przekwitły już kasztany. Do gmachu Stadtkommandantur na rogu Avenue de l'Opéra i Place de l'Opéra wszedł pewnym krokiem generał Julius von Hallmann. Dyżurny oficer posadził go w wygodnym fotelu i wydał mu znaczki żywnościowe. Poinformował generała o bogatej ofercie kulturalnej w okupowanym Paryżu i życzył miłego pobytu.

Generał von Hallmann bez zbędnego pośpiechu zameldował się następnie w Wirtschaftstab VII (Sztapie Gospodarczym) dowództwa niemieckich wojsk okupacyjnych w Europie Zachodniej. Jego tytuł – General Bevollmächtigter für Verkers- und Festungswesen der Süd-Ost Front Ukraine – zrobił tam niemałe wrażenie.

Oznaczało to bowiem, że młody, przystojny, ciemnowłosy, choć już z siwiejącymi skroniami, o ujmującym sposobie bycia gen. Hallmann nadzoruje prace fortyfikacyjne na froncie wschodnim. W bezpiecznym Paryżu każdy, kto przybywał z odległego, mitycznego frontu, przebiegającego gdzieś na krańcach cywilizacji, wzbudzał u oficerów niemieckich podziw i respekt.

Julius von Hallmann energicznie oznajmił wyższemu dowódcy Wirtschaftstab VII, że celem jego wizyty jest rekrutacja wyspecjalizowanej siły roboczej w związku z pracami fortyfikacyjnymi na Ukrainie. W sztabie gen. Gerda von Rundstedta wysłuchano przybysza z uprzejmym zainteresowaniem, poinformowano o niemieckich biurach pracy, do których francuscy specjaliści zgłaszali

się nader chętnie ze względu na oferowane im wysokie zarobki. Obiecano von Hallmannowi wszelką pomoc, odradzono natomiast wyprawę w niemieckim mundurze po robotników do „Zône Libre”, czyli nieokupowanej części Francji. Generał opuścił sztab zadowolony z przebiegu rozmowy, a także z atrakcji, jakie oferował Paryż.

Gdybyż wyżsi oficerowie niemieccy wiedzieli, z kim rozmawiali! Wiarygodne dokumenty, świetna prezencja, wspaniale skrojony mundur z dystynkcjami i czerwonymi lampasami, precyzyjne posługiwanie się technicznymi terminami niemieckimi – wszystko to powodowało, że w umysłach oficerów Wirtschaftstab nie pojawił się nawet cień wątpliwości.

Tymczasem rozmówcą Niemców był młody, ledwie 30-letni as wywiadu Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej, Kazimierz Leski.

### **Pierwsze potyczki**

Koleje losu Kazimierza Leskiego, które przywiodły go do niezwykłych wojennych czynów, były bardzo polskie – w najszlachetniejszym znaczeniu tego słowa. Jego ojciec, Juliusz Leski, był inżynierem i konstruktorem, oficerem II Brygady Legionów, walczącym podczas I wojny światowej i w 1920 roku z bolszewikami. Kazimierz urodził się w Warszawie 21 czerwca 1912 roku; podobnie jak jego siostry Wanda i Anna otrzymał od rodziców dwa bezcenne dary: inteligentne patriotyczne wychowanie oraz ideały. Lescy wpoili swoim dzieciom również odwagę cywilną i niezwykle wyczulenie na sprawę wolności Polski. Kazimierz zasłynął jako as wywiadu; Anna we wrześniu 1939 roku uciekła z oblężonej Warszawy i przez całą wojnę latała w Transport Command angielskiego RAF-u jako jedyna kobieta-pilot na ciężkich bombowcach; Wanda współpracowała w Wilnie z Oddziałem II Armii Krajowej.

Mimo że młody Leski musiał pracować jako odlewnik, tokarz oraz szlifierz, drzemały w nim niezwykle pasje. Ukończył studia w słynnej Wyższej Szkole Budowy Maszyn i Elektrotechniki im. H. Wawelberga i S. Rotwanda, z zapalem uprawiał też wiele sportowych dyscyplin: narciarstwo, tenis, boks, wspinaczkę wysokogórską. Dzięki temu wyrobił sobie niezwykle hart ducha, odporność i odwagę: cechy

charakteru, które bardzo mu się przydały w trudnym, pełnym wyzwań życiu. Nauczył się też panować nad emocjami.

---

Od pierwszych dni napaści na Polskę aż po wyzwolenie bił się o wolność – na polu walki lub w wywiadzie.

---

Tuż po studiach przez kilka lat pracował w centralnym biurze konstrukcyjnym okrętów wojennych w Holandii. Budowano tam między innymi dwa okręty podwodne dla Polski: „Orła” i „Sępa”. „Problem języka nie stanowił dla mnie realnej przeszkody. Francuski znałem jeszcze z wczesnego dzieciństwa” – napisał we wspomnieniach. – „Bardzo dobre podstawy niemieckiego wyniosłem z gimnazjum. Jedyna chyba gramatyka, jaką znałem w życiu i rozumiałem naprawdę, to gramatyka niemiecka”. Z biegiem lat nauczył się posługiwać biegle siedmioma językami.

1 września 1939 roku o godzinie 4.30 niemieckie heinkle zaczęły zasypywać bombami Szkołę Podchorążych Rezerwy Lotnictwa w Sadkowie pod Radomiem, gdzie szkolił się Leski. Polscy piloci byli bezsilni. Wszystkiego brakowało: benzyny do samolotów, a nawet bomb, tak że na pozycje niemieckie rzucali z góry wiązki granatów. Podczas jednego z lotów, koło Czortkowa nad Seretem, seria w silnik Lublina R XIII F zakończyła karierę lotniczą Leskiego. 17 września 1939 roku został strącony kulami karabinów Armii Czerwonej, która tego dnia uderzyła na Polskę. Poraniony, zakuty w gips, z uszkodzonym kręgosłupem, został przewieziony do Lwowa.

We Lwowie Leski szybko wziął się do roboty konspiracyjnej, niestety, równie szybko dostał się do „kotła” zgotowanego przez NKWD w mieszkaniu państwa Wierzyńskich. Uciekł stamtąd w bardzo „filmowy” sposób – przez okno w w.c., skacząc na balkon położony trzy metry dalej, a potem lądując jeszcze niżej – pokonał w sumie trzy piętra! „Nie umiem sobie wyobrazić, jak te kilka skoków wykonałem, będąc – jak się później okazało – bardzo gruntownie połamanym” –

napisał skromnie Leski o swoim wyczynie. Uszedł w ten sposób śmierci, choć po tym brawurowym skoku do końca życia cierpiał na bóle kręgosłupa. Bardzo wiele zawdzięcza Ukraińcom, którzy otoczyli go opieką i pomogli mu w tamtych trudnych chwilach, ratując najpewniej przed Katyniem.

### **Wśród Muszkieterów**

Gdy tylko zrodziła się taka możliwość, Leski przedostał się do Warszawy, gdzie rozpoczął działalność konspiracyjną w organizacji „Muszkieterowie”, kierowanej przez kpt. inż. Stefana Witkowskiego. Sama organizacja i jej twórca dotąd stanowią tajemnicę. Leski kierował tam działalnością „37”, czyli nadzorem komunikacyjnym i kontrwywiadem, który z kolei był nadzorowany przez Związek Walki Zbrojnej.

### **„Rajzy” do Berlina**

Właściwą karierę asa wywiadu zaczął w ZWZ i II Oddziale Komendy Głównej Armii Krajowej. Koniecznością stało się wtedy otwarcie szlaków pomiędzy krajem a Naczelnym Dowództwem Sił Zbrojnych i aliantami w Londynie. Leski idealnie nadawał się do roli organizatora kanałów wywiadowczych i kurierskich na Zachód: znakomicie znał języki, Europę Zachodnią, był odważny, konkretny i sprawdzony. Pod koniec 1941 roku szef II Oddziału Komendy Głównej ZWZ ppłk Marian Drobik, ps. „Dzięcioł”, dał Leskiemu całkowitą swobodę w organizacji nowej tajnej komórki pod kryptonimem „666” Wywiady Obce.

Podczas pracy w „666” spotkał się z Leskim (który przyjął potem konspiracyjny pseudonim „Bradł”) słynny cichociemny zrzucony z Londynu, szef Wydziału Legalizacji i Techniki II Oddziału Komendy Głównej AK, Stanisław Jankowski, ps. „Agaton”. Odmalował on później niezwykle pochlebny obraz Leskiego, z którym stykał się – według własnych słów – „jak na warunki konspiracyjne dość często” w latach 1942–1944: „Wzorce dokumentów [do podrobienia – przyp. aut.] dostarczał nam zwykle sam. Niemieckie, francuskie, hiszpańskie. (...) »Bradł« odważny, bardzo inteligentny, pełen inicjatywy, a przy tym przystojny i elegancki, świetnie mówiący po francusku i niemiecku

(łącznie ze znajomością lokalnych dialektów) nadawał się do takiej roboty doskonale”.

Leski rozpoczął przygotowania od „rajzy” do Berlina, aby przetrzeć ewentualne szlaki. Posługiwał się sfałszowaną legitymacją „Ostbahn”, czyli Kolei Wschodnich. Bez przeszkód dojechał do stolicy Reichu, potem zaczął wypuszczać się dalej, w kierunku Paryża. Podróż przez „Altreich” (Starą Rzeszę) odbywała się bez przeszkód, ale już w Belgii dokładnie Leskiego sprawdzano. Żandarmi nie oddawali mu przez kilka godzin dokumentów, dziwiąc się podejrzliwie, po co niemiecki pracownik z odległej GG dotarł aż tutaj. Leski wyciągnął z tego wniosek, że agentów „666” trzeba zaopatrzyć w inny zestaw dokumentów – odgrywanie roli „kolejarza” podczas podróży wywiadowczych okazało się ryzykowne. Potrzebne były dokumenty wojskowe; Leski zauważył, że najłatwiej ukryć się pod mundurem. W wypadku wojskowych żaden cel podróży nie wydawał się kontrolującym dokumenty podejrzany.

Warszawscy kieszonkowcy, sławni na całą Europę, zadbali („jak najbardziej ideowo” – dodaje nasz as wywiadu), by dokumenty oficerów niemieckich przyjeżdżających do Warszawy zmieniły właścicieli. W kolejną „rajzę” Leski wyruszył więc już jako młody oficer ds. fortyfikacji na Ukrainie. Pierwsza podróż do Paryża była dla niego męczarnią. Musiał stać na zimnym korytarzu pociągu, w wyniku czego nadwyreżony kręgosłup odmówił posłuszeństwa. Wyciągnął z tego doświadczenia właściwe wnioski i by w przyszłości uniknąć stania, awansował się do stopnia generała wojsk technicznych. Występował odtąd w podróżach jako gen. Julius von Hallmann. Miał wtedy zaledwie 30 lat, ale powagi dodawały mu siwiejące skronie.

Do roli generała przygotowywał się bardzo starannie pod boki Niemców, w warszawskim lokalu przy alei 3 Maja 14, w lewej oficynie na 3. piętrze. Ile podróży odbył polski agent w mundurze generała – nie wiadomo. Według historyka, dr. Andrzeja Kunerta, w londyńskich dokumentach Podziemia została utrwalona tylko jedna; ze wspomnień samego Leskiego wynika jednak, że było ich kilka.

Początkowo Leski działał sam, ale niebawem rozbudował komórkę „666”, biorąc do współpracy trzech zaufanych mężczyzn o niezwykłych umiejętnościach, prezencji, odwadze, inteligencji i manierach. „Jan”

(Tadeusz Jabłoński), student prawa i pływak sportowy, udawał technika pracującego na rzecz Wehrmachtu. Najczęściej to on towarzyszył „generałowi Hallmannowi”. „Żaryn” (Bolesław Zieleniewski), starszy i poważny inżynier o dystyngowanych ruchach, który studia odbył w Niemczech, wcielił się w rolę pruskiego junkra. „Wilski” (rtm Aleksander Stpiczyński, szef polskiego wywiadu wojskowego w Bratysławie) podawał się za wiecznie zadowolonego oficera bon vivanta (był nim także w rzeczywistości). Sam Leski uchodził nie tylko za generała Hallmanna; konspiratorom we Francji przedstawiał się jako „Pierre”.

Wszyscy znali doskonale zwyczaje niemieckie (nawet takie drobiazgi, że wznosząc w gronie oficerów toast „zum Wohl”, należy patrzeć w oczy temu, do kogo się przepija), byli też zaopatrzeni w znakomicie podrobione dokumenty. „Moja jeszcze Muszkieterska komórka legalizacyjna, pozostałość z działalności »37«, potrafiła drukować wszystko” – nie bez dumy podkreślał Leski. Ale Niemcy, nie w ciemną bicia, używali coraz trudniejszych do podrobienia papierów, znaków wodnych, i doświadczenia „Muszkietarów” przestały wystarczać. Pomoc spadła dosłownie i w przenośni z nieba: wtedy właśnie, w kwietniu 1942 roku, wylądował w Warszawie Stanisław Jankowski „Agaton”, przeszkolony w Londynie specjalista w dziedzinie podrabiania dokumentów.

---

Kazimierz Leski jako agent wcielił się w czasie wojny w kilkanaście postaci. Z powodzeniem udawał zarówno niemieckiego oficera, jak i francuskiego kupca.

---

Papiery były zrobione mistrzowsko: podczas kolejnych odwiedzin w Stadtkommandantur niemiecki biurokrata w mundurze pokazał kartki żywnościowe „generała Hallmanna” jako wzór innemu oficerowi. „Pan ma niewłaściwe” – pouczał gniewnie zmieszanego oficera, stojącego przed okienkiem. „Proszę patrzeć. To właściwe znaczki.

Takie powinny być pańskie” – grzmiał z okienka, wskazując na kartki podrobione przez „Agatona”. „I to był chyba najwspanialszy komplement, jaki można było powiedzieć »Agatonowi« i jego kolegom” – skwitował to zdarzenie Leski.

### **Misje specjalne**

26 grudnia 1942 roku z Warszawy do Paryża wyjechał Urlauberzugiem pułkownik baron Arnold von Lückner. Nosił się stylowo: monokl i mały ostry wąsik. Elegancja i świadomość posiadania szacownych przodków dopełniała obrazu człowieka umiejącego cieszyć się życiem. Pochodził z arystokratycznego rodu z Palatynatu; jego przodek był marszałkiem Francji i dowodził Armią Północną, a życie zakończył pod ostrzem gilotyny. Podróż radosnego barona przez III Rzeszę mijała bez zakłóceń. Dopiero na dawnej granicy niemiecko-francuskiej, w Elfringen, von Lückner został zatrzymany i cofnięty do Strasbourga z braku stosownej przepustki. Tamże, w oczekiwaniu na papiery, baron został poproszony do gabinetu dowódcy okręgu, feldmarszałka Wilhelma Lista.

Von Lückner nie dał po sobie poznać targających nim emocji. A musiały być silne, gdyż baronem zaproszonym przez marszałka polnego Rzeszy był w rzeczywistości Aleksander Stpiczyński „Wilski”. Przez chwilę polski agent obawiał się, czy List nie zapamiętał go jako szefa placówki polskiego wywiadu w przedwojennej Bratysławie. Ale nie: feldmarszałek zdziwił tylko niezwykle akcent barona, ale ten wyjaśnił zaraz, że wychował się w Holandii. Po rozmowie uprzejmy feldmarszałek kazał adiutantowi odwieźć na dworzec paryski oficera walczącego na froncie wschodnim. Prawdopodobnie nigdy się nie dowiedział, że „baron” był wprawdzie oficerem, ale Armii Krajowej!

Fantazja i brawura nie opuściła „von Lücknera” także w Paryżu. W tę podróż, na przełomie grudnia 1942 roku i stycznia 1943 roku, „Wilski” udał się na rozkaz płk. „Dzięcioła”. Miał za zadanie spotkać się w Paryżu z „Bradlem” Leskim. Obaj agenci „666” umówieni byli o godzinie 12.30 w restauracji u Maxime’a na rue Royal, w niezwykle pilnej sprawie przerzutu. Jednakże Stpiczyński nie doczekał się Leskiego. Coś się musiało stać! Zadziorny „Wilski” postanowił



poszukać „niemieckiego generała”.

Tymczasem „Bradl” spóźnił się z powodów nieprzewidzianych przez obu agentów: zaczęły się naloty alianckie na Niemcy i Urlauberszug „generała” został ostrzelany. Miał poważne opóźnienie. Leski, stojąc w końcu na peronie paryskiego dworca, martwił się, jak odnajdzie „Wilskiego”, gdyż nieopatrnie nie wyznaczyli sobie zapasowego punktu kontaktowego. Nieco zmartwiony wszedł do Stadtkommandantur w Paryżu, by ujrzeć na czarnej tablicy wielki napis: „Oberst Baron von Lückner prosi generała von Hallmanna o pilne skontaktowanie się. Mieszka w hotelu przy rue de Honoré”.

Stpiczyński wspomina w swych pamiętnikach, iż wczuł się w rolę wyższego oficera i domyślił, że „generał Hallmann” odwiedzi najpierw Komendę. Dlatego wszedł tam i nakazał podoficerowi informacyjnemu napisać kredą na tablicy stosowne zawiadomienie. „Przyznaję ze skruchą, że była to zuchwała bezczelność” – stwierdził po latach. Z tej „bezczelności” „Wilski” skorzystał jeszcze parę razy: np. pobierając kartony papierosów i lecząc się na grypę na koszt III Rzeszy u niemieckiego lekarza. Nic dziwnego, że „generał” Leski, gdy już spotkał „pułkownika” von Lücknera, wyrzucał mu z gorzkim uśmiechem: „Jesteś wariat, ale cóż, dziś chyba ten cholerny świat należy do wariatów”. Stpiczyński doceniał z kolei niezwykłą, analityczną odwagę Leskiego: był to według niego „najdzielniejszy z dzielnych naszej konspiracyjnej paczki, niezłomny patriota, pełen poświęcenia i odwagi”.

Jak twierdzi Kazimierz Leski w swych wspomnieniach, współpraca „generała Hallmanna” z Wirtschaftstab VII trwała do początków 1943 roku. Paryż, pomimo okupacji, był nadal wesołym miastem, niemal jak za czasów Republiki. Agenci polscy ze zdziwieniem odnotowali, że oficerowie niemieccy usiłowali mówić do Francuzów w ich „światowym języku”, stali karnie w kolejkach po bilety do teatrów, a sami Francuzi chętnie wyjeżdżali „na roboty” do Rzeszy, gdyż tam dużo lepiej płacono. Leski i jego koledzy dopiero w Paryżu mogli też najeść się do syta serów, owoców, czekolady i bagietek posmarowanych grubo masłem, niedostępnych w okupowanej Polsce.

Nim „Wilski” dotarł do Paryża, „Bradl” szukał już kontaktów z Résistance w nieokupowanej części Francji. Ale wyruszając do Zone

Libre, zgodnie z zaleceniami niemieckich „kolegów” zdjął mundur. W czerwcu 1942 roku zagrał rolę szacownego kupca, monsieur Jules’a Léfebrea, jadącego na wybrzeże Morza Śródziemnego w interesach. Przejazdy przez granice okazały się stosunkowo łatwe i Leski dotarł nad południowe wybrzeże Francji, odnotowując, że atmosfera jest tam tak przyjemna, jakby w ogóle nie było wojny.

Ten wyjazd związany był jednak ze znacznie poważniejszą misją: płk „Dzięcioł” nakazał Leskiemu, jako przedstawicielowi AK, przeprowadzić rozmowę z wysłannikiem sztabu Polskich Sił Zbrojnych w Londynie „Antonim”. Leski spotkał się z wysłannikiem w kawiarni hotelu „Imperator” w Cannes; rozpoznali się bez haseł, co było swoistym ostrzeżeniem dla obu, że wyróżniają się jednak z rozgadanego, beztroskiego z pozoru tłumu. „Antoni” okazał się porucznikiem kawalerii (Stanisław Sokołowski); niewysoka ranga agenta z Londynu wskazywała, że jest to jedynie spotkanie sondażowe. Dla bezpieczeństwa obaj panowie postanowili omówić sprawy nie w kawiarni, lecz podczas spaceru.

---

W Paryżu wojny nie odczuwało się aż tak dotkliwie. A francuskie zasady „konspiracji” były dla polskiego agenta wręcz szokujące.

---

Ledwo wyszli na wijącą się malowniczo szosę Grande Corniche, natrafili na wynurzający się z za zakrętu patrol żandarmerii. Wpadka wydawała się nieunikniona. Pod bronią zaprowadzono ich na posterunek i tam przez kilka godzin przesłuchiowano, badając dokumenty. Obaj zatrzymani, nie wiedząc nic o sobie, wikłali się w zeznaniach, mówiąc o „przypadkowym spacerowiczu”, co już wzbudziło ogromne podejrzenia. Uratowała ich jednak data zameldowania w hotelu. Okazało się bowiem, że żandarmi szukali dwóch zbiegłych jeńców angielskich, a agenci polscy byli zameldowani jeszcze przed ich ucieczką.

Podobnie niebezpieczna przygoda spotkała Leskiego, gdy szukał

kontakty z Résistance. Poprzez jednego z „Muszkietarów”, Andrzeja Lipkowskiego („13”), a raczej jego kuzyna, dyrektora banku w Paryżu nazwiskiem de Lipkovsky, zdołał nawiązać kontakt z tajemniczym pułkownikiem Médéric. „Bradl” spotkał się z nim w małej kafejce na Isle Saint Louis. Lokal był pełen ludzi; gdy Leski wszedł do środka, oczy wszystkich zwróciły się ku niemu, jakby miał wypisane na czole, że jest agentem. Leski zachował zimną krew i usiadł; wreszcie podszedł do niego miły pan i przedstawił się jako płk Médéric. W rzeczywistości był to inżynier Gilbert Védy, szef tajnej Ceux de la Libération, bliski współpracownik gen. de Gaulle’a. Leski był zbulwersowany francuskimi zasadami „konspiracji”. Od stolików wstawali kolejni panowie wzywani przez „pułkownika”, przedstawiali się, po czym omawiali konkretne kwestie. Widząc niepokój polskiego agenta, „płk Médéric” zapewnił go, że wokół sami swoi. Tymczasem jemu, „przyczajonemu do niesłychanie ostrych rygorów konspiracji w Polsce, pozostał jednak pewien cień wątpliwości” – wspominał Kazimierz Leski. Ale rozmowy okazały się bardzo owocne i współpraca z Résistance została nawiązana.

### **Brawura bez granic**

W przerwach między przecieraniem coraz dalszych szlaków „generał Hallmann” wpadał do Paryża do „starych znajomych” w Wirstchaftstab VII. Rozmawiano z nim coraz chętniej jako wybitnym specjalistą od zaopatrzenia logistycznego wielkich fortyfikacji. Rozmowy stawały się jednak ogromnie niebezpieczne. Tylko niebotycznemu szczęściu zawdzięczał, że nikt w Paryżu nie zatelefonował do sztabu Ost-Süd Front Ukraine, do Winnicy, w sprawie sympatycznego generała ds. fortyfikacji, jak również to, że nigdy nie natknął się na autentycznego oficera sztabowego ze Wschodu. Sam zrozumiał, że dalej tej gry prowadzić nie może – że musi rozstać się z szykownym mundurem wykonanym przez warszawskiego krawca z Lipowej 5, szyjącego zresztą mundury zarówno dla Niemców, jak i na potrzeby polskiej konspiracyj.

Leski nie chciał jednak łatwo zrezygnować po tylu miesiącach grania Niemcom na nosie. Zaproponował płk. „Dzięciołowi” ostatni ruch jako

„generał Hallmann”. Postanowił zdobyć plany odcinka umocnień zwykowanego właśnie przez Niemców Wału Atlantyckiego.

W związku z tym zgłosił w VII Sztabie Gospodarczym swą pomoc jako specjalista. Liczył, że znajomi oficerowie niemieccy, zajęci pracą, nie sprawdzą go zbyt dokładnie – i miał częściowo rację. „Rozmowy te i pertraktacje trwały dość długo i dały mi sporą dozę informacji i danych” – pisał Leski. Na koniec prac nad Festung Europa, czyli „Twierdzą Europa”, „generał Hallmann” oznajmił, że skończyły mu się pieniądze, musi wracać na Ost-Front i dlatego prosi o zaliczkę. Otrzymał całkiem pokaźną kwotę – w uznaniu pracy nad planami Festung Europa III Rzesza wynagrodziła polskiego agenta 500 Reichsmarkami. Płk „Dzięcioł” poinformowany przez agenta o zaliczce zezwolił mu na jej zatrzymanie. „Uważam, że były to uczciwie zarobione pieniądze” – żartował po latach były „generał Hallmann”. Wracał do okupowanego kraju z fragmentami dokumentacji przyszłego Wału Atlantyckiego, którą zdołał przejąć.

W Paryżu był już jednak spalony, musiał więc zmienić skórę. Gdy nowe zadanie zlecone przez warszawski kontrwywiad AK znów rzuciło go do Paryża, postanowił odnowić znajomość z lampasami, ale przyjął tożsamość innego rzekomego generała – Karla Leopolda Jansena. Teraz nosił wąsy, włosy miał silnie przyprószone sztuczną siwizną i zmienioną postawę.

„Generał Jansen” zjawił się w Paryżu w kwietniu lub maju 1943 roku. W Stadtkommandantur dostał przydział kwatery w dobrze znanym mu hotelu. Był straszliwie zmęczony podróżą, bólami kręgosłupa, ostrzałem pociągu, i późną nocą dowlókł się do hotelu. Sięgnął po swój przydział opiewający na nazwisko generała Jansena, by okazać go portierowi, w tym momencie usłyszał jego miły głos: „Witam pana, generale von Hallmann!”.

Cała maskarada okazała się na nic. Mimo prób zmiany wyglądu portier rozpoznał go jako „generała Hallmanna”. Zdziwił się zapewne tylko, dlaczego generał tak nagle się postarzał: ale cóż, wojna na Wschodzie to nie przelewki! Śmiertelnie zmęczony Leski zachował niezwykłą przytomność umysłu. Cofnął rękę z dokumentem opiewającym na nowe nazwisko, zapytał szybko o jakiegoś pułkownika i umknął z hotelu pod pozorem spotkania, obiecując sobie nigdy nie

dopuszczać do „zbytniego zmęczenia”.

To był kres wypraw agenturalnych do Francji. Leski z kolegami z „666” wykonał zleczone mu zadania: przetał szlaki pomiędzy krajem a Rządem na Wychodźstwie. Jego kolejny rozdział życia, tym razem w kraju, był nie mniej sensacyjny. Gdy nadszedł 1 sierpnia 1944 roku, agent wywiadu „Bradł” bez wahania chwycił za broń.

---

Mimo bardzo bolesnych powojennych doświadczeń Leski – naukowiec i inżynier – do końca życia służył Ojczyźnie.

---

### **„Bradł” w Powstaniu**

Wybuch Powstania Warszawskiego zastał Leskiego bez przydziału. O szykowanym zrywie dowiedział się przypadkowo i 1 sierpnia zdecydował się wydobyć ze skrytki lokalu przy alei 3 Maja służbowy pistolet vis. Na własną rękę zaczął montować oddział w celu opanowania Rüstungskommando w Alejach Ujazdowskich. Wiedział, że tam znajdują się tajne akta Abwehrstelle, niemieckiej placówki wywiadowczej. Gmach Rüstungskommando w Al. Ujazdowskich 24 udało się przejąć bez większego trudu. Nieliczny jeszcze, dopiero tworzony oddział Leskiego wszedł cichcem na dach pobliskiego gmachu Soldatenheim i powstańcy zdobycznymi granatami wykurzyli niemiecką załogę z budynku. W ten sposób w dzielnicy niemieckiej została stworzona wolna polska enklawa, rozszerzana w toku zaciętych walk w rejonie pl. Trzech Krzyży i Al. Ujazdowskich. Po kilku dniach oddział „Bradla” przekształcił się w batalion AK „Miłosz” pod dowództwem „Sławbora”, Jana Szczurka-Cergowskiego. Leski, awansowany na kapitana, dowodził jedną z trzech kompanii 800-osobowego batalionu. Zdobyte gmachy, m.in. YMCA przy Konopnickiej, budynek Sejmu, utrzymał do końca powstania. Za zasługi wojskowe został odznaczony osobiście przez komendanta AK Bora-Komorowskiego Orderem Virtuti Militari.

Po klęsce powstania i rozwiązaniu Armii Krajowej Leski został szefem sztabu Obszaru Zachodniego w Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj. Polska była dla niego – jak pisał we wspomnieniach – najważniejsza, więc natychmiast pośpieszył do Gdańska, by wziąć udział w odbudowie zrujnowanych stoczni na Wybrzeżu. Oznaczało to groźne spory z przedstawicielami Armii Czerwonej, którzy pozostałości po pięknym porcie i stoczni uważali za swoją zdobycz wojenną. Jako akowiec, czyli „zapluty karzeł reakcji”, szybko dostał się na celownik komunistycznej bezpieki. Jeszcze w 1945 roku, zaledwie dwa dni po tym, jak odebrał od ministra Hilarego Minca nagrodę i odznaczenie za odbudowę stoczni, został aresztowany. Władza komunistyczna uznała go za „wroga ludu”. W śledztwie zmuszano go, by przyznał się do wydawania komunistów gestapo. Wspominał: „gnieciono mi palce, wkładając między nie ołówki, bito, czym popadło, dłonią złożoną w kształt muszli oklaskiwano mi uszy, powodując wtłaczanie do ucha taranu powietrza. Stąd nieusuwalne uszkodzenie słuchu. Sadzano na odwróconej ku górze nodze stolika. W grę wchodziły także przypalania papierosem”. Leski zapamiętał dręczących go kapitanów: Duszę, Kaskiewicza, Humera, a nade wszystko płk. Józefa Różańskiego, inteligentnego okrutnika. Wielogodzinne śledztwa i wymuszone bezsenne noce, nago, w przenikliwym zimnie w tzw. Zakopanem, doprowadziły go do skrajnego wyczerpania: „Zaproponowałem mjr. Hummerowi, że podpiszę, że jestem ukrywającym się Hitlerem, ale niech mi dadzą spać”. Usiłował popełnić samobójstwo, skacząc głową w dół na kamienną podłogę. Ale kręgi szyjne i czaszka przetrwały uderzenie. Po dwóch latach udreki Leski usłyszał wyrok: 12 lat więzienia.

Kazimierz Leski wyszedł z więzienia w 1955 roku. Szły nowe czasy po ujawnieniu przez Chruszczowa na XX Zjeździe KPZR ludobójczych następstw kultu jednostki. Po 1956 roku władza komunistyczna „pozwoliła” inżynierowi na pracę zawodową w przemyśle okrętowym. A potem w Polskiej Akademii Nauk. Przez jakiś czas jednak w „Gazecie Ludowej”, związanej z PSL, pojawiały się głosy, że zbyt dużo mówił podczas śledztwa i więzienia. Ostatecznie został zrehabilitowany w 1991 roku.

Kazimierz Leski, inżynier, intelektualista, poliglota, uzyskał w 1973

roku doktorat nauk humanistycznych na Uniwersytecie Warszawskim, był ponadto autorem 150 prac naukowych; nie przyjęto jednak jego rozprawy habilitacyjnej ani na Politechnice w Warszawie, ani we Wrocławiu – zapewne z przyczyn politycznych. Skąd brał tak niepojętą wytrwałość, pasję, odwagę i pogodę ducha, by przetrwać niezwykle i koszmarnie zawirowania losu? Po latach zwierzył się żonie Marii, że to ona była dla niego wynagrodzeniem za całe to „życie niewłaściwie urozmaicone”. Zmarł w 2000 roku, został pochowany na Powązkach.

Czytając wspomnienia Kazimierza Leskiego, słuchając opowieści o podobnych mu – odważnych, działających ze szlachetnych patriotycznych pobudek – bohaterach, nie sposób nie zadać sobie pytania, dlaczego nie zastąpili oni w zbiorowej wyobraźni „kapitana Klossa” – agenta w służbie komunizmu? Czy właśnie dlatego „Brad” Leski nie chciał oglądać popularnego serialu? A może dlatego, że wiedział aż za dobrze, jak pracuje i co naprawdę czuje agent wywiadu...

#### **Jerzy Besala**

Historyk i publicysta. Napisał m.in. biografie Stefana Batorego i Stanisława Żółkiewskiego, trytomowe Małżeństwa królewskie. Piastowie, Jagiellonowie, Królowie elekcyjni. Obecnie pisze Miłość i strach. Dzieje uczuć kobiet i mężczyzn, zaplanowane na 5 tomów.

# Papiescy szpiedzy na dworze chana

W 1246 roku do krainy chana dotarli włoski franciszkanin Jan di Piano Carpini i brat Benedykt Polak z Wrocławia, ubiegając Marca Polo o ćwierćwiecze. To dzięki nim Europa poznała prawdziwe oblicze budzących grozę Mongołów.

autor Krzysztof Kęciak

**P**apież Innocenty IV, kardynałowie i biskupi zebrani na soborze w Lyonie wielce się radowali takim przykładem cnót chrześcijańskich. Kiedy tylko bowiem ogłoszono, że poszukiwani są ochotnicy, którzy odbędą poselstwo do władcy straszliwych Tatarów, natychmiast wystąpiło wielu franciszkanów i dominikanów, prosząc, aby wyznaczono właśnie ich. A przecież pobożni bracia zdawali sobie sprawę, że podejmują niemal samobójczą misję. Nikt w Europie nie wiedział wtedy nawet, jak zwie się wielki chan Mongołów, powszechnie zwanych Tatarami, ani gdzie szukać jego siedzib. Pewne za to było, że po drodze czyhać będą niezliczone niebezpieczeństwa. Sam papież przeczuwał w głębi duszy, że wysłał zakonników na pewną śmierć. O Tatarach krążyły wtedy mrożące krew w żyłach opowieści, uchodzili za krwiożercze bestie z piekła rodem.

Niewątpliwie mnisi pragnęli umrzeć dla wiary i zyskać palmę męczeństwa, pojmovali wszelako również, jak ważna jest to misja dla chrześcijaństwa i Kościoła. Gdyby udało się nawrócić wielkiego chana, wówczas krzyż zatriumfowałby w całym okręgu ziemi!

Koniec pierwszej połowy XIII wieku w Europie historycy nazywają „czasem grozy”. Z wielkiego stepu, rozciągającego się od Wołgi po brzegi Pacyfiku, wyroiły się nagle nieprzeliczone hordy skośnookich jeźdźców – Mongołów, o których nawet mieszkający na wschodzie Rusini nigdy przedtem nie słyszeli. „Bóg jedynie wie” – pisał autor



najstarszej kroniki nowogrodzkiej – „kim są i skąd wpadli do nas... Bóg jeden wie, skąd pozwolił, aby przybyli z powodu naszych grzechów”. Mongolskie zastępy liczące 100 tysięcy wojowników w krótkim czasie podbiły Ruś, obracając w perzynę niezliczone jej grody.

---

Niezwycięzeni mongolscy jeźdźcy zawojowali Ruś, pokonali rycerstwo polskie i węgierskie. Tylko śmierć chana ocaliła Europę.

---

W 1241 roku, w kilka miesięcy po upadku Kijowa, masy jeźdźców mongolskich runęły na Polskę i Węgry. Tumen (największa jednostka bojowa armii mongolskiej) pod wodzą Ordu rozniósł w puch rycerstwo krakowskie i sandomierskie, zamienił w zgłiszcza Kraków i poszedł pod Wrocław.

9 kwietnia tegoż roku na legnickim polu usiłował powstrzymać najeźdźców książę Henryk Pobożny, stojący na czele rycerzy ze Śląska, Wielkopolski i niedobitków krakowskich.

W zaciętej bitwie chrześcijanie już sięgali po zwycięstwo, gdy Mongołowie użyli gazów bojowych i ognia greckiego. Zapanował popłoch. Ranny Henryk Pobożny został pochwycony i ścięty, jego wojsko rozpieczętowało się. Zakuci w żelazo rycerze Beli IV też nie dotrzymali pola lekko zbrojnym, lecz zaprawionym w bojach synom stepu. W dwa dni po Legnicy zostali rozniesieni w puch nad rzeką Sajó. Mongołowie zalali Nizinę Węgierską i puścili z dymem madziarskie stolice – Budę i Ostrzyhom. Bela IV ledwie z życiem uszedł.

Europa Zachodnia z przerażeniem oczekiwała najazdu skośnookich koczowników. Wieści o okrucieństwach Mongołów paraliżowały wolę oporu. „Gdy Tatarzy zwyciężają, nie zostawiają przy życiu ani dzieci, ani dorosłych, a ciężarnym kobietom rozcinają brzuchy i odcinają głowy płodów od tułowia” – relacjonował Iwon z Narbony, świadek najazdu mongolskiego na Węgry. Jego opowieść, wzbogacona

o straszliwe plotki, niekiedy przybiera perwersyjne zabarwienie: „Z trupów swoich ofiar, które hersztowie (...) pożerają jak my chleb, pozostawiają sępom jedynie kości. Stare i brzydkie niewiasty mają ci ludożercy jako codzienne pożywienie, natomiast przystojnych nie pożerają – zameczają je nieustannym gwałtem, wcale nie zważając na ich krzyki i jęki. Dziewczęta zaś wykorzystują w ten sposób aż do śmiertelnego wyczerpania, w końcu obcinają im piersi, by dać je hersztom jako przysmaki, i pożerają ciała dziewcząt jak smakowity kąsek”.

Pod wpływem takich opisów monarchów europejskich ogarnął lęk. Lecz oto nastąpił cud – Mongołowie nie pognali koni na Zachód, ale wycofali się niespodziewanie w stepy, zniknęli jak demony ze złego snu. Europejczycy nie wiedzieli wtedy, że w Karakorum, dalekiej stolicy najeźdźców, zmarł wielki chan Ugedej. Dowodzący wyprawą do Europy Batu-chan postanowił więc wycofać swoje tumeny, by wziąć udział w wyborze nowego władcy.

Chaos wywołany najazdami nomadów trwał. W 1244 roku Europę poraziła wieść o upadku Jerozolimy, świętego miasta, odzyskanego z rąk muzułmanów przez cesarza Fryderyka II zaledwie przed 15 laty. Kiedy Mongołowie zniszczyli potężne państwo Chorezmu, położone na terenie dzisiejszego Iranu i Afganistanu, niedobitki Chorezmijczyków, ludu pochodzenia tureckiego wyznającego islam, ratowały się paniczną ucieczką. Jedna z takich band chorezmijskich, licząca 10 tysięcy jeźdźców, zaatakowała Jerozolimę i wzięła ją szturmem. Zdobywcy oddali miasto sułtanowi Egiptu z dynastii Ajjubidów.

Chrześcijanie utracili nie tylko miejsce kultu, Grób Chrystusa, ale i liczne posiadłości, zdobyte podczas wypraw krzyżowych. Papież nie miał złudzeń – po tej klęsce los Królestwa Jerozolimskiego, utworzonego w wyniku pierwszej krucjaty, był przesądzony. Innocenty IV, uwikłany w ostry spór z cesarzem Fryderykiem II, nie był jednak w stanie zorganizować nowej wyprawy krzyżowej, która odzyskałaby Święte Miasto.

---

„Gdy Tatarzy zwyciężają, nie zostawiają przy życiu ani dzieci, ani dorosłych” – pisał Iwon z Narbony.

---

Wówczas w kurii rzymskiej przypomniano sobie maksymę: „wróg mojego wroga jest moim przyjacielem”. A gdyby tak skłonić niezwyciężonych mongolskich jeźdźców do zaatakowania muzułmanów? Czy Tatarzy nie wyrznęli już tysiący wyznawców Proroka z Chorezmu? Gdyby tylko zechcieli, z łatwością wyzwoliliby Jerozolimę i zmiotli „niewiernych” (tj. mahometan) z powierzchni ziemi!

Innocenty IV postanowił więc spróbować. Jako doświadczony polityk nie oczekiwał, że Mongołowie od razu się nawrócą. Wystarczyłoby, gdyby zwrócili swój miecz przeciw wyznawcom islamu. Już kilka lat wcześniej biskup Winchesteru w Anglii snuł marzenia o zbawiennym dla chrześcijan konflikcie muzułmanów z walecznymi koczownikami ze stepów: „Pozwólmy tym psom pożerać się nawzajem, aby wyginęły pożarte. My zaś przybędziemy wtedy, kiedy pozostaną jedynie resztki tych nieprzyjaciół Boga, pozabijamy ich i oczyścimy od nich ziemię; w ten sposób cały świat poddany będzie jednemu Kościołowi powszechnemu i stanie się jeden pasterz i jedna owczarnia”.

Kiedy do Lyonu przybył biskup Piotr z Rusi i powiedział, że Mongołowie to wprawdzie barbarzyńcy, ale posłów nie zabijają, papież postanowił wysłać do chana aż cztery misje naraz. Poselstwa podążyć miały różnymi drogami. Dzięki temu większa była szansa, że choć jeden z legatów powróci. Wysłannicy mieli uważnie wszystko obserwować, innymi słowy, pełnić rolę szpiegów chrześcijaństwa. Innocenty IV osobiście ułożył dla nich katalog pytań, na które powinni znaleźć odpowiedź: Jakie jest pochodzenie Tatarów? W co oni wierzą? Jakie mają wyobrażenia i zwyczaje religijne? Jak żyją? Jaka jest ich siła? Ilu ich jest? Jakie mają zamiary? Jak przestrzegają zawartych umów? Jak traktują posłów?

To był katalog oficjalny. Papież nakazał jeszcze mnichom, aby dokładnie wybadali metody walki mongolskich wojowników i sposoby

najlepszej przed nimi obrony.

Spośród braci, tłoczących się przed papieskim tronem w pałacu biskupim w Lyonie, jako legatów do chana wybrano dwóch dominikanów – Ascelina z Cremony i Andrzeja z Longjumeau, oraz dwóch franciszkanów – Wawrzyńca z Portugalii i Jana di Piano Carpini. Najwięcej wątpliwości wywołała osoba tego ostatniego. Jan był duchownym wielce dla Kościoła zasłużonym. Urodzony w końcu XII stulecia w Piano Carpini koło Perugii, został jednym z pierwszych uczniów i towarzyszy świętego Franciszka. Zakładał zakon braci mniejszych (minorytów, czyli franciszkanów) w Niemczech. Sprawował też pieczę nad sprawami zakonu w Europie Środkowej, przyczynił się do powstania pierwszych klasztorów franciszkańskich w Czechach i w Polsce. Przez trzy lata podobną misję pełnił w Hiszpanii. W 1245 roku Jan miał już wszakże 60, a może nawet 65 lat, był więc człowiekiem sędziwym. Co więcej, natura obdarzyła go ogromną tuszą. Kiedy korpulentny prowincjał ewangelicznym (i włoskim) zwyczajem przemierzał drogi Saksonii na osiołku, wieśniacy zbiegali się tłumnie, głośno wyrażając uznanie dla pobożności mnicha (Niemiec podróżowałby konno lub wozem), po cichu zaś współczuli nieszczęsnemu zwierzęciu, przygniacionemu wielkim ciężarem. Jakże więc wysłać otyłego starca dosłownie na koniec świata?

Ostatecznie jednak papież zdecydował się zaufać Janowi. Odegrało tu rolę doświadczenie włoskiego franciszkanina w sprawach militarnych. Carpini bowiem, zanim przywdział habit, prawdopodobnie był rycerzem.

Pozostałe poselstwa zawiodły. Wawrzyniec z Portugalii albo w ogóle nie wyruszył, albo dotarł tylko na ziemie Bułgarów. Andrzej z Longjumeau wylądował w Tripolis (obecnie Liban) i prowadził rokowania z władcami muzułmańskich państw Bliskiego Wschodu. Napotkał nawet jakąś hordę Mongołów, ale nie osiągnął niczego. Ascelin wybrał drogę przez Azję Mniejszą i dotarł do obozu mongolskiego wodza Bajdzu w Gruzji pod Tyflisem. Jemu przekazał papieskie listy do wielkiego chana i nie chciał już jechać dalej.

---

Konrad Mazowiecki i polscy możnowładcy pomogli biednym franciszkanom. Dali im cenne futra bobrowe i borsucze na dary dla chciwych Mongołów.

---

Zupełnie inaczej przebiegała misja Carpiniego. Włoski zakonnik zdawał sobie sprawę z ryzyka. „I chociaż lękaliśmy się ze strony Tatarów lub ze strony innych narodów śmierci albo dozgonnej niewoli lub udręczenia głodem, pragnieniem, mrozem, upałem, obelżywościami i nadmiernymi, jakby ponad siły trudami... to jednak nie oszczędzaliśmy siebie samych...” – pisał.

Carpini wyruszył z Lyonu 16 kwietnia 1245 roku, towarzyszył mu konfrater Czesław z Czech. Obaj franciszkanie wybrali drogę północną. Kiedy legaci przybyli do Pragi, przyjął ich król czeski Wacław I, jak się wydaje, dobry znajomy Jana Carpiniego. „Jedźcie przez polskie ziemie, czcigodni braciszku. Życie tam tanie, ludzie hojni, bezpieczne gościńce, a i do przeklętych Tatarów niedaleko” – poradził franciszkanom czeski monarcha. Mnisi udali się więc na Śląsk, gdzie prawdopodobnie we Wrocławiu dołączył do nich konfrater Benedykt Polak, należący do utworzonego w śląskiej stolicy w 1239 roku konwentu franciszkańskiego.

Benedykt, który miał stać się pierwszym polskim podróżnikiem, pełnił rolę tłumacza. Obok łaciny władał bowiem ruskim, a Tatarzy pobrali przecież całe mnóstwo ruskich jeńców, których pełno było nawet w Mongolii właściwej. Być może znał też podstawy mongolskiego. Nauczyć się ich mógł w tatarskiej niewoli lub od jeńców z armii chańskiej. We Wrocławiu w skład poselstwa przypuszczalnie wszedł jeszcze jeden polski franciszkanin, znany jedynie jako C. de Bridia (zapewne z Brzegu). On też sporządził później swą malowniczą Historię Tatarów.

Poselstwo zatrzymało się na wrocławskim dworze księcia Bolesława Rogatki, następnie podążyło do Łęczycy, siedziby Konrada Mazowieckiego. Odbывał się tam właśnie zjazd władców i dostojników polskich. Przybył nań także Wasylko, książę włodzimiersko-wołyński, uznający już władzę Mongołów. Ten udzielił papieskim legatom

cennej, szczególnie ważnej rady.

Każdy, kto udaje się do Tatarów, powinien zabrać „wielkie dary dla nich, ponieważ domagają się ich oni z ogromnym natręctwem, a jeżeli nie da się darów, nie może poseł... z nimi w zgodzie spraw swoich załatwić, a nawet jakby za nic jest uważany”.

Zakłopotał się Jan i jego towarzysze. Byli przecież biednymi franciszkanami, żyjącymi z jałmużny dobrych ludzi, a papież nie dał im środków na drogę. „Cóż poczniemy? Jakże wypełnimy misję Ojca Świętego?” – załamywał ręce konfrater Czesław. „Nie lękaj się, bracie. Bóg nie da zginąć swoim sługom. Zbierzmy nasze grosze i denary! Za nie kupimy nieco futer bobrowych i borsucznych dla cesarza Tatarów oraz możnych jego” – dodawał mu otuchy Jan. „To, co mamy, nie starczy i na pięć skórek. Poprośmy lepiej o pomoc księcia Konrada. Surowy to człek i popędliwy, ale dla Kościoła hojny. A i jego rycerze także sięgną do kabzy, by poprzeć Chrystusową sprawę” – poradził Benedykt.

I rzeczywiście Polacy pomogli ubogim legatom. „Książę Konrad i księżna Krakowa [Grzymisława, wdowa po Leszku Białym], niektórzy rycerze oraz biskup Krakowa [Prandota z Białaczoła], gdy dowiedzieli się o tym, podarowali nam wiele tego rodzaju futer” – pisze z wdzięcznością di Piano Carpini.

---

„Są natrętami przy wyłudzeniu, zawziętymi kutwami i bardzo skąpymi darczyńcami” – relacjonował Carpini.

---

Dobrze zaopatrzeni posłowie wyruszyli starym kupieckim gościńcem przez Zawichost, Kraków, Horodło, Włodzimierz Wołyński i Łuck na Kijów. Była już ostra zima. Franciszkanie jechali przez kopne śniegi wynajętymi saniami, od przenikliwego mrozu wszyscy się pochorowali. Lękali się bardzo grasujących w okolicy litewskich wojowników, udało im się jednak przejechać bezpiecznie.

W Kijowie widać było ślady przerażającej masakry, dokonanej przez

Mongołów – wszędzie zgliszcza, stosy kości i czaszki walające się na ziemi. Namiestnik tatarski w randze tysięcznika udzielił posłom dobrej rady: powinni wymienić ruskie wierzchowce na konie mongolskie. Ruskie konie nie potrafią bowiem wygrzebywać sobie trawy spod śniegu, jak konie mongolskie, a Tatarzy nie mają u siebie „ani słomy, ani siana, ani obroku”. Tysięcznik skłonny był dać konie, ale oczywiście nie za darmo. Franciszkanie musieli więc wręczyć mu sowite dary.

3 lutego 1246 roku legaci opuścili Kijów. 23 lutego dotarli nad zamrznięty Dniepr, za którym rozciągały się już mongolskie koczowiska. Natychmiast otoczyli ich skośnoocy strażnicy. Carpini wyjaśnił, że są posłami „pana Papieża” i mają jego listy do „cesarza Tatarów”. Posłowie spędzili kilka dni na łodzie pokrywającym wielką rzekę, potem przydzielono im tatarskie konie pocztowe i przewodników. Musieli jednak zatrzymywać się u każdego z mongolskich wodzów i oddawać mu pokłon (czyli wręczać dary), a pod tym względem Tatarzy byli nienasyчени. „Są ogromnymi natrętami przy wyłudzeniu czegokolwiek, zawziętymi kutwami i bardzo skąpymi darczyńcami” – relacjonował Carpini. W ordzie (na dworze) wodza Korenzy, stojącego na czele 6 tysięcy wojowników, wysłannicy Stolicy Apostolskiej musieli zastosować się do miejscowych obyczajów. „Zostaliśmy pouczeni, aby przed wejściem przyklęknąć po trzykroć na lewe kolano i strzec się starannie, ażeby nie postawić nogi na progu, co dokładnie wykonaliśmy, ponieważ na tych, którzy świadomie nadepną próg namiotu jakiegoś wodza, zapada wyrok śmierci”.

Korenza tak długo szantażował posłów, aż wycisnął od nich mnóstwo podarunków. Wtedy dopiero wyprawił ich do Saraj-batu, obozu samego Batu-chana, wodza wyprawy na Węgry i Polskę w 1241 roku, a obecnie pana Złotej Ordy, zachodniej części imperium mongolskiego. Chan rezydował we okazałych lnianych namiotach, zdobytych na królu Madziarów, pił ze srebrnych i złotych naczyń, muzycy przygrywali mu na cytrach. Batu kazał ofiarować sobie „40 skór bobrowych i 80 borsuczych”.

Kiedy posłowie mieli udać się do obozu chana, nakazano im, aby przeszli między dwoma ogniskami. „Nie możemy tego uczynić!” –



wykrzyknął Czesław z Czech. „Nie zdradzimy Chrystusa dla pogańskich bałwanów”. Mongolscy wodzowie wyjaśnili: „Idźcie spokojnie, ponieważ nie każemy wam przechodzić z innego powodu między tymi dwoma ogniami, jak tylko dlatego, ażeby, jeśli coś złego knujecie w myślach przeciw naszemu panu albo jeżeli przypadkiem niesiecie truciznę, ogień mógł usunąć wszelkie zło”. Wtedy posłowie dopełnili ceremonii.

Tatarzy wysłali ich aż do Karakorum, siedziby wielkiego chana. Batu uznał jednak tak liczny skład poselstwa za podejrzany. Obawiał się nie bez słuszności, że papież przysłał swoich ludzi na przeszpiegi. „Bardzo łaskawy chan chce, aby tylko dwóch z was pojechało dalej. Reszta niechaj zostanie. Zabierzecie ich, kiedy będziecie wracać do wielkiego papieża” – oznajmił wolę Batu jego stolnik Eldegai. Stało się to w Wielką Sobotę, 7 kwietnia 1246 roku.

Żaden z mnichów nie chciał jednak pozostać na koczowiskach. Spór rozstrzygnął brat Jan: „Nie ma rady, razem nie puści nas Batu. Ja pojedę do cesarza jako głowa legacji, a frater Benedykt ze mną, bo językiem Rusinów włada, a i tatarski nie jest mu obcy. Wy zaczekajcie tu, bracia, a miejcie na wszystko baczenie, abyście mogli opowiedzieć o Mongołach jak najwięcej Papieżowi i chrześcijańskim monarchom. Jeśli Bóg pozwoli, zabierzemy was, gdy powracać będziemy do Lyonu”. Krzywili się Czesław z Czech i C. de Bridia, ale musieli posłuchać. Dla Jana Carpiniego, Benedykta i kilku sług rozpoczęła się szalona podróż. Mongołowie byli ludem koczowniczym, przywykłym do trudnego bytowania w jałowym stepie. Traktowali posłów, w swoim pojęciu, dobrze. To znaczy tak, jak samych siebie. „Pożywieniem było wtedy tylko proso z wodą i solą, a w inne dni nie mieliśmy nic do picia oprócz stopionego w kotle śniegu” – pisał franciszkanin Jan. „Często obozowaliśmy na pustkowiu w śniegu, chyba że byliśmy w stanie wydeptać sobie miejsce [do spania] tam, gdzie nie było drzew, lecz równinne pole. Często budziliśmy się całkowicie przykryci śniegiem, gdy wiatr go nawiewał”.

Podczas drogi przez bezkresne stepy minoryci odkryli m.in. tajemnice jeźdźców mongolskich, którzy po wielogodzinnej jeździe wcale nie sprawiali wrażenia zmęczonych. Otóż głowę, tułów i kończyny owijali bardzo ściśle bandażami. Carpini i jego towarzysze



również zaczęli to praktykować i odtąd łatwiej im było znieść torturę nieustannego przebywania w siodle: „Wstawaliśmy rano i jechaliśmy do nocy bez posiłku, a bardzo często przyjeżdżaliśmy tak późno, że nie jedliśmy wieczorem, lecz to, co powinniśmy jeść wieczorem, dawano nam rano... Tak jechaliśmy, jak tylko konie mogły biec kłusem, żadną miarą ich nie oszczędzając, ponieważ w ciągu dnia często mieliśmy nowe konie... Tak spiesznie pędziliśmy konno bez żadnej przerwy...”.

Mimo przyjaznego nastawienia eskortujących Mongołów wywiadowcy papieża zachowali czujność – po drodze widzieli, do czego zdolni są ich gospodarze: „...W Komanii [stepy nadwołżańskie] napotykałiśmy wiele czaszek i kości ludzi zmarłych, leżących jakby nawóz na ziemi” – pisał Carpini. Były to szczątki Komanów (inaczej Połowców lub Kipczaków), koczowniczego ludu, zwyciężonego i zmasakrowanego przez Mongołów.

Z Saraj-Batu legaci podążali bezdrożami wielkiego stepu nad Morzem Kaspijskim, skąd Tatarzy przepędzili większość Komanów. Tam dostawali na mongolskich stacjach pocztowych silniejsze konie, które dobrze radziły sobie na pozbawionych jakichkolwiek szlaków pustkowiach. Następnie jechali północnym brzegiem Jeziora Aralskiego. Musieli tam przebyć pustynię, „zupełnie poszarzałą z powodu suszy”, gdzie w namiotach koczowały niedobitki Kangitów, znanych w Europie jako Pieczyngowie, pasterskiego ludu niemal doszczętnie wytępnionego przez Mongołów.

Siedziby Kangitów znajdowały się na wschód od rzeki Jaik (Ural), którą legaci przepłynęli na łodziach, dostarczonych przez komendanta pocztowej stancy. Podobnie przekraczano inne rzeki – Mongołowie dbali o sprawną komunikację w swym imperium i wszędzie organizowali przeprawy, na mniejszych rzekach zaś wznosili mosty i mościli brody.

Na pustyni posłom ogromnie dokuczał piekielny skwar. Niewątpliwie pomarliby z pragnienia, gdyby nie pomagali im mongolscy przewodnicy, prowadzący do studni wykopanych na rozkaz wielkiego chana. Setki Rusinów wędrujących do Karakorum, którymi Mongołowie nie opiekowali się tak troskliwie, skonało w tym morzu słonych piasków, w słonych bagnach i na brzegach słonych strumieni.

Legaci ze zgrozą oglądali ich szkielety.

Podróż przez pustynię trwała od 16 kwietnia do 17 maja 1246 roku. Potem zaczęły się góry Chorezmu, potężnego państwa unicestwionego przez mongolski najazd. Legaci jechali teraz starym szlakiem kupieckich karawan, wiodącym do miast Jangikent (obecnie Dżankent) i Barchin (Barczinligent), silnych chorezmijskich twierdz nad Syr-Darią. Papiescy posłowie widzieli zgliszcza niezliczonych wsi i grodów, spustoszonych ogniem i mieczem. Chorezmijscy wyznawali islam, Jan Carpini nazwał ich więc Saracenami.

---

Wędrując przez Chorezm, papiescy posłowie mijali zgliszcza niezliczonych wsi i grodów, spustoszonych przez Mongołów.

---

Po wkroczeniu na tereny znajdujące się pod władzą Mongołów franciszkanie nie musieli się już obawiać dzikich ludów czy napadu rozbójników. Wielki chan potrafił zapewnić bezpieczeństwo na swych szlakach i rabusiów bezlitośnie wytępiono.

Prawdziwe męki czekały wysłanników Stolicy Apostolskiej, gdy gościnni naczelnicy poszczególnych stanic zapraszali ich do swych jurt na poczęstunek. Dobrze, jeśli były to zwykłe „jagły z wodą”, tak rzadkie, że można je pić. Pozostałe potrawy skośnookich synów stepu nie mogły znaleźć uznania Europejczyków. „Jedzą bowiem psy, wilki, lisy i konie, a gdy zachodzi konieczność – spożywają ciała ludzkie. Z tego powodu, gdy Tatarzy walczyli z jakimś miastem Kitajów [Chińczyków]... i oblegali je tak długo, iż im zupełnie zabrakło zapasów... brali co dziesiątego człowieka w celu spożycia. Jedzą posokę, która wydostaje się wraz ze źrebiętami z klaczy. A nawet widzieliśmy, że jedzą również wszy” – pisze ze słabo ukrywanym wstrętem brat Jan.

Przybyszów z Europy nie zachwyciły również obyczaje mongolskie przy stole. „Ponieważ w czasie jedzenia tłuszczem z mięsa bardzo sobie plamią ręce, wycierają je o swoje cholewy albo o trawę...

Półmisków nie zmywają, a jeżeli kiedykolwiek je obmywają rosółem od mięsa, to ponownie wrzucają [wszystko] wraz z mięsem do kotła” – pisze włoski zakonnik. Osobnym problemem był kumys, maślanka z mleka kłaczy o łagodnym kwaskowatym smaku, który Mongołowie pili w ogromnych wprost ilościach. Carpini i jego towarzysze wzbraniali się stanowczo przed spożywaniem tego napoju. „Nie mogę już patrzeć na owo cuchnące obrzydliwstwo! Toż to diabelski trunek!” – irytował się Benedykt Polak.

Wędrówka przez Chorezm trwała od 17 maja do 15 czerwca 1246 roku. Potem legaci znów wjechali w stepy, tym razem zamieszkane przez Kara-Kitajów, a położone na pograniczu Turkiestanu Wschodniego i Zachodniego. Kara-Kitajowie byli ludem spokrewnionym z Mongołami i od nich uzależnionym. Nie było tam dróg i tylko jedno miasto – Diwult, wzniesione na rozkaz wielkiego chana, składające się chyba tylko z namiotów i jurt. Tamtejszy namiestnik mongolski zaprosił śmiertelnie wyczerpanych mnichów na kumys i nakazał swoim synom i najznakomitszym wojownikom klaskać i śpiewać przed zdumionymi franciszkanami. „Dworują sobie z nas, poganie bezwstydni” – oburzał się Jan di Carpini. Benedykt Polak wyjaśnił jednak, że oklaski to wyraz szacunku dla posłów do ordy wielkiego chana.

W drodze do Karakorum minęli „jakieś niewielkie morze”, na którym było wiele wysp. „Na jego brzegu jest mała góra, w której znajduje się wydrążenie, skąd – jak mówią – w zimie wydostają się tak wielkie i burzliwe wiatry, że ludzie ledwie mogą, narażając się na wielkie niebezpieczeństwo, przejść” – pisze Jan Carpini. Wiatry z pewnością nie wydobywały się z góry, ale relacja ta jest obrazowym świadectwem surowego klimatu Środkowej Azji, który musieli znosić europejscy mnisi – od siarczystego mrozu na bezkresnych stepach po piekielny skwar pustyni Gobi. „Morzem”, które ominęli legaci, było zapewne jezioro Ała-kul lub Bałchasz.

Nad Ała-kul rozciągał się ułus (dzielnica) Ordu, brata Batu-chana. To Batu-chan właśnie był wodzem, który w 1241 roku poprowadził wyprawę na Polskę. Benedykt nie mógł więc się powstrzymać od wypytania uczestników bitwy pod Legnicą. Ci opowiedzieli mu, że kiedy już chcieli uchodzić z pola walki, „szyki bojowe chrześcijan

rzuciły się niespodziewanie do ucieczki” (spod Legnicy pierzchnął ogarnięty paniką hufiec Mieszka opolskiego, co przesądziło o losach bitwy).

„W wigilię Piotra i Pawła” (28 czerwca 1246 roku) wysłannicy papieża dotarli do siedzib Najmanów, podległych Mongołom nomadów mieszkających w jurtach. Kraina ta rozciągała się między masywem Ałtaju a doliną Czarnego Irtyszu. Tu wąskie ścieżki wiły się wśród strzelistych górskich zboczy, a przewodnicy z trudem odnajdywali drogę w krętych wąwozach. Nazajutrz, mimo letniej pory, spadł śnieg i chwycił mróz tak siarczysty, że mnisi ledwie zdołali ujść z życiem.

Po kilkunastu dniach Carpini i Benedykt Polak dotarli wreszcie na rozległe płaskowyże Mongolii właściwej. „Kraj ten jest częściowo górzysty, a częściowo równinny, zaś niemal cała ziemia przemieszana jest ze żwirem, a przeważnie piaszczysta... Ziemia zaledwie w setnej części jest urodzajna, a nawet i ta nie może wydawać plonów, jeśli nie jest nawadniana wodą rzeczną. Ale mało jest wód i strumieni, a rzeki są wielką rzadkością. Dlatego nie ma tam wsi ani miast, z wyjątkiem jednego... które nazywają Karakorum” – pisze Carpini.

Franciszkanie z trudem znosili ostry i zmienny klimat Mongolii, wiatry, burze i ogromne skoki temperatur. „W połowie lata występują silne gromy i błyskawice, od których ginie wielu ludzi; padają tam nawet w tym samym czasie obfite śniegi. Są też tam długie okresy niezmiernie mroźnych wiatrów, że mieszkańcy z trudem jedynie mogą jeździć konno”. Przybywając do ord (obozowisk mongolskich), legaci musieli często padać na ziemię, nie mogąc znieść impetu straszliwej wichury, a tumany kurzu przesłaniały im wszystko. Już w czasie intronizacji wielkiego chana Gujuka spadło nagle na ordę tyle gradu, że gdy lodowe kule stopniały, w odmętach utopiło się 160 ludzi.

W lipcu 1246 roku Jan i Benedykt dotarli do miasta jurt i namiotów o pół dnia drogi oddalonego od Karakorum, tatarskiej stolicy. Tam zebrało się właśnie dwustu mongolskich chanów, aby Gujuka, wnuka Dżyngis-chana, obwołać nowym władcą.

Czas oczekiwania na posłuchanie Carpini i Benedykt Polak wykorzystali na obserwacje nieznannej, egzotycznej rzeczywistości. Prowadzili rozmowy z posłami z innych krajów, z Gruzji, Rusi, kalifatu bagdadzkiego, Armenii, muzułmańskich państw Bliskiego

Wschodu, Korei i Chin, bacznie się wszystkiemu przyglądając.

Uroczystości intronizacji nowego władcy poraziły Carpiniego przepychem. „Znajdował się tam namiot, który Tatarzy zwali złotą ordą. Tam wielki chan miał zasiąść na tronie... Namiot spoczywał na kolumnach, które były pokryte złotymi blaszkami i przymocowane złotymi gwoździami do drewnianej (konstrukcji)...z dała od obozu, na górze ustawiono więcej niż pięćset wozów, wszystkie pełne złota i srebra i szat jedwabnych...”

W tym wspaniałym namiocie papiescy legaci zobaczyli samego „cesarza”, czyli chana, „w podziwio godnym połyskliwym stroju, ukoronowanego, siedzącego w środku namiotu na drewnianym podium, ozdobionym rozmaicie złotem i srebrem”. W intronizacji, która odbyła się 15 sierpnia 1246 roku, wzięło udział 5 tysięcy mongolskich dostojników odzianych w szaty z białego aksamitu. Po oficjalnym objęciu władzy Gujuk udzielił legatom audiencji – choć wysłannicy papiescy nie mieli go już czym obdarować, ponieważ skromne zapasy futer dawno się wyczerpały. Jan i Benedykt czterokrotnie klękali na lewe kolano przed mongolskim władcą. Potem posłowie musieli przebywać w ordzie matki cesarza przez ponad miesiąc, „w wielkim głodzie i pragnieniu”. Zafrasował się Jan di Carpini: „Czy po to przybyliśmy na koniec świata, aby umrzeć bez chleba i wody? Toż żywność, którą nam dają dla czterech osób, i dla jednej nie wystarczy, a na targ pójść nie możemy, bo jest zbyt daleko”. „Bóg ochroni swoje sługi, czcigodny bracie. Jest tu wielu Rusinów, których mowę rozumiem. Pomówię z nimi, a może przez imię Chrystusa nam pomogą” – rzekł Benedykt. I rzeczywiście, ruski złotnik Kuźma, faworyt Gujuka, zaczął wspierać wysłanników papieża i od śmierci niechybnej ich ocalił.

Chan zatrzymywał franciszkanów, ogłosił bowiem wielką wyprawę w celu zawojowania całej Europy i nie chciał, aby posłowie papieża dowiedzieli się o tym (Gujuk rzeczywiście ruszył na Zachód, lecz już w 1248 roku zmarł podczas pochodu).

W końcu mongolski władca zażądał, aby raz jeszcze przyniesiono mu tłumaczenie listu papieża. Gujuk rozmawiał z legatami przez swych dostojników – Kadaka, Bali i Chingaja, a tłumaczem był Temer, rycerz księcia ruskiego Jarosława. Najpierw jednak pojawiła się kwestia

tłumaczenia korespondencji. „I zapytał nas [cesarz] czy są u pana Papieża tacy, którzy znają pismo Rusinów albo Saracenów albo też Tatarów. Odpowiedzieliśmy, że nie mamy takich... Powiedzieliśmy jednak, żeby napisali po tatarsku, a my dokładnie napiszemy to w naszym języku i doręczymy panu Papieżowi zarówno list, jak i tłumaczenie” – relacjonuje Jan di Carpini.

W kilka dni później, 11 listopada 1246 roku, legatów ponownie wezwano do sekretarzy chanowych, którzy przetłumaczyli słowo w słowo list swego władcy. Kiedy mnisi napisali je po łacinie, sekretarze polecieli sobie przeczytać i przetłumaczyć tekst zdanie po zdaniu. Franciszkanie otrzymali list chana po mongolsku, po persku, „saraceńsku” (turecku) i po łacinie.

Cała korespondencja okazała się bezowocna. Innocenty IV domagał się, aby Mongołowie zaprzestali mordować ludzi i przyjęli naukę Chrystusa.

Papież proponował też nawiązanie przyjaznych stosunków. Gujuk pojął to jednak opacznie – władcy Wschodu rozumują trochę inaczej. Wielki chan nie miał wątpliwości, że Innocenty IV pragnie zostać jego poddanym. Odpowiedź była miażdżąca: „Z mocy Wiecznego Nieba, [my] Chan najwyższy całego wielkiego ludu: oto nasze posłanie. Oto rozkaz wydany wielkiemu papieżowi, by o nim wiedział i go zrozumiał... Zaproponowaliście nam, że się [nam] podporządkujecie, czego dowiedzieliśmy się od waszych wysłanników... Ty osobiście [wielki papieżu], na czele wszystkich królów, bez wyjątku, winniście przybyć, by nam ofiarować służby i hołd... A jeśli nie spełnicie Boskiego nakazu i będziecie postępowali wbrew naszemu poleceniu, będziemy was uważali za wrogów”.

Gujuk nie miał zamiaru zostać chrześcijaninem. Nie dostrzegł także nic złego w wybiciu przez mongolskie zastępy dziesiątków tysięcy Europejczyków, zwłaszcza Morawian, Polaków i Węgrów. Zdaniem chana, ludzi tych unicestwiło Wieczne Niebo, gdyż nie posłuchali Bożego rozkazu, wyrażonego ustami mongolskich posłów. „Któż mógłby inaczej niż z rozkazu Bożego, wyniszczyć (lud) i zawładnąć (krajem)?” – pytał władca Mongołów.

„W dniu świętego Brycjusza” (13 listopada 1246 roku) wysłannicy papieża otrzymali wreszcie groźny list od chana i zezwolenie

na powrót do kraju. Dostali też ciepłe futra lisie i po sztuce purpury, z których jednak towarzyszący im Mongołowie część od razu ukradli. Legaci zaopatrzeni zostali również w pajdze – swego rodzaju glejty. Były to tabliczki złote, srebrne, żelazne lub drewniane, zawieszane u pasa, z krótkim napisem w alfabecie ujgurskim. Napis ten głosił zazwyczaj: „Mocą Wiecznego Nieba. Niech będzie czczone imię kagana. Kto nie okaże posłuszeństwa, zostanie zabity i zginie”.

Dzięki pajdzom, a także mongolskim przewodnikom, droga powrotna przebiegła spokojnie. W końcu maja 1247 roku wysłannicy papieża byli już nad Wołgą. Zabrali czekającego tam wiele miesięcy C. de Bridię i jego towarzyszy. 3 czerwca 1247 roku legaci minęli ostatnie posterunki tatarskie, w tydzień później stanęli u bram Kijowa. Na Rusi, w Polsce, w Czechach i w Niemczech witano mnichów jak triumfatorów. W Kolonii scholastyk miejscowej katedry spisał sprawozdanie pierwszego polskiego obieżyświata.

13 listopada 1247 roku, czyli po ponad dwuletniej podróży, legaci wrócili do Lyonu, gdzie Jan di Piano Carpini złożył pisemny raport papieżowi, zatytułowany „Historia Mongołów, których my nazywamy Tatarami”.

---

Wielki chan zażądał, aby przybył do niego papież i wszyscy monarchowie Europy. Jeśli odmówią, będą uznani za wrogów.

---

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że misja franciszkanów zakończyła się niepowodzeniem. Jednakże dzielni legaci Stolicy Apostolskiej jako pierwsi – na wiele lat przed podróżą Marca Polo do Azji – dostarczyli Europie wiarygodnych informacji o imperium mongolskim – o jego mieszkańcach, a przede wszystkim o armii Mongołów. Jan di Piano Carpini i C. de Bridia przekazali Zachodowi cenne rady, jak skutecznie stawić czoło wojowniczym synom stepu. Znaczący wojskowości lepiej oceniają ofensywne zalecenia C. de Bridia, który opierał się na doświadczeniach zebranych przez polskich rycerzy

pod Legnicą. Dzięki misji franciszkanów społeczeństwa chrześcijańskie dowiedziały się również, jak żyją Mongołowie, czym się odżywiają, jakie mają obyczaje i jakim bóstwom oddają cześć. „Jednym z grzechów (Mongołów) jest włożenie sztyletu do ognia lub dotykanie ognia w jakikolwiek sposób sztyletem lub też wyciąganie nim mięsa z kotła i siekanie go toporkiem obok ognia. Wierzą bowiem, że w ten sposób ujmowana jest ogniowi główna jego moc”.

Wyprawa franciszkanów znacznie rozszerzyła również geograficzny horyzont Europejczyków. Ich relacje sprawiły, że Wilhelm Rubruk, poseł króla Francji do chana, i Marco Polo nie musieli udawać się do nieznanej ziemi.

O dalszych losach C. de Bridia i Czesława z Czech nie wiemy nic. Benedykta Polaka spotykamy w źródłach tylko raz jako gwardiana franciszkanów krakowskich. W nagrodę za liczne zasługi papież mianował Carpiniego arcybiskupem Antivari (Baru) w Dalmacji. Franciszkanin zmarł 1 kwietnia 1252 roku. Raporty obu zakonników przetrwały wieki i są ważnym źródłem do dziejów dawnych Mongołów.

**Krzysztof Kęciek**

Historyk, publicysta, autor m.in. książki Dzieje Kartagińczyków.



# Szpieg, poseł, święty

W 1596 roku na Kresach polskich pojawił się człowiek, który usiłował storpedować unię brzeską – dzieło jednoczące prawosławie i katolicyzm w Rzeczypospolitej. Człowiek ten nazywał się Nicefor Parasios i był sprawcą strasznego zamieszania.

**autor Jerzy Besala**

**N**icefor podawał się za zastępcę patriarchy konstantynopolitańskiego. Pomimo wysokiego stanowiska, przedstawionych dokumentów i opieki potężnego wojewody kijowskiego Konstantego Wasyla Ostrońskiego, najwyżsi litewscy urzędnicy króla chcieli w Brześciu aresztować Nicefora, by postawić go przed sądem sejmowym. Działali na królewski rozkaz: na Niceforze Parasiosie ciążyły bowiem bardzo poważne zarzuty.

## **Pięć wieków sporu**

Ta historia ma swój początek 500 lat wcześniej: 15 lipca 1054 roku legaci biskupa Rzymu pozostawili na ołtarzu kościoła Hagia Sophia w Konstantynopolu pismo wyklinające patriarchę wschodniego. Patriarcha nie pozostał dłużny i wyklął papieża. Jeden Kościół chrześcijański rozleciał się na dwa ogromne odłamy.

Spory religijne między obydwoma ośrodkami religijnymi narastały od dawna. Zapoczątkował je podział ogromnego cesarstwa rzymskiego przez Teodozjusza Wielkiego w 395 roku na wschodnie (greckie, bizantyjskie) i zachodnie (łacińskie). Narastały sprzeczności między Rzymem i Konstantynopolem w sprawie prymatu papieża oraz spory co do pochodzenia Ducha Świętego i Syna. Z pozoru drobne kwestie teologiczne wokół używania opłatka zamiast kwaśnego chleba zaostrzyły tak sytuację, że zwierzchnicy obu rysujących się odłamów

kościelnych obłożyli się w końcu anatemą.

---

Król i jego urzędnicy byli stale informowani przez wywiad o poczynaniach Nicefora, a wywiad donosił, że mają do czynienia z bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem.

---

Rozpad Kościoła na prawosławny i papieski zaważył w wielkim stopniu na dziejach polskich i litewskich. Polska przyjęła bowiem chrześcijaństwo w obrządku rzymskim, a sąsiednia Ruś – we wschodnim. Po uniach Polski z Litwą w 1385, 1411 i 1569 roku ludność ogromnych połaci późniejszej Ukrainy i Białorusi, która weszła w skład Rzeczypospolitej, wyznawała prawosławie – natomiast rdzenne ziemie polskie wraz z królami pozostały przy katolicyzmie lub wyznaniach reformowanych. Wielkie rody ruskie – Wiśniowieccy, Czartoryscy, Zasławscy, Chodkiewiczowie, Pacowie i inni – przeważnie przechodzili na katolicyzm. Ale nie wszyscy: oparciem dla prawosławnych stali się potężni kniaziowie Ostrogscy.

W wyniku aktu unii lubelskiej z 1569 roku do trzech diecezji prawosławnych w Rzeczypospolitej doszło siedem kolejnych. Wcześniej różnice wyznaniowe nie zaogniały sytuacji na Kresach, nawet na buńczucznej Ukrainie; Rzeczpospolita była chlubnym przykładem państwa pokoju religijnego. Nienawiść wyznaniową zrodził dopiero bunt kozacki Bohdana Chmielnickiego w 1648 roku. Ta nienawiść napędziła chęć odwetu i ekspansji w prawosławnym, niezwykle ksenofobicznym i ortodoksyjnym Wielkim Księstwie Moskiewskim nienawidzącym „zmienników w wierze”, jak określano wówczas także Polaków.

Kościół rzymskokatolicki przez wieki czynił wiele, by na powrót zjednoczyć chrześcijan wschodnich i zachodnich. Próby zawiązania unii dokonywano w Lyonie w 1274 roku, we Florencji w 1439 roku, podczas wojen Stefana Batorego w 1582 roku i wreszcie w Brześciu w 1596 roku.

Ta ostatnia próba, podczas panowania Zygmunta III Wazy, okazała się najistotniejsza dla dziejów Polski. I niemal od razu o mało nie została storpedowana.

### **Kochanek matki sułtana**

6 października 1596 roku metropolita prawosławny Michał Rahoza zwołał do Brześcia synod w sprawie unii. Wielkimi zwolennikami zjednoczenia Kościołów pod władzą papieża byli dwaj biskupi prawosławni: łucki Cyryl Terlecki i włodzimierski Hipacy Pocij, którzy jeździli nawet w tej sprawie do Rzymu.

Miała jednak unia – akt olbrzymiej doniosłości – wielu przeciwników. Nie chciał jej książę i wojewoda kijowski Konstanty Wasyl Ostrogski, potężny prawosławny magnat, „filar Kościoła wschodniego” w Polsce. Władza Ostrogskiego nad prawosławiem w Rzeczypospolitej była tak wielka, że przedstawiał osobiście królom kandydatów na władcyków (biskupów prawosławnych), co respektował nawet „żelazny” Stefan Batory. Dowiedziawszy się o synodzie, który miał doprowadzić do unii, Ostrogski przybył do Brześcia z licznym orszakiem. Towarzyszył mu Nicefor Parasios podający się za zastępcę (protosyngiela) patriarchy konstantynopolitańskiego Jeremiasza II Tranosa.

Król i jego wysocy urzędnicy od jakiegoś czasu byli informowani o bulwersujących poczynaniach Nicefora, jak go w Rzeczypospolitej nazywano. Wywiad polski ustalił, że jest z pochodzenia Grekiem urodzonym w Tessalii. W Konstantynopolu zrobił karierę, dochodząc do wysokiego urzędu duchownego. Był inteligentnym, czytającym, zaznajomionym z kulturą łacińską duchownym, który studiował w Wenecji i wygłaszał kazania w przepełnionej studentami Padwie. Tamże rektorem studenckim był Jan Zamojski. Być może obaj panowie, w zbliżonym wieku, zetknęli się właśnie w Padwie po raz pierwszy, by potem natknąć się na siebie w zupełnie już odmiennych, dramatycznych okolicznościach.

Czy Parasios przebywający w Polsce pod opieką wojewody Ostrogskiego był rzeczywiście zastępcą patriarchy, pełniącego rolę głowy Kościoła wschodniego, czy samozwańcem-agentem? Czy rzeczywiście zastępca Jeremiasza II usiłował podważyć unię katolików

z prawosławnymi, czy może to ktoś podstawiony? – tak na Kresach formułowano podejrzenia. Przecież patriarcha Jeremiasz II, świadomy swej zależności od islamskich władców, zdążył już zasłynąć jako zwolennik ekumenizmu, czyli współpracy prawosławia z katolicyzmem. Tymczasem poczynania jego zastępcy wskazywały na coś przeciwnego.

Z kolejnych informacji uzyskanych przez polski wywiad wynikało, że Parasios miał nie tylko duże wpływy na dworze sułtana Mehmeda III, ale nawet wdał się w miłostki z jego matką! Ponad wszelką wątpliwość ustalono również, że Nicefor pełnił funkcję pośrednika między sułtanem a jego lennikami mołdawskimi i wołoskimi. Prawdopodobnie przyczynił się więc do osadzenia na tronie wołoskim Michała Walecznego, pierwszego animatora „państwa rumuńskiego”. Natomiast o obsadzie pobliskiego tronu mołdawskiego decydował już polski kanclerz Jan Zamojski, co wywoływało groźne pomrukiwania Turków. W 1595 roku Nicefor pośredniczył w rozmowach między polskim kanclerzem a wezyrem Sinanem paszą. Po której jednak stronie stał naprawdę?

Tamże, w Mołdawii, Parasios otrzymał listy, m.in. od księcia Ostrogińskiego, w sprawie planowanej unii religijnej w Rzeczypospolitej. Wywołało to reakcję protosyngiela: 17 sierpnia 1595 roku wraz z biskupami mołdawskimi z Jass, Nicefor wysłał paragnostyki, czyli wezwania prawosławnych do nieprzyłączania się do unii z papieżem. I tu pojawia się zagadka: dlaczego Nicefor, zaufany zastępca patriarchy Jeremiasza, szczerego zwolennika ekumenizmu i pojednania, stał się przeciwnikiem projektów unii? Wyglądało to tak, jakby działał na rzecz Turków, torpedujących próby jednoczenia się chrześcijan.

### **Ucieczka z więzienia**

Mimo że Parasios nadal pełnił misję wobec Zamojskiego oraz propolskiego hospodara Mołdawii – Jeremiasza Mohyły, jego rzeczywista rola stawała się coraz bardziej podejrzana. Zamojski, walcząc w Mołdawii o utrzymanie Mohyły na tronie hospodara, przechwytyuje listy protosyngiela. Nicefor zaczyna być coraz bardziej

podejrzewany o prowadzenie nieczystej gry.

O jego wydanie w czerwcu 1596 roku prosi Zamojskiego gospodarz Mohyla. Ale Parasios wymyka się spod „opieki” kanclerza i gospodarza. Usiłuje potajemnie przekroczyć granicę z Rzeczpospolitą na Dniestrze, lecz zostaje aresztowany przez Polaków i osadzony w Chocimiu. Trwają przygotowania do zawarcia unii i król Zygmunt III nakazuje nie wpuszczać na teren Polski duchownych greckich. Być może do Chocimia dociera też rozkaz Zamojskiego, by uwięzić podejrzanego dostojnika.

Ale Nicefor jakimś cudem zdołał uciec z chocimskiego więzienia – gdzie miał zapewne zaufanych – i co koń wyskoczy pędzi do Ostroga, pod opiekę prawosławnego wojewody kijowskiego. Stamtąd wspólnie z Cyrylem Lukarysem, wysłannikiem patriarchy Aleksandryjskiego Melecego Pigasa, prowadzi intensywną działalność zmierzającą do storpedowania unii brzeskiej.

Król, alarmowany zapewne przez Zamojskiego, odczytuje zabiegi Nicefora jako poważną próbę dywersji wobec Polski. W sierpniu 1596 roku nakazuje księciu Ostrogskiemu, by Parasios stanął przed sądem królewskim. Ostrogski odpisuje, że protosyngiel jest chory i nie może przyjechać. Natomiast w październiku, już widząc zdrowy, Nicefor jedzie z księciem Ostrogskim, jego 200-osobową gwardią i dworem na synod brzeski, by tam knuć przeciw połączeniu prawosławnych z katolikami.

### **Synod i antysynod**

6 października 1596 roku rozpoczął się w Brześciu synod unijny. W tym samym czasie, pod osłoną wojewody kijowskiego, Nicefor zwołał do pobliskiego domu protestanckiego w Brześciu antysynod w obronie prawosławia. Był najwyższym rangą duchownym w gronie oponentów unii i stał się główną postacią opozycji. Wystąpił z kolejnym paragnostykiem – wezwaniem, by stawili się na antysynod biskupi prawosławni, grożąc, że w przeciwnym razie złożą ich z urzędu!

---

Na Kresach narastał lęk. Z jednej strony obawiano się gniewu królewskiego, z drugiej – wyklęcia przez prawosławnych patriarchów.

---

Tymczasem na synod brzeski przybyli wysocy litewscy przedstawiciele króla, w tym kanclerz Lew Sapieha, wojewoda trocki Krzysztof „Sierotka” Radziwiłł i podskarbi Dymitr Chalecki. Magnaci odwiedzili wojewodę Ostrońskiego, gdzie wystąpili ze stanowczą propozycją rozmów na tematy religijne między stronami. Książę zgodził się na dysputy w jego mieszkaniu.

Katolików, zwanych łacinnikami, reprezentował „złotousty” jezuita Piotr Skarga i jego kolega zakonny Justyn Rab. Nicefor na rozmowy wysłał Gedeona Bałabana i Michała Kopysteńskiego. Niestety, pomimo usilnych starań ks. Skargi i jego licznych rozmów z księciem Ostrońskim, do porozumienia nie doszło. Delegaci króla pokazali więc list od Zygmunta III Wazy, w którym król nie zgadzał się na uczestnictwo Nicefora w synodzie, bo: „synod ma na celu zgodę Rusinów z łacinnikami, a nie innowiercami, Nicefor zaś wrogiem jest Polski i zbiegiem z więzienia chocimskiego”.

W odpowiedzi Nicefor napisał do króla, że na zawarcie unii w „całej Cerkwi wostocznej, a osobliwie Patryarchów przyzwolenia na to nie masz”. Może być ona zawarta – pisał protosyngiel – dopiero wtedy, „gdy z fundamentu wszystkie ze strony wiary i ceremonii różnice między wostoczną i zapadną Cerkwią uprzątnione będą... tedy my chętnie do niej mieć się będziemy”.

To mogło oznaczać tylko jedno: konflikt. Król chciał unii religijnej w Rzeczypospolitej i był przekonany, że zastępca patriarchy nie ma prawa się do tego wtrącać. Natomiast Parasios traktował unię jako próbę przyłączenia prawosławia do katolicyzmu na warunkach łacińskich. Zapewne tę politykę prowadził bez uzgodnienia ze zwolennikiem ekumenizmu – patriarchą Jeremiaszem II. Politycy polscy w Warszawie i Krakowie o tym wiedzieli lub domyślali się przynajmniej, gdyż uznali Nicefora za wroga Polski.

## **Pętla się zaciska**

9 października 1596 roku w cerkwi św. Mikołaja w Brześciu ogłoszono unię katolików z prawosławiem. Dokument synodu brzeskiego zawierał akt poddania papieżowi rzymskiemu prawosławnej ruskiej hierarchii kościelnej i jej wiernych – z zachowaniem odrębnej liturgii. Gdy tylko zgoda brzeska została zawarta, Nicefor wysłał paragnostyk do prawosławnego duchowieństwa ruskiego. Wyklinał w niej unitów, zakazywał podporządkowania się metropolicie kijowskiemu Michałowi Rahozie i innym „odstępcom” od prawosławia, nakazując wybranie nowych biskupów. Aby uwiarygodnić swe prawa, Nicefor pokazał kanclerzowi Sapiesze przywilej wystawiony przez patriarchę, oddający mu władzę w kwestiach religijnych prawosławia w Polsce. Ponadto obiecał stawić się na sejmie polskim, by udowodnić swą niewinność.

Polaków to nie zadowoliło. Gdy rozmowy obu stron spełzły na niczym, przedstawiciele króla zażądali pod karą 30 tys. złotych wydania Nicefora jako „szpiega z Białogrodu”. Ostrogski w wyniosłym tonie odparł, że „nie tolko we triedseti tysieczej złotych, ale i w kilku sto tysieczej prijmuju i na sojmie ich stanowiti budu, a tam się okazażet, jeśli to słusznie wydajut wywołanie na ljudziej niewinnych”. Polski „filar prawosławia” gotów był wyłożyć ogromne sumy jako poręczenie niewinności protosyngiela.

Na Kresach narastał lęk tych, którzy pozostali przy prawosławiu, Niceforze i Ostrogskim: z jednej strony przed gniewem królewskim, z drugiej przed wyklęciem przez patriarchów. Prawosławni antyunita polscy usiłowali się asekurować: „A co się tyczy Greka Nicefora, czy on był szpiegiem, tego my nie wiemy (...) uznajemy go za swego pasterza dotąd, dopóki mu WKMć nie postawi konkretnych zarzutów, a on na przyszłym sejmie nie udowodni swej niewinności”, pisali do Zygmunta III.

Sprawa Nicefora stawała się coraz głośniejsza w całej Rzeczypospolitej. Pytano, kim on jest: samowolnym agentem o wielkich wpływach, szpiegiem islamu torpedującym jedność chrześcijan czy rzeczywistym wysłańcem patriarchy Jeremiasza II?

Sprawę tę usiłowano rozstrzygnąć na sejmie warszawskim, który rozpoczął się 10 lutego 1597 roku. Podgrzaniu nastrojów sprzyjały

plotki, że księżę Ostrogski, który przyjechał z Niceforem na czele nadwornej armii, zamierza jej użyć w Warszawie. Król nie ruszał się nawet na mszę bez silnych kordonów przybocznej gwardii, a Warszawę ogarnęła wojenna psychoza.

Zdecydowanymi przeciwnikami Ostrogskiego byli m.in. kanclerz Jan Zamojski, kanclerz Lew Sapieha i wojewoda krakowski Mikołaj Zebrzydowski. Weszli oni w skład komisji senatorskiej powołanej przez króla, mającej sądzić Nicefora. Problem w tym, że miał on swych zwolenników także w komisji...

### **„Niech go sobie król zje!”**

Proces zaczął się 11 marca. Instygator królewski opierał się na akcie oskarżenia przygotowanym przez Jeremiasza Mohyłę – hospodara Mołdawii mianowanego de facto przez Zamojskiego. Oskarżał on Parasiosa o matactwa w Mołdawii, które doprowadziły do wyniesienia na tron protureckiego hospodara Arona i ogromnego zadłużenia Mołdawii wobec islamu, o samozwańcze podawanie się wobec kanclerza Zamojskiego za posła wezyra Sinana paszy i działanie na szkodę Rzeczypospolitej, a także o szpiegostwo na rzecz Turcji, o czym świadczyć miały cztery listy przechwycone przez ludzi Zamojskiego.

Zacytowano je. Nicefor pisał w nich: „między psami Polskimi teraz wielka niezgoda strony Greckiej i Rzymskiej wiary” i nawoływał Turków do uderzenia na Rzplitą w wyniku chaosu wywołanego unią. Do ognia oskarżeń dorzucił drwa kanclerz Sapieha, dowodząc „niepobożnego żywota” protosyngiela i jego nawoływania do buntu w Polsce. Okazało się, że Nicefor nie ma święceń kapłańskich. Tymczasem, wołał Zamojski na sejmie, stolica patriarchalna w Stambule „osieroconą była”, kto więc naznaczył Nicefora swym zastępcą?! To samozwaniec, dowodził kanclerz.

Ostrogski, czując, że ma przeciw sobie Salę Senatorską, już 12 marca, w dniu doprowadzenia Janiego jako świadka oskarżenia, opuścił Zamek Królewski, ponoć ze słowami „Niech go sobie /król/ zje”.

Motywy jego odjazdu są tajemnicą: gdyby był pewien niewinności



Nicefora, nie pozostawiłby go w biedzie. Dlaczego więc odjechał tak wcześniej?

Na procesie pojawiły się też pomniejszych zarzuty, jak prześladowanie przez Nicefora chrześcijan w Turcji i jego współzycie z matką sułtana. Zarzuty te wykił przytomnie obrońca protosyngiela Przylepski, jako niepodlegające sądowi Rzeczypospolitej. „Wasza Królewska Miłost... jeszcze Konstantinopolem nie władniesz”, pozwolił sobie zadrwić całkiem słusznie obrońca Nicefora w obliczu Majestatu Króla.

Obciążała natomiast Nicefora bez wątpienia jego ucieczka z więzienia w Chocimiu i nielegalny wjazd w granice Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

### **„Zdrajca zdechł!”**

Jakim dokumentem od patriarchy posługiwał się Nicefor? To podstawowe pytanie dla ustalenia wiarygodności tajemniczej postaci. Większość historyków, badających tę sprawę po wiekach, orzekła, że dokumenty Nicefora były falsyfikatami. Jednakże badania kijowskiego prof. Iwana Małyszewskija wykazały, że Parasios rzeczywiście był najbliższym doradcą patriarchy Jeremiasza II Trianosa. W 1996 roku młody historyk Tomasz Kempa po kolejnym zbadaniu dokumentu, wystawionego 6 listopada 1592 roku, i innych świadectw, ocenił, że były autentyczne.

Pytanie, czy listy Nicefora z nawoływaniem sułtana do uderzenia na „psów polskich” także były prawdziwe? Woził je poddany Ostrogskiego, Mołdawianin Jani. Adresowane były aż na Adrianopol, gdzie tradycyjnie odbywały się popisy armii tureckiej przed wyprawami. Listy te zostały odkryte przez podstarościego starogrodzkiego Chrzęstowskiego, gdy gościł Janiego u siebie na obiedzie. Tak jakoś przyszło podstaroścemu do głowy przeszukać sakwę upojonego gościa. Po czym odesłał listy do hospodara Jeremiasza Mohyły.

Janiego przesłuchano na sądzie w Warszawie. Twierdził, że jechał na Mołdawię tylko po to, by odebrać pieniądze swego pana Parasiosa. Ale Jani, pomimo pytań, nie zdołał podać nazwiska dłużnika. Z kolei sam Nicefor zarzekał się przed sądem, że nie wysyłał żadnych listów

do Adrianopola i że jest to prowokacja!

W odpowiedzi instygator królewski powoływał się na zeznania powieszonych w Mołdawii szpiegów, którzy przed śmiercią także obciążali Nicefora. Szpiedzy ci zostali wyłapani przez żołnierzy Jana Zamojskiego, który w tym czasie budował w Mołdawii mocarstwową pozycję Rzeczypospolitej. Ponoć agenci ci pozostawili testamenty – dowody winy Nicefora. Nie mogąc dociec prawdy, sąd królewski zarządził wznowienie procesu na kolejnym sejmie. Do tego czasu wysłańcy mieli sprowadzić i zbadać testamenty straconych szpiegów. Samego Nicefora i Janiego przewencyjnie aresztowano i oddano Zamojskiemu.

---

Zamojski snuł dalekosiężne plany: potrafił działać przebiegle i nie cierpiał, gdy ktoś wtrącał się do jego polityki.

---

Czy to kolejny przypadek, że strażnikiem podejrzanego stał się główny oskarżyciel i przeciwnik Ostrogskich? Zamojski był starostą malborskim, a w zamku na ogół osadzano polskich więźniów stanu, choć nie było to regułą. Janiego podejrzenie szybko zwolniono z więzienia. Niedawny oskarżony poszedł na służbę... Jana Zamojskiego. Czy w nagrodę za wykonaną usługę?

Nicefor nie doczekał się kolejnego procesu. Mimo interwencji Ostrogskich „zdrajca Nicefor (...) na Malborku zdechł”, pisał H. Pociąg w liście z 28 czerwca 1605 roku. Z tych słów m.in. badacze rosyjscy wyciągają wniosek, że Zamojski zamorzył Nicefora głodem.

### **Kanclerz Zamojski – reżyser spektaklu?**

Podejrzenia o prowadzenie przez Zamojskiego okrutnej gry z Niceforem nie były bezpodstawne: zbyt wiele nici prowadziło w tej zawikłanej sprawie do kanclerza. To on, kreowany na spadkobiercę planów Batorego, realizował własną politykę wobec księstw naddunajskich. Nie cierpiał, gdy ktoś się wtrącał w jego pomysły

i działania: „przestronno lubił mieć, także za stołem”. To kanclerz decydował o obsadzie tronu hospodarskiego Mołdawii i trzymał w ręku nicy wielu spraw. Umiał przy tym działać przebiegle, bez nadmiaru moralnych skrupułów, i snuć dalekosiężne plany.

W opozycji do wszechpotężnego „wicekróla” Zamojskiego stanęli Ostrogscy. Ich gospodarcza, polityczna i wyznaniowa potęga przeszkadzała kanclerzowi w kreowaniu wielkiej polityki na południowym wschodzie Polski. Ostrogscy popierali Habsburgów i akcje werbunkowe ich posła Eryka Lassoty wśród prawosławnych Kozaków. Zatrzymali też np. posłów wołoskich „na nocleg”, co rozwścieczyło kanclerza; wiadomo, jak wino zmieszane z tajnymi miksturami działa na dyplomatów i co mogli Ostrogscy wydobyć od posłów.

Musiał kanclerz snuć jakieś wielkie plany, skoro był tak uczulony nawet na gościnę posłów u wojewody kijowskiego. Ponadto Ostrogscy w odpowiedzi na łupiestwa ich dóbr przez żołnierzy Zamojskiego sami też urządzali podjazdy dóbr kanclerza. A ten odpłacał im pięknym za nadobne.

Wiele zatem wskazuje, że Zamojski wykorzystał osobę Nicefora do własnych planów, zgodnych przy tym z racją stanu Rzeczypospolitej. Wplątując Nicefora w sprawę szpiegostwa na rzecz islamu i oskarżając o torpedowanie unii – zyskiwał bardzo wiele, ponieważ zaniepokojeni król i szlachta siłą rzeczy zaczęli sprzyjać siłowej polityce kanclerza. Zjednoczenie Kościołów „w warunkach zagrożenia przez agentów islamu” także było na rękę Zamojskiemu i królowi. Oczywiście, przy okazji kanclerz kompromitował nienawistnych Ostrogskich.

„Jest wielce prawdopodobne, że to na jego /Zamojskiego/ polecenie sfabrykowano dowody winy Nicefora”, pisał sumienny badacz procesu protosyngiela Tomasz Kempa. Zamojski zapewne ustalił całą akcję z Jeremiaszem Mohyłą, mianowanym przez siebie hospodarem. Przecież to od niego właśnie wyszły pierwsze oskarżenia.

Wiele wskazuje zatem, że faktycznie była to misterna gra kanclerza. Oczywiście spekulacje te, jak w każdej poszlakowej sprawie, nie przesądzają całkowicie o niewinności Nicefora. Znamienne jednak, że procesu sejmowego już nie podjęto, a kanclerz nadal snuł bez

większych przeszkód swe gigantyczne plany, prowokujące wojnę z islamem tureckim. Czy możliwe jednak, by kanclerz stosował aż tak brudne chwyt w dążeniu do celu?

Zamojski, były student we Włoszech, to jeden z pierwszych polskich „makiawelistów”, używających podstępnych wybiegów, prowokacji – byle osiągnąć cel zgodny ze swoim pojmowaniem „polskiej racji stanu”. Przykładów znajdziemy wiele w biografii wybitnego kanclerza i hetmana. Dlaczego miało być inaczej w odniesieniu do Nicefora?

W 1600 roku okazało się, gdzie zmierza Zamojski: nad Dunaj, a może i dalej. Pobił ciężko pod Buzau Michała Walecznego i stanął nad Dunajem, tak jakby chciał zderzyć Rzeczpospolitą z potęgą supermocarstwa islamskiego – Turcją. Być może realizował plany Stefana Batorego, o których obaj przegadali wiele nocy. Jeśli poszlaki te są prawdziwe, to Zamojski mógł być dumny ze swej gry: sprawę Nicefora kanclerz bezwzględnie i precyzyjnie wykorzystał do swych celów polityczno-wojskowych...

Nie możemy jednak przesądzić z całą pewnością, czy aferę tę Zamojski wymyślił od początku do końca – jak twierdzą historycy rosyjscy. Niektóre ślady wskazują mimo wszystko na powiązania Nicefora z agenturalną działalnością na rzecz islamu: zbyt dużo nici wiodło właśnie na dwór sułtana. Albo też obydwie wątki po prostu przeplotły się ze sobą.

**Jerzy Besala**

Historyk i publicysta. Napisał m.in. biografie Stefana Batorego i Stanisława Żółkiewskiego, trytomowe Małżeństwa królewskie. Piastowie, Jagiellonowie, Królowie elekcyjni. Obecnie pisze Miłość i strach. Dzieje uczuć kobiet i mężczyzn, zaplanowane na 5 tomów.

# Człowiek, który powiedział „nie”

Zapalony wędkarz, filatelista, a przede wszystkim bohaterski żołnierz i konspirator. Organizator zamachu na kata Warszawy, sam stał się ofiarą wyrafinowanej gry katów z bezpieki. Taki był gen. August Emil Fieldorf „Nil”.

**autor Michał Chlabicz**

**J**est styczeń 1951 roku. Do rozproszonych żołnierzy podziemia trafia odezwa, podpisana przez byłego dowódcę Kedywu gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila”. Informuje w niej, że powstaje V Komenda organizacji Wolność i Niepodległość, która ma już pełną akceptację polskiego rządu na uchodźstwie. Ukrywający się żołnierze AK masowo się zgłaszają. Wszyscy słyszeli przecież o legendarnym „Nilu”. Wydaje im się, że znowu będą walczyć o niepodległość, o wyrwanie kraju spod jarzma Sowietów. Jednak po kilku miesiącach tysiące akowców ginie lub zostaje zatrzymanych. Przedstawia im się dowody, że nie walczyli dla ojczyzny, ale popełniali przestępstwa, jak zwykli bandyci. Potem do zachodnich mediów przecieka informacja, że Fieldorf to w rzeczywistości tajny współpracownik bezpieki, o pseudonimie „Nil”. Rząd w Londynie i jego sojusznicy są skompromitowani...

To wszystko mogło się zdarzyć. Jednak sterowana przez komunistyczną bezpiekę operacja „Cezary” nie zakończyła się aż tak spektakularnym sukcesem. Wszystko dzięki niezłomności i prawości jednej osoby – generała Fieldorfa.

Kim był ten człowiek, który poświęcił swoje życie wolnej Polsce?

Urodził się 20 marca 1895 roku w Krakowie w rodzinie maszynisty kolejowego Andrzeja Fieldorfa i Agnieszki ze Szwandów. W szkole nie należał do grzecznych uczniów. Zniechęcały go jej „beznadziejny rygor” i „zatechła atmosfera”. Jako nastolatek wstąpił do Związku

Strzeleckiego, aby szykować się do walki o niepodległość Polski. W 1914 roku zgłosił się do I Brygady Legionów Józefa Piłsudskiego. 6 sierpnia o świcie rodzice odprowadzili syna na miejsce zbiórki. Zaledwie 8 dni później pod Brzegami Emil przeszedł swój chrzest bojowy na froncie I wojny światowej. Potem walczył pod Marcinkowicami, Konarami, Ożarowem, Hulewiczami...

Gdy w 1917 roku Piłsudski został uwięziony w twierdzy w Magdeburgu, sierżanta Fieldorfa wcielono do armii austriackiej, trafił na front włoski. Jednak po przebytej chorobie i powrocie do Krakowa już tam nie wrócił. Wstąpił do nowo tworzonego Wojska Polskiego. Zawsze był dzielnym żołnierzem (zdobył Krzyż Walecznych, Virtuti Militari i inne odznaczenia), a zmagania wojenne wydawały się nie kończyć... Na przepustki jeździł do Wilna. Tam poznał Janinę Kobylińską, z którą 18 października 1919 roku wziął ślub. Jednak już cztery dni później znowu musiał wyruszyć na front. Kiedy w 1920 roku bolszewicy zajęli Wilno, żona Fieldorfa w ostatniej chwili uciekła do Krakowa. Tymczasem porucznik wciąż musiał walczyć na froncie o ocalenie kraju. Wreszcie bitwa pod Warszawą, nazwana Cudem nad Wisłą, zmieniła koleje wojny.

### **Pasje i obowiązki**

W wolnej Polsce dla kapitana Fieldorfa zaczął się ciężki okres. On, doświadczony oficer frontowy, musiał... usiąść za biurkiem. Ale miał wreszcie czas na życie prywatne. Wolne chwile spędzał w warsztacie ślusarskim. Czytał książki o inżynierii i mechanice. Kolekcjonował płyty. Muzyka była jego prawdziwą pasją – opiekował się nawet orkiestrą pułkową. Często chodził też na ryby. To zamiłowanie odziedziczył po ojcu. Wieczorami lubił przeglądać klasery ze znaczkami, które zbierał od dziecka. Żona wspominała też, że był niezwykle czułym ojcem. Spokój przerwał przewrót majowy w 1926 roku. 1. Dywizja, w której służył Fieldorf, wyruszyła z Wilna, aby wesprzeć Józefa Piłsudskiego. Kapitan został w Warszawie lekko ranny. W 1932 roku awansowano go na podpułkownika, a dwa lata później zaproponowano mu objęcie dowództwa brygady Korpusu Ochrony Pogranicza w Czortkowie. I wtedy nad ambicjami przeważała

miłość do Wilna. Fieldorf odmówił, a potem przyjął niższe stanowisko – dowódcy batalionu KOP w podwileńskich Trokach. W 1938 roku objął zaś dowództwo 51. Pułku Strzelców Kresowych w Brzeżanach, 100 km od Lwowa.

## **Z Afryki do Polski**

1 września 1939 roku ppłk Fieldorf z przerażeniem słuchał radiowych doniesień i meldunków. Siedział jak na szpilkach, ale rozkaz wymarszu dotarł do Brzeżan dopiero 3 września. Żona odprowadziła go na dworzec. Miała złe przeczucia. Gdy pociąg ruszał, wciąż trzymali się za ręce. Potem Janina biegła jeszcze przez chwilę, płacząc.

9 września pułk Fieldorfa poniósł olbrzymie straty w bitwie pod Iłżą. Podpułkownik nakazał żołnierzom przebijać się na Wschód. Sam zdobył cywilne ubrania i ruszył do rodzinnego Krakowa. Stamtąd próbował przedostać się do Francji, ale został internowany na Węgrzech. Udało mu się uciec dopiero po kilku tygodniach. Dotarł do Francji, gdzie gen. Sikorski tworzył polską armię. 9 lutego 1940 roku Fieldorf zameldował się w punkcie zbornym oficerów w koszarach Bessières w Paryżu. Przeszedł kursy oficerskie i 3 maja odebrał awans do stopnia pułkownika.

I wtedy spełniło się to, o czym marzył od miesięcy – mógł wyjechać z misją do okupowanej Polski. Niestety, w czerwcu Francja skapitulowała. Fieldorf popłynął więc do Wielkiej Brytanii, a potem... do Kapsztadu w Republice Południowej Afryki. Stamtąd samolotem odleciał do Kairu, gdzie dotarł 11 sierpnia. Maszyna leciała m.in. nad Jeziorem Wiktorii i nad Nilem – podobno stąd wziął się późniejszy pseudonim Fieldorfa. Z Egiptu odleciał do Turcji, a stamtąd drogą lądową przez Grecję i Jugosławię dotarł na Węgry. Tam emisariusza przejęli żołnierze podziemia i poprowadzili do Polski. Po pięćdziesięciodniowej podróży, 9 września, płk Fieldorf postawił stopę na warszawskim bruku. Czekala już na niego nowa tożsamość i dokumenty okupacyjne. Fieldorf stał się oficjalnie Walentym Gdanickim, kolejarzem. Naprawdę zaś działał w Związku Walki Zbrojnej, a potem w Komendzie Głównej Armii Krajowej.

---

Fieldorf wrócił do okupowanej Polski przez Wielką Brytanię, RPA i Egipt. Leciał nad Jeziorem Wiktorii i nad Nilem. Podobno stąd wziął się jego późniejszy pseudonim.

---

## **Zamach na Kutscherę**

W podziemiu działał też brat Fieldorfa Józef. Jego sklepik w Sukiennicach krakowskich służył jako punkt kontaktowy i zborny kurierów z Węgier. Właśnie tam trafił marszałek Edward Rydz-Śmigły, gdy potajemnie wrócił do kraju. W tym czasie Emil przygotowywał dla niego kwaterę w Warszawie.

W sierpniu 1942 roku Fieldorf otrzymał rozkaz zorganizowania Kierownictwa Dywersji Komendy Głównej AK, potocznie nazywanego Kedywem. To wtedy właśnie Fieldorf stał się „Nilem”. Jego żołnierze przeprowadzali zamachy na hitlerowskich dygnitarzy i kolaborantów, odbijali więźniów, podkładali bomby, wysadzali tory kolejowe i mosty. Jednak do legendy przeszła jedna z ostatnich akcji Kedywu – z 1 lutego 1944 roku. Był to zamach na SS-Brigadeführera Franza Kutscherę, nazywanego katem Warszawy.

Był mroźny zimowy poranek. Alejami Ujazdowskimi do gmachu komendantury SS podjeżdżała limuzyna, wioząca Kutscherę. Nagle drogę zajechało jej inne auto. Jak spod ziemi wyrosli młodzi zamachowcy. Serie z pistoletów maszynowych przeszły limuzynę, kata Warszawy i jego adiutanta. Dla pewności jeden z zamachowców przez rozbite szyby oddał kilka strzałów do pokrwawionych ciał. Jego koledzy w tym czasie walczyli z esesmanami, strzelającymi z okien komendantury. W stronę hitlerowców poleciało kilka granatów. Zamachowcy zniknęli za rogiem. Potem ciszę zakłócały tylko krzyki Niemców.

Fieldorf nie krył, jak dumny jest ze swoich młodych żołnierzy. Dwa miesiące później otrzymał nowe zadanie. Miał stworzyć tajną organizację NIE, działającą w warunkach kolejnej sowieckiej okupacji.

Najpierw jednak przed podziemiem stanęło inne wyzwanie.



Na przedpolu Warszawy docierała już Armia Czerwona. Komenda Główna AK podjęła decyzję o wybuchu powstania. Fieldorf w nim nie uczestniczył – w pierwszych dniach sierpnia ciężko zachorował na czerwonkę. Wywieziono go do Częstochowy. Wkrótce potem otrzymał awans do stopnia generała brygady.

### **Zesłany cinkciarz**

Gdy Powstanie Warszawskie upadło, a dowództwo AK zostało internowane, „Nil” kontynuował działalność konspiracyjną w NIE. Wtedy opuściło go szczęście. 7 marca 1945 roku został przypadkowo zatrzymany w Milanówku. Jego papiery na Walentego Gdanickiego były jednak świetnie podrobione i pod takim nazwiskiem zapisało go NKWD. Zastanawiające, że chociaż według papierów był zwykłym kolejarzem, w aktach zanotowano „agent AK”. Nierozpoznany generał został oskarżony o... handel walutą, bo znaleziono przy nim dolary. Rzekomy cinkciarz Gdanicki trafił do aresztu we Włochach, a kilka dni później do obozu NKWD w Rembertowie.

Gdy wypędzono go z innymi więźniami z ciężarówki, zobaczył dwa rzędy drutów kolczastych, rozdzielonych pasem ziemi, po którym krążyli wartownicy. W nieogrzewanych barakach panował ścisk. Dla Fieldorfa nie starczyło miejsca na pryczach. Przez kilkanaście dni spał na gołym betonie, przykryty podartym kocem. Więźniowie dostawali głodowe racje: 300 g razowca i dwa talerze wodnistej zupy dziennie.

Potem wsadzono ich do bydłych wagonów i wywieziono na wschód. Pociąg jechał na Ural prawie miesiąc. Jedzenie i wodę dostawali co kilka dni, ale nie dla wszystkich starczało. Z 1400 więźniów, którzy wyruszyli z Rembertowa, po drodze do Swierdłowska zmarło ponad 300. Fieldorfa zatrudniono m.in. przy wyrybie tajgi. Przeszedł przez trzy łagry. Dopiero we wrześniu 1947 roku objęła go amnestia. 26 października, ciężko chory na dystrofię, z zapaleniem płuc, generał wysiadł z pociągu w Warszawie. Na dworcu na pół omdlałego oficera dostrzegł jego dawny podkomendny. Zabrał go do siebie, gdzie Fieldorf powoli wracał do zdrowia.

### **W czerwonej sieci**

Żona i córki generała mieszkały w Łodzi. On sam wciąż musiał jednak ukrywać swą prawdziwą tożsamość. Najbliżsi namawiali go, by wyemigrował na Zachód. Nie chciał. Mówił, że „byłoby to tchórzostwo wobec podkomendnych, a po pobycie w Rosji każde polskie więzienie będzie jak sanatorium”. Jednak dwa i pół roku katorżniczej pracy mocno nadwątlilo zdrowie i siły generała.

Wreszcie, 4 lutego 1948 roku, zgłosił się do Rejonowej Komendy Uzuppełnień w Łodzi i przedstawił papiery, że jest gen. Augustem Emilem Fieldorfem. Bezpieka natychmiast otoczyła „Nila” siatką agentów. W Łodzi, gdzie mieszkał, najbardziej aktywny był „Arnold”. W Warszawie działał „Żukowski”. Jesienią 1950 roku zapadła decyzja o zatrzymaniu. – Chodziło o przeciągnięcie generała na naszą stronę lub, w ostateczności, zneutralizowanie go. Dawało mu to szansę przeżycia kosztem niewielkiego wyroku – nie kryła po latach płk Julia Brystygierowa, była szefowa Departamentu V Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w wywiadzie z Henrykiem Piecuchem w książce Akcje specjalne: Od Bieruta do Ochaba.

Do zatrzymania generała doszło 9 listopada 1950 roku. Późnym popołudniem Fieldorf wyszedł ze swojego łódzkiego mieszkania przy ul. Próchnika 39. Szedł wolno, bo katorżnicza praca w łagrach dawała mu się we znaki. Na szczęście Wojskowa Komenda Rejonowa była niedaleko. Generał starał się o emeryturę i musiał donieść dokumenty oficera zawodowego. Gdy wyszedł z gmachu WKR, obok niego zahamowało auto. Wyskoczyło z niego trzech tajniaków. Rzucili się na generała, który był tak zaskoczony, że nawet nie próbował się bronić. Ubecy wykręcili mu ręce i wsadzili do samochodu, który z piskiem opon odjechał.

10 listopada „Nil” był już w Warszawie, w areszcie śledczym MBP przy ul. Koszykowej. O zatrzymaniu rodzina dowiedziała się dopiero, gdy bezpieka przeprowadziła rewizję w mieszkaniu. W tym czasie generał „Nil” był przesłuchiwany w areszcie. 21 listopada wojskowy prokurator ppłk Helena Wolińska wydała nakaz tymczasowego aresztowania generała na podstawie art. 86 konstytucji: „Kto usiłuje przemocą zmienić ustrój Państwa Polskiego podlega karze więzienia na czas nie krótszy od 5 lat albo karze śmierci”. Z tego samego artykułu orzekano kary wymierzone niemieckim zbrodniarzom

wojennym.

## **Pionek w grze**

13 grudnia „Nil” trafił do więzienia przy Rakowieckiej, do specjalnej celi nr 11. Tam, w ciemności, śpiąc na podłodze, spędził kilkanaście miesięcy. Był bity, głodzony i zadreńczany długimi przesłuchaniami. Bezpieka chciała go złamać i zmusić do współpracy przy wspomnianej już operacji „Cezary”. Po latach potwierdzili to funkcjonariusze komunistycznych służb.

## **STALINOWSKA TEMIDA**

Jedną z osób odpowiedzialnych za bezzasadne uwięzienie w generała Fieldorfa była prokurator Helena Wolińska. W latach siedemdziesiątych wyemigrowała do Wielkiej Brytanii. Nigdy nie doczekała sprawiedliwości za stalinowskie zbrodnie sądowe. W roku 2006 Wielka Brytania odrzuciła wniosek ekstradycyjny w jej sprawie, skierowany przez polskie władze. Dwa lata później Helena Wolińska zmarła.

– Fieldorf byłby bardzo dobrym kandydatem i choć był nie do złamania, to miał żyć. Ale moi koledzy nie wytrzymali. Chcieli wspaniale rozwijającą się grę uczynić jeszcze błyskotliwszą. Pragnęli zaszokować Delegaturę Fieldorfem. Zagrali z generałem w otwarte karty. Wiedzieli, że taki fachman jak „Nil” nie da się wykorzystać w ciemno. Do tej pory grali „Wiktorem” [Stefanem Sieńko]. Tym facetem trudno było jednak zaimponować Amerykanom, a w nich celowano – mówiła płk Brystygierowa. – Gdy Fieldorf zdecydowanie odrzucił propozycję współpracy, sprawa stała się groźna dla bezpieczeństwa ludzi, biorących udział w grze. W pewnym momencie „Nil” wiedział za dużo, aby żyć. Musiał umrzeć. Pozostało tylko uzgodnić, w jaki sposób usunąć generała z tego świata. Były różne propozycje. W końcu zdecydowano się na normalne, starannie przygotowane śledztwo i proces – wyjaśniała była szefowa Departamentu V MBP.

## **W śmiertelnym szachu**

Pod koniec 1950 roku ruszyły intensywne przesłuchania zatrzymanego generała. Wszystkie prowadził podporucznik Kazimierz Górski.

Ponieważ Fieldorf nie przyznawał się do winy, konieczne było znalezienie „mocnych” dowodów. Miały być nimi zeznania dwóch aresztowanych akowskich dowódców: Tadeusza Grzmielewskiego „Igora” (ze sztabu Kedywu) oraz Władysława Liniarskiego „Mścislawa” (szefa okręgu Białystok ZWZ-AK). Potwierdzili oni stawiane Fieldorfowi zarzuty, ale dzisiaj wiadomo już, że zrobili to pod przymusem. Zeznania i protokoły przesłuchań wystarczyły jednak podporucznikowi Górskiemu do sporządzenia aktu oskarżenia. Wskazywał w nim na odwieczną „wrogość do ruchu lewicowego i Związku Radzieckiego”, przejawianą przez Fieldorfa.

### **MOGIŁA POD CHODNIKIEM?**

Do tej pory nie udało się ustalić, gdzie spoczywa ciało gen. „Nila”. Jest jednak kilka tropów, które doprowadzą być może do rozwikłania tej zagadki. Władysław Bartoszewski, który był więziony na Rakowieckiej przed laty, powiedział, że słyszał od więźniów, jakoby niemieccy osadzeni zakopali ciało generała w nieustalonym miejscu. Władze więzienne chciały mieć pewność, że Niemcy nie zdradzą miejsca pochówku polskim współwięźniom. Z 12 września 1988 roku pochodzi z kolei pisemne oświadczenie „pani majorowej” Sałacińskiej złożone proboszczowi kościoła św. Katarzyny w Warszawie: „Powiedziała, że jak odkopywała ciało męża, to pod jego ciałem rozpoznała ciało Fieldorfa, którego znała osobiście”. – To raczej niewiarygodna relacja – twierdzi Leszek Zachuta, mąż bratanicy Fieldorfa. Jego zdaniem jest mało prawdopodobne, aby podczas ekshumacji w stanie szoku i wzruszenia rozpoznać kogokolwiek niejako przy okazji poszukiwania kogoś bliskiego.

Z kolei wiarygodnie brzmi relacja Ryszarda Borkowskiego z 31 sierpnia 2007 roku, też złożona w obecności proboszcza świątyni Józefa R. Maja, i przez niego spisana. Z dokumentu wynika, że między Bożym Narodzeniem 1952 a Wielkanocą 1953 roku Borkowski (jako pracownik Przedsiębiorstwa Budowlanego MBP) razem z trzema kolegami otrzymał polecenie wykopania dołu przy cmentarzu na ul. Wałbrzyskiej koło klasztoru Dominikanów w Warszawie. „Wtedy zapytałem Kierownika, który był z nami przy Wałbrzyskiej, dla kogo to jest szykowane. Odpowiedział, dla tych co ich proces się toczy i bardzo cicho do mnie »dla Nila«. Mnie to mało mówiło, żonie powiedziałem »dla Araba« bo mi się to tak skojarzyło. Sprawa nie dawała mi spokoju po kilku dniach pojechałem tam samochodem, żeby być przy tym miejscu (mimo sprzeciwu kolegów, bo bali się UB) i zobaczyłem, że dół który wykopaliśmy był wyrównany tą samą ziemią, którą w zwałach zostawiliśmy”. Z dołączonej do dokumentu mapki wynika, że domniemana mogiła „Nila” znajdowała się 10 m od narożnika cmentarnego muru. Dziś jest tam chodnik i osiedlowy parking. Kilka lat temu w tym miejscu dokonano sondażowych odwiertów. Badania te – jak twierdzi ks. Maj – potwierdziły istnienie 3 zbiorowych mogił. Badań nie kontynuowano.

Na cztery miesiące przed wyrokiem, na przełomie 1951 i 1952 roku, generał trafił do celi ogólnej. Prycza w pryczę spał z nim rabin

Lichtszajn Chaim. Wspominał potem, że Fieldorf wciąż wymyślał łamigłówki, by ćwiczyć pamięć. Lubił też grać – na przykład w szachy. Gdy zabrano go na rozprawę, nikt nie miał wątpliwości, że już nie wróci. Wychodząc, generał pożyczył buty od jednego z więźniów, bo jego własne były bardzo zniszczone.

Dokładnie o 12.30, 16 kwietnia 1952 roku, w Sądzie Wojewódzkim dla m.st. Warszawy za zamkniętymi drzwiami zebrała się tzw. sekcja tajna w składzie: Maria Gurowska (vel Górowska), Bronisław Malinowski i Mieczysław Szymański. Skazała ona Fieldorfa na karę śmierci. Zasadziła także wobec niego utratę praw publicznych i honorowych oraz przepadek mienia. W uzasadnieniu sędziowie napisali, że „skazany występował przeciwko bojownikom o wolność i wyzwolenie społeczne. Udowodnione materiałami sprawy morderstwa około tysiąca antyfaszystów, tylko w części obrazują faktyczne zbrodnie, które obciążają skazanego”.

Rewizje, wniesione przez Fieldorfa i jego obrońcę z urzędu, zostały odrzucone. 20 października Sąd Najwyższy utrzymał wyrok, nie rozpatrując nawet wyjaśnień skazanego. Nic dziwnego, bo opinia, którą skierowała tam sędzia Gurowska, była jednoznaczna: „Skazany Fieldorf na łaskę nie zasługuje. Wykazał wielkie natężenie woli przestępczej. Zdaniem sądu nie istnieje możliwość resocjalizacji skazanego”. Dwa dni później do Bolesława Bieruta trafiły prośby o ułaskawienie od rodziny generała. Jednak Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski i 3 lutego 1953 roku zatwierdziła wyrok. 24 lutego „Nil” został powieszony w więzieniu przy ul. Rakowieckiej.

### **Ostatnia tajemnica „Nila”**

Żona spotkała się z Emilem po raz ostatni 2 lutego 1953 roku. Zapytał ją: „Czy wiesz, dlaczego mnie skazali? Bo odmówiłem współpracy z nimi. Pamiętaj, żebyś nie prosiła ich o łaskę! Zabraniam tego”. Po latach płk Brystygierowa tak komentowała to spotkanie: – Myślę, że „Nil” celowo pominął szczegóły. On musiał się domyślać, że rozmowa jest nagrywana. (...) Gdyby powiedział wszystko, żona podzieliłaby jego los. O egzekucji żona dowiedziała się po kilku miesiącach. Po kilkudziesięciu latach, w 1989 roku, PRL-owski wymiar

sprawiedliwości oczyścił gen. Fieldorfa z zarzutów. W 2006 roku „Nil” został pośmiertnie odznaczony Orderem Orła Białego. Symboliczny grób generała umieszczono na warszawskich Powązkach, ale do dziś nie wiadomo, gdzie naprawdę został pochowany. Poszukiwania wciąż trwają. Jednym z możliwych miejsc jest dzisiejszy parking przy ul. Wałbrzyskiej w pobliżu cmentarza na Służewie. To miejsce wskazała w połowie lat 80. kobieta, której męża także stracono w latach 50. Kobieta przekupiła mężczyznę, który przewoził ciała w miejsce tajnego pochówku. Po odkopaniu zwłok męża zobaczyła też ciało Fieldorfa. Bała się jednak o tym mówić. Dopiero tuż przed śmiercią wyznała prawdę księdzu.

**Michał Chłabicz**

Dziennikarz radiowy i telewizyjny, publikował m.in. w „Życiu Warszawy”

# Szkielety z szafy pana Edisona

Uważany za najgenialniejszego wynalazcę przełomu XIX i XX wieku Thomas Alva Edison nie był autorem żadnego z przypisywanych mu pomysłów. Edison był po prostu mistrzem recyklingu.

**autor Bogusław Bartkowiak**

**J**eden przełomowy wynalazek raz na pół roku; jeden mniej istotny, co 10 dni – to program laboratoriów Edisona nazywanych „fabrykami wynalazków”. Jak to osiągnąć? Po pierwsze: zatrudnić utalentowanych pracowników i odpowiednio zorganizować im pracę. Po drugie: stosować odpowiednie do sytuacji metody. A te u Edisona bywały – mówiąc oględnie – różne.

Francuz Louis Le Prince wynalazł, jak to określił we wniosku patentowym: „Sposób i urządzenia do tworzenia ruchomych obrazów natury i życia”, czyli mówiąc prościej – kamerę i projektor. Wszedł w ten sposób w drogę Edisonowi, również pracującemu nad urządzeniem, które „stałoby się dla oczu tym, czym fonograf dla uszu”. W 1890 roku Elizabeth, żona Le Prince’a, wynajęła na Manhattanie lokal, gdzie miała odbyć się prezentacja wynalazku męża. Stało się jasne, że ekipa Edisona przegrała „wyścig”. Edison nie poddał się jednak bez walki.

Le Prince przebywał wówczas w Europie, gdzie dopracowywał wynalazek. 16 września miał się zjawić w Paryżu. Jednak pociąg z Dijon przyjechał na dworzec bez Louisa. Postawny mężczyzna (190 cm wzrostu) w sile wieku (49 lat) dosłownie „rozpłynął” się w powietrzu... Elizabeth od samego początku nie miała żadnych wątpliwości: „Mój mąż został zlikwidowany na polecenie amerykańskich wynalazców, którzy chcieli przejąć kontrolę nad kinematografią”.

Zaplanowany pokaz odwołano. To nie wszystko. Zgodnie z przepisami nikt, nawet najbliższa rodzina, nie mógł uzyskać praw do jakiegokolwiek własności, z intelektualną włącznie, osoby zaginionej, dopóki sąd nie uznał jej za zmarłą. Czas oczekiwania w podobnej sprawie wynosił 7 lat! W technice to cała epoka, zwłaszcza w sytuacji, gdy konkurenci depczą sobie po piętach. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności dla Edisona, że Francuz nie zginął, lecz zaginął.

Już po niespełna roku Edison zaprezentuje publicznie prototyp kinetoskopu, a w 3 lata później zorganizuje sieć lokali, w których możliwe będzie korzystanie z niego za opłatą. We Francji bracia Lumière dokonają pierwszych nieoficjalnych pokazów kinematografu, a w grudniu 1895 roku przygotowują pierwszy pokaz odpłatny, który uznawany jest obecnie za oficjalny początek historii kina i filmu. Wystarczyły cztery z gwarantowanych przez prawo siedmiu lat, by świat wszedł w epokę nowego medium, zapominając o prawdziwym protoplaście tego urządzenia.

W 1923 roku angielski dziennikarz Kilburn Scott rozwinął oskarżenie żony Le Prince'a, pisząc, że w roku 1890 pojęcie „wynalazcy amerykańscy” mogło odnosić się tylko do jednej osoby – Thomasa Alvy Edisona. Przypomniął, że był on również specjalistą „odzysku technologicznego”, który polegał na podejmowaniu pomysłów i wynalazków konkurentów. Był także pierwszym wynalazcą, który zorganizował „komórkę nadzoru technologicznego i szpiegostwa przemysłowego”. Edison zasłynął z tego, że podczas wizyty na paryskiej wystawie światowej w 1889 roku telegrafował do swojej „drużyny specjalnej” z pomysłami na patenty, które „odkrywał” pośród prezentowanych wynalazków. Jego ulubioną lekturą były wnioski patentowe z całego świata, zdobywane dzięki „wtyczkom” w biurach patentowych. To dzięki takim właśnie sposobom jego laboratoria mogły praktykować słynną „wynalazczość zespołową”.

W 2004 roku jeden z kanałów telewizji brytyjskiej podał wiadomość o znalezionych w archiwach paryskiej policji aktach dotyczących topielca wyłowionego z Sekwany dokładnie w dniu zniknięcia francuskiego wynalazcy. Załączona fotografia wskazywała na duże podobieństwo do znanych wizerunków Louisa Le Prince'a...



## **I znowu ten Le Prince**

Kinetoskop Edisona miał sporo wad w porównaniu z kinematografem braci Lumière. Drewniany prostopadłościan, do którego zaglądało się pojedynczo z góry, żeby zobaczyć odtwarzaną w nieskończoność kilkusekundową ruchomą scenkę, nie mógł na dłuższą metę konkurować z projektorem wyświetlającym filmy dla siedzącej wygodnie i dowolnie licznej publiczności. Edison postanowił problem rozwiązać. Oczywiście po swojemu.

We wrześniu 1895 roku (trzy miesiące przed braćmi Lumière!) dwaj Amerykanie Armat i Jenkins dokonali publicznej projekcji filmowej za pomocą skonstruowanego przez siebie Phantascope'u. Na wiosnę następnego roku odkupił go od nich Edison, przemianował na Vitascope, opatentował i zaprezentował uroczyście jako swój wynalazek. Nie tylko. Przypisał sobie również wyłączne prawo do tytułu wynalazcy filmu i kina, a w związku z tym do wyłączności na czerpanie zysków z wszelkiego rodzaju urzędzeń rejestrujących i odtwarzających „ruchome obrazy”. Zapowiedział też walkę ze wszystkimi, którzy odważyliby się... łamać prawo!

W 1898 roku przed sądem w Nowym Jorku doszło do starcia na szczycie. Edison wystąpił przeciwko założonej przez jego byłego współpracownika Williama Kennedy'ego Dicksona American Mutoscope Company twierdzącej, że „urządzenie do rejestrowania i odtwarzania fotografii obiektów w ruchu było dobrze i powszechnie znane przed rzekomym wynalezieniem go przez Mr. Edisona”.

Dla poparcia tej opinii firma powołała na świadka... Le Prince'a, Adolphe'a Le Prince'a, syna Louisa, który pomagał ojcu przy konstruowaniu kamer i projektorów. Rodzina zaginionego wynalazcy miała nadzieję, że będzie to okazja do upomnienia się o jego zasługi. Adolphe przywiózł nawet specjalnie z Anglii prototypy kamer skonstruowanych przez ojca i wykonane nimi filmy. Nie doszło jednak do żadnych projekcji czy pokazów sprzętu. Skłóceniu rywale nie potrzebowali jeszcze jednego, który – o zgrozo – mógłby upomnieć się też o odszkodowania i tantiemy. Jednak strzeżonego...

Fire Island to malownicza wyspa w pobliżu Nowego Jorku, miejsce weekendowych i wakacyjnych wypadów. W jedno z lipcowych

popołudni 1901 roku znaleziono tam zwłoki 29-letniego Adolphe'a z raną postrzałową od strzelby, która leżała obok niego. Do dziś nie rozstrzygnięto, czy był to wypadek, zabójstwo czy samobójstwo. Jedyne zrozpaczona matka (i wdowa) nie miała wątpliwości, kto mógł spowodować śmierć jej syna.

### **Król patentu**

W 1902 roku Georges Méliès – mistrz iluzji i trików, które do dziś inspirują filmowców – nakręcił swoje najśłynniejsze dzieło: „Podróż na Księżyc”. Wyjątkowo długi, jak na ówczesne standardy, bo aż 15-minutowy film, pełen dekoracji oraz efektów specjalnych poważnie zaciążył na sytuacji finansowej jego twórcy. Ale obraz podobał się publiczności, była więc nadzieja na zyski. Ze względu na ilość sal kinowych bardzo liczone na pokazy w USA. Oczywiście dopóki nie okazało się, że w wielu amerykańskich miejscowościach film... też już się zdążył spodobać. W jaki sposób? Podczas europejskich pokazów agentom Edisona udało się zdobyć kopię filmu od przekupionego właściciela jednego z londyńskich kin. Wywieziono ją do Stanów, powielono i skierowano do rozpowszechniania. W ten sposób Méliès podczas organizowanych przez siebie seansów musiał konkurować niejako sam ze sobą.

---

Do dziś nie rozstrzygnięto, czy Adolphe popełnił samobójstwo, czy został zamordowany. Jedyne zrozpaczona matka (i wdowa) nie miała wątpliwości, kto mógł spowodować śmierć jej syna.

---

Edison wyznawał najwidoczniej zasadę, że jeśli Kali ukradł krowę, to jest to przecież dobry uczynek! Sytuacja komplikowała się dopiero, jeśli to ktoś Kalemu ukradnie krowę. Żeby zabezpieczyć się przed tym problemem, Edison powołał w 1908 roku Motion Picture Patents Company (Filmową Spółkę Patentową) zwaną również „trustem Edisona”. Zasada działania spółki była prosta: kilka firm

dysponujących najważniejszymi patentami na urządzenia i technologie służące do produkcji oraz dystrybucji filmów oddało je do wspólnego użytkowania na korzystnych warunkach. Wszyscy pozostali mogli uzyskać do nich dostęp wyłącznie w zamian za płatne koncesje, a oporni mieli być bojkotowani aż do skutku.

„Kali” nie musiał już kraść krów, skoro wszystkie były jego. Pozostawało mu tylko pilnowanie porządku, no i przyjemność „dojenia”. Nieposłusznych karano nie tylko konfiskatą nielicencjonowanego sprzętu i taśm. Na porządku dziennym były wszelkiego rodzaju „wypadki”, wśród których szczególnie popularne były pożary, a także zastraszania, pobicia i to ze śmiertelnymi włączniami.

Reakcją na te kołchozowo-mafijne metody stało się poszukiwanie azylu z dala od Edisonowskiego New Jersey. Niezależni filmowcy przenieśli się do Kalifornii, w okolice niewielkiej miejscowości Hollywood. Tymczasem osławiony trust został postanowieniem sądu federalnego z 1915 roku uznany za „nielegalny hamulec handlu”, a po przegranej procesie apelacyjnym w 1918 roku oficjalnie rozwiązany.

### **Pod prąd (przezienny)**

W 1882 roku Edison uruchomił na Manhattanie pierwszą amerykańską elektrownię. Po pięciu latach miał ich już 121, a wraz z nimi uznanie, sławę i pieniądze. Ale szczęście nie może trwać wiecznie. Pojawił się rywal – amerykański inżynier i przedsiębiorca George Westinghouse, używający technologii zakupionej od serbskiego emigranta – Nikoli Tesli, skądinąd byłego współpracownika Edisona.

Na domiar złego opracowana przez Teslę metoda, oparta na prądzie przeziennym, okazała się tańsza (cieńsze druty pozwalały oszczędzać drogą miedź) i skuteczniejsza (nieograniczony zasięg). Wszystko przez to, że Edisonowski prąd stały musiał być przesyłany grubymi drutami, a docierał najwyżej na odległość 3 km z powodu gwałtownego spadku napięcia.

Edison szybko wymyślił sposób na dobranie się konkurencji do skóry. Dostarczanie przez Westinghouse’a energii elektrycznej

na duże odległości wymagało napięć sięgających tysięcy woltów, obniżanych potem dla odbiorców do kilkuset, ale wciąż groźnych dla zdrowia i życia. W 1888 roku „The New York Evening Post” opublikował list niejakiego Harolda P. Browna przejętego śmiertelnym wypadkiem, jakiemu uległ chłopiec, który dotknął odsłoniętego przewodu elektrycznego zasilającego prądem (oczywiście prądem przemiennym) telegraf. Pan Brown apelował do władz o zrezygnowanie z tego typu elektryczności, zanim stanie się przyczyną kolejnych tragedii. Szczerość jego „obywatelskiej troski” mogła wzbudzić sporo wątpliwości, gdy okazało się, że jest współpracownikiem Edisona...

By uświadomić niewiernych i przekonać wątpiących, Brown wraz z asystentem Fredem Petersonem organizowali finansowane przez Edisona publiczne pokazy, podczas których zabijano prądem (oczywiście prądem przemiennym) tuziny psów i kotów. Ustawiano je na metalowej płycie, przez którą przepuszczano prąd o napięciu 1000 woltów, płynący z generatora (oczywiście) Westinghouse’a. Monotonie elektrokcji kotów i psów urozmaicano zabijaniem cieląt, krów, koni, osłów, a raz nawet był to orangutan. Jednak prawdziwym gwoździem do trumny Westinghouse Electric Company miało okazać się krzesło; krzesło elektryczne.

Setki zabitych prądem kotów i psów wyrobiły Brownowi i Petersonowi opinię „ekspertów” w dziedzinie elektrokcji. Trudno więc się dziwić, że władze stanowe, zamierzające zarzucić wieszanie skazanych na śmierć, zwróciły się właśnie do nich o opinię co do sposobu wykonywania podobnej egzekucji na ludziach. Zastanawiano się nad elektrycznym kapeluszem, stołem lub zbiornikiem z wodą. Brown i Peterson zaproponowali elektryczne krzesło (oczywiście na prąd przemienny), a także podjęli się zaprojektowania i wykonania go.

Prąd przemienny: niebezpieczny, prąd zabójca, teraz jeszcze na dodatek służący do wysyłania na tamten świat przestępców. Czyż Edison mógł sobie wymarzyć czarniejszy PR dla elektryczności produkowanej przez konkurenta?

Westinghouse wpadł w złość i napisał list do „New York Timesa”, w którym oskarżył Browna o działanie w interesie Edisona. Odmówił

także dostarczenia generatorów niezbędnych do funkcjonowania elektrycznych krzesła. Do końca będzie starał się nie dopuścić do wykonania wyroku na Williamie Kemmlerze – pierwszym skazanym na krzesło elektryczne, wspierając finansowo jego odwołania do sądów wyższych instancji.

List nie będzie miał żadnych konsekwencji ani dla Edisona, ani dla Browna. Generatory zakupi przez pośredników i dostarczy Edison, a kolejne apelacje adwokatów Kemmlera, próbujących wykazać niekonstytucyjność kary śmierci na krześle elektrycznym jako okrutnej i dotąd niepraktykowanej, zostaną odrzucone dzięki zeznaniom powołanych ekspertów panów... Browna i Edisona.

## **Śpiew zza grobu**

27 marca 2008 roku w „New York Timesie” ukazał się artykuł, którego pierwsze zdanie zawisło jak ciemna chmura nad wynalazcą opatentowanego w 1878 roku fonografu: „Od ponad stu lat Thomas Edison uważany był za ojca nagrań dźwiękowych”. Cóż takiego się wydarzyło, skąd ów ton zwątpienia?

Był Poniedziałek Wielkanocny, 9 kwietnia 1860 roku. W jednym z paryskich mieszkań zwracał uwagę dziwny przedmiot: prostokątna deska, na której za pomocą metalowych podpórek umieszczono ukośnie nachyloną niewielką beczułkę, zwróconą otwartą częścią w przestrzeń, a zamkniętym denkiem w stronę umocowanego poziomo, tuż za nią, cylindra z korbką. Obwód cylindra pokryty był okopconym papierem, na którym opierał się koniec cieniutkiego ni to patyczka, ni to trzcinki wychodzącego z dna beczułki.

Édouard-Léon Scott de Martinville (1817–1879) – pan domu i zarazem konstruktor owego „dziwactwa” – krzątał się przy nim, sprawdzając różne detale, pośród których jednym z najważniejszych było odpowiednie ustawienie w pobliżu wlotu „beczułki” stremowanej protagonistki zdarzenia, przypuszczalnie córki. Potem zaczął delikatnie obracać korbką cylindra i na dany znak z ust dziewczyny popłynęły słowa: „Au clair de la lune, Pierrot répondit”. (W świetle księżyca, Pierrot odpowiedział) – tekst popularnej piosenki ludowej – zaś cieniutki rysik zaczął kreślić na papierze drgające linie.

Monsieur Scott nie był naukowcem, ale napisał książkę o stenografii i pasjonował się zależnościami między mową a jej „wyglądem”. Stąd pomysł i eksperymenty z urządzeniem zdolnym do „pisanie i rysowania dźwiękiem”. Wymyślił je, skonstruował, nazwał fonoautografem i opatentował już w 1857 roku. Zaczął je nawet sprzedawać jako instrument laboratoryjny do analizy dźwięku. Miał nadzieję, że uzyskiwane za jego pomocą fonoautogramy przydadzą się w naukowych studiach nad mową. Nie był zainteresowany odtwarzaniem ich, więcej – jak wynika z wydanych na rok przed śmiercią pamiętników – miał nawet za złe Edisonowi, że nie tylko „podprowadził” mu pomysł, ale na dodatek źle z niego korzystał, wypaczając ideę fonografii, czyli pisanie/rysowanie dźwiękiem.

W grudniu 2007 roku amerykańscy badacze historii fonografii z Lawrence Berkeley National Laboratory w Kalifornii w archiwach urzędu patentowego i Francuskiej Akademii Nauk natrafili na kilkanaście taśm ciemnego papieru pokrytych rzędami jasnych wężykowatych linii. Najstarsza pochodziła z 1853 roku, najlepiej zachowana z 9 kwietnia 1860. Posługując się tak zwaną igłą cyfrową, nie tylko je przetworzyli i oczyścili, ale również „ożywili”. Po raz pierwszy można było ich słuchać, a nie tylko oglądać. Są wśród nich recytacje pojedynczych głosek, dźwięki kamertonu, gitary, itp., ale największe wrażenie robi przebijający się przez dystans ponad 150 lat dziewczęcy głos [obecnie odkrywcy tych taśm uważają, że Scott nagrał swój własny głos – przyp. red.].

A więc kinematografia nie, elektryczność nie, fonografia również nie – zostaje żarówka, ten symbol Edisonowskiej wynalazczości. Tylko że ona, żarówka, też nie. Ją też amerykański geniusz pozlepił z cudzych pomysłów, kupionych patentów i kilkunastu procesów sądowych. Wszystko legalnie i bez przemocy (tym razem), ale na pewno jej również nie można nazwać „wynalazkiem Edisona”.

Jeden z jego długoletnich konkurentów i przeciwników w procesach Hiram Stevens Maxim (ten od karabinu maszynowego) powiedział: „Sukcesy Edisona w dziedzinie wynalazków wynikały przede wszystkim z lepszego posługiwania się przez niego prawem patentowym”.

Założenie było banalnie proste: patentować, patentować i jeszcze raz patentować. Zapewniać sobie wyłączność na wszelkiego rodzaju

pomysły – obojętnie, własne czy cudze. Edisonowska „genialność” polegała na zdaniu sobie sprawy z tego, że wynalazek to o wiele więcej niż tylko osoba, która pierwsza wpadła na dobry pomysł, a patent i wynalazca wcale nie muszą być synonimami.

**Bonusław Bartkowiak**

# Agent Yeti nadaje

Yeti istniał naprawdę, nawet jeśli wymyślili go amerykańscy specje od propagandy. Ów Człowiek Śniegu odegrał wielką rolę w wojnie CIA z Chinami, toczonej rękoma tybetańskich bojowników.

**autor Jakub Mielnik**

**D**o Centralnej Agencji Wywiadowczej zwerbował Człowieka Śniegu na początku lat 50. ekscentryczny teksasński milioner Tom Slick. Yeti buszował przecież w okolicach, które w tamtym czasie miały kapitalne znaczenie polityczne. W 1950 roku na Dachy Świata pojawiły się armie Mao, zajmując cały Tybet, aż do granicy z Indiami. W Korei trwała wówczas wojna, w której około miliona chińskich „doradców” z powodzeniem łoilo skórę oddziałom generała Douglasa MacArthura. Waszyngton postanowił zatem bacznie obserwować ruchy Chińczyków w Tybecie, by nie dać się zaskoczyć ewentualnym atakiem na Indie.

Oficjalnie szpiegowanie Chińczyków w Himalajach nazywało się poszukiwaniem śladów yeti. Bazą tropicieli Człowieka Śniegu było pograniczne miasteczko Kalimpong. Agenci CIA wraz z Gyalo Thundupme, bratem Dalaj Lamy, założyli tam punkt werbunkowy dla dywersantów, walczących w Tybecie z chińską okupacją. Wiosną 1957 roku w Kalimpong pojawił się Tom Slick, spadkobierca naftowej fortuny z Teksasu, podróżnik i przedsiębiorca znany z bliskich kontaktów z amerykańskim wywiadem.

Slick należał do tego gatunku amerykańskich przemysłowców, którzy poważnie brali patriotyczne powołanie i służbę ojczyźnie. W czasie wojny był ekspertem do spraw produkcji wojennej Departamentu Obrony, potem używał samolotów swoich linii lotniczych Slick Airways do operacji OSS (Office of Strategic Services), jak nazywała się poprzedniczka CIA. Zaprzyjaźniony z innym



ekscentrycznym miliarderem Howardem Hughesem, Slick lobbował u prezydenta Eisenhowera za przystąpieniem USA do podboju kosmosu. Sfinansował kilka istniejących do dziś instytutów badawczych, np. Południowo-Wschodnią Fundację Badań Biomedycznych oraz Fundację Nauk o Umyśle, zajmującą się badaniem ludzkiej świadomości. Kolekcjonował obrazy Picassa, Braque'a i Georgii O'Keeffe. A nade wszystko pasjonował się kryptozoologią, czyli pseudonauką o tajemniczych a nieodkrytych stworach, zamieszkujących ziemię. Jeszcze jako członek studenckiej korporacji Phi Beta Kappa zorganizował z kolegami z Yale wyprawę do Szkocji w celu odnalezienia potwora z Loch Ness. Potem poszukiwał gigantycznych salamander w Ameryce Południowej i leśnych nosorożców na Sumatrze. W połowie lat 50. zainteresował się doniesieniami o yeti. A było ich sporo.

Pierwsze wzmianki o tajemniczej człekokształtnej istocie, buszującej wśród wiecznych śniegów i lodowców, pojawiły się na Zachodzie jeszcze przed wojną. W 1925 roku yeti został opisany przez greckiego fotografa Tombazi, który brał udział w brytyjskiej ekspedycji geologicznej w Himalaje. W 1938 roku kapitan d'Auvergue, kurator muzeum w Kalkucie, twierdził wręcz, że porośnięty długą sierścią człekokształtny stwór uratował go od śmierci, gdy zapadł w Himalajach na ślepotę śnieżną. Po wojnie yeti powrócił.

W 1951 roku na lodowcu Menlung dwaj brytyjscy alpinści Shipton i Ward sfotografowali świeże ślady stóp, które miały 30 cm szerokości i ponad 60 cm długości. W 1953 roku Edmund Hillary znalazł podobne odciski w drodze na Everest. Rok później ekspedycję poszukiwawczą posłał w Himalaje londyński „Daily Mail”. No, a w 1957 roku w Himalaje zawitał sam Tom Slick.

## **Armia yeti**

Trudno było wymarzyć sobie lepszą przykrywkę dla działalności wywiadowczej niż finansowana przez zwariowanego milionera ekspedycja, szukająca tajemniczej człekokształtnej istoty. Ton wyprawie nadawał Peter Byrne, oficer CIA, odpowiedzialny w Kalimpong za werbowanie zwiadowców, szpiegujących dla

Amerykanów w Tybecie. Wśród członków ekspedycji Slicka był też szkocki awanturnik, dziennikarz, podróżnik, misjonarz i szpieg do wynajęcia Roger Patterson. Kręcił się on po Tybecie i środkowych Chinach od końca II wojny światowej. Kilka lat spędził wśród wojowniczych tybetańskich Khambów, świetnie znał chiński i tybetański. Skład ekspedycji dopełniali: Khamba Nima Tenzing, wtedy w służbie tego, co nazywało się armią Tybetu, i niejaki Borys Lisaniwicz.

„Rosjanie brali go za szpiega amerykańskiego, Amerykanie za rosyjskiego, a Hindusi uważali, że pracuje dla obydwu stron” – pisał w wydanej w 1973 roku książce „The Secret War and Tibet” były agent CIA Michael Peissel. W ciągu kilku tygodni o ekspedycji Slicka zrobiło się głośno. 27 kwietnia 1957 roku „New York Times” napisał, że wywiad amerykański pod przykrywką poszukiwań yeti przygotowuje wyzwolenie Tybetu spod chińskiej okupacji. Było w tym tylko ziarnko prawdy.

– Chodziło o operację dywersyjną, która popsuje Chińczykom szyki w Himalajach, nikt nie zamierzał jednak wszczynać wojny o Tybet – wspominał po latach Sam Halpern, inny pracownik CIA z tamtego okresu. Prawdziwym celem wyprawy Toma Slicka było sformowanie armii partyzanckiej, która podjęłaby walkę z chińską armią w Tybecie. Gdy oficjalni członkowie ekspedycji Slicka – Roger Patterson i Nima Tenzing – werbowali Khambów w Tybecie, inny członek wyprawy, Peter Byrne, dokonywał wstępnej selekcji ochotników i wysyłał ich do Camp Hale, bazy sił specjalnych w Górach Skalistych w Kolorado. Górale, którzy nigdy nie mieli do czynienia choćby z elektrycznością, byli usypiani i pakowani do samolotów Slick Airways, które przewoziły ich na drugi koniec świata. Tam przechodzili szkolenie w operacjach dywersyjnych i obsłudze radiostacji, po czym – uzbrojeni – byli zrzućani na spadochronach nad Tybetem. Operacja nazwana została Cyrk Cieni, a jej organizatorzy zrobili wszystko, by ukryć amerykańskie zaangażowanie w dywersję w Tybecie. Stąd właśnie samoloty prywatnej firmy, które w razie zestrzelenia lub awarii trudno byłoby łączyć z wywiadem.

Między 1957 a 1959 rokiem Tom Slick zorganizował trzy ekspedycje, poszukujące yeti. Ich celem było nie tylko sianie dywersji w Tybecie,

ale też przygotowanie ewakuacji Dalaj Lamy do Indii. 17 marca 1959 roku, w dniu św. Patryka, ludzie Toma wyprowadzili z okupowanej przez Chińczyków Lhasy Jego Świątobliwość, całą jego rodzinę oraz świtę. Trzy kawalkady uciekinierów ochraniała armia, szkolona przez CIA. „Ucieczka Dalaj Lamy z Tybetu była w całości zorganizowana przez CIA, agenci zapewniali łączność między uciekinierami a ekspozyturą CIA na granicy Tybetu i Indii” – pisał John Prados, autor książki Tajne operacje Pentagonu oraz CIA od końca II wojny światowej. Agentem, który towarzyszył Dalaj Lamie, był nie kto inny jak Peter Byrne, towarzysz wypraw Slicka. To on pośredniczył w negocjacjach z rządem indyjskim w sprawie warunków udzielenia azylu świcie Dalaj Lamy.

### **Fałszywy skalp**

Jesienią 1960 roku hall Merchandise Mart, największego domu towarowego świata, pękał w szwach. Pół Chicago zleciało się do olbrzymiego budynku nad brzegiem rzeki Chicago, by podziwiać coś niezwykłego. Gościem honorowym był sam Edmund Hillary, zdobywca Everestu. Towarzyszył mu Khunjo Chumbi, Tybetańczyk z niewielkiej osady Khumjung w Himalajach. Dziś Himalaje to popularny region turystyczny, każda pensjonarka zaopatrzona w odpowiednią gotówkę może spacerować po najwyższych szczytach świata. Ale pół wieku temu ludzi, którzy mieli okazję zobaczyć ten zakątek ziemi na własne oczy, można było policzyć na palcach jednej ręki.

Khunjo Chumbi czarował więc chicagowską śmietankę tradycyjnym strojem, urodą, dowcipem i tańcem. Kulminacyjnym punktem wieczoru była prezentacja... kawałka Człowieka Śniegu. Dosłownie, bo przywieziony przez sir Edmunda do Chicago Khunjo miał ze sobą skalp legendarnego yeti. Hillary i tybetański wieśniak objeżdżali właśnie świat w triumfalnym tournée, które miało udowodnić, że zorganizowana z rozmachem przez podróżnika wyprawa, poszukująca śladów yeti, zakończyła się sukcesem. W istocie była to wielka klapa. Sponsorowany przez World Book Encyclopedia słynny zdobywca Everestu zawitał w Himalaje w 1960 roku. Wlókł ze sobą

trzystu ludzi – tragarzy, myśliwych, tropicieli i zoologów. Przewodnikiem małej armii, nazywanej złośliwie „playboyami Hillary’ego”, był Nima Tenzing, ten sam tybetański partyzant, który uczestniczył w wyprawach CIA oraz Toma Slicka. Tenzing przegonił Hillary’ego po Himalajach, ale tajemniczego górskiego stwora oczywiście nie znaleźli.

– To nie mogło się udać, było nas za dużo i robiliśmy za dużo zamieszania – wspominał po latach jeden z uczestników wyprawy Desmond Doig. Po wielotygodniowych poszukiwaniach ludzie byli zmęczeni bezowocną wędrówką po lodowcach. Znalezione jakieś dziwne ślady na śniegu, ale aparaty fotograficzne nie uwieczniły obecności żadnego nieznanego stworzenia. Rozstawione na lodowcu bardzo czułe mikrofony, które miały zarejestrować słynny wysoki świst yeti, również niczego nie nagrały.

Gdy ekspedycja doczłapała się w końcu do osady Khumjung, Hillary i kilku innych podróżników struło się rybnymi sucharami. Trwająca wiele dni biegunka odebrała ostatecznie wszystkim ochotę do dalszych poszukiwań. Nad słynnym zdobywcą zawisło widmo kompromitacji i konieczności wytłumaczenia się sponsorom ze zmarnowanych pieniędzy. I wtedy Nima Tenzing pokazał im skalp yeti.

W małej świątyni w Khumjung górale przechowywali coś, co wyglądało na porośniętą włosami skórę, zdjętą z czaszki nieznanego zwierzęcia. Tybetańczycy twierdzili uparcie, że to skalp Człowieka Śniegu, który chroni wioskę przed demonami i zapewnia obfite plony, i nie chcieli się jej pozbyć. W końcu w zamian za budowę szkoły i utrzymanie dla nauczyciela zgodzili się wypożyczyć skalp na 6 tygodni, pod warunkiem, że Khunjo Chumbi, naczelnik wioski, pojedzie z Hillarym. Początkowo tournée przebiegało pomyślnie. Kubeł zimnej wody na odkrywców wylał prof. J. Mullito z Musée de L’Homme w Paryżu, który zidentyfikował rzekomy skalp jako stary kawał skóry antylopy używany jako nakrycie głowy. Khunjo nie dawał za wygraną: „W Nepalu nie mamy ani żyraf, ani kangurów, więc nic o nich nie wiemy, we Francji nie macie yeti, więc doskonale rozumiem waszą ignorancję” – bronił znaleziska. Potem okazało się, że Khunjo miał w bagażu zapasowy skalp, sporządzony ze skóry antylopy zastrzelonej przez Edmunda Hillary’ego. Podróżnicy, którzy odwiedzali wcześniej

Himalaje, przyznali, że wielokrotnie pokazywano im podobne nakrycia głowy, przedstawiając je jako skalpy yeti. Ekspedycja Hillary'ego zakończyła się więc spektakularną porażką.

### **Nowe tropy, stara bajka**

Szpiegowska historia, od której zaczęła się powojenna kariera Człowieka Śniegu, przetrwała wpadkę Hillary'ego. Armia tybetańskich górali, zwerbowanych w ramach poszukiwania yeti, walczyła z Chińczykami do połowy lat 70. Tom Slick zginął co prawda w 1962 roku w katastrofie lotniczej w Montanie, ale inni bohaterowie tej historii jeszcze w latach 60. przewijali się w relacjach z Dachy Świata.

W latach 70. USA nawiązało oficjalne stosunki dyplomatyczne z Chinami, i CIA zwinęło operację Cyrk Cieni. Weterani walk partyzanckich, wynajmowani przez himalajskie ekspedycje jako szerpowie, rozpowszechniali dalej opowieści o Człowieku Śniegu. Z biegiem lat naukowcy rozwiali większość wątpliwości wokół yeti. Z Człowiekiem Śniegu często mylono błękitnego niedźwiedza tybetańskiego lub rezultaty halucynacji wysokościowych. Całkiem niedawno, pod koniec listopada 2007 roku, yeti znów pobudził ludzką wyobraźnię. Ekipa amerykańskiej telewizji, kręcąca odcinek popularnego show „Destination Truth”, odnalazła 13-calowe ślady 5-palczastych stóp, odcisnięte w śniegu w nepalskiej prowincji Khumbu. A może są to tropy... polityczne? W końcu od jakiegoś czasu mnożą się pogłoski o możliwym wybuchu powstania w Tybecie. Czyżby poszukiwania yeti przy granicy z Chinami oznaczały powtórkę wydarzeń sprzed pół wieku?

**Jakub Mielnik**

Publikował w „Gazecie Wyborczej”, „Newsweeku”, „Polityce”, „Wprost” oraz dzienniku „Polska”.

# Serce Bezpieczeństwa

Z pozoru niezwykle oddane żony, matki i kochanki. Z dobrych rodzin, wykształcone i sympatyczne. I jednocześnie konfidentki Służby Bezpieczeństwa. Ich celem byli mężowie i życiowi partnerzy.

autor **Marek Mejssner**

**T**ajny Współpracownik Ewa była sprawdzonym agentem. Wcześniej rozpracowywała m.in. słynnego żeglarza Leonida Teligę. Posadę na Uniwersytecie Warszawskim przypuszczalnie dostała dzięki SB. Miała obserwować środowisko coraz bardziej niepokornych wobec PZPR intelektualistów, wrastać w nie. Udało się i to od najbardziej zdumiewającej strony. W SB zdecydowano, że Nina O'Bretenny – bo takie było jej prawdziwe nazwisko – zajmie się inwigilowaniem pisarza historycznego Pawła Jasienicy, czyli Lecha Beynara, zapewne po śmierci jego pierwszej żony Władysławy w 1965 roku. Pisarz był w żonie bardzo zakochany. Poznali się jeszcze „za wileńskich czasów”, podczas studiów na Uniwersytecie Stefana Batorego w tym mieście, konkretnie zaś – w studenckim Klubie Włóczęgów, który Jasienica założył wraz z Waławem Korabiewiczem i Czesławem Miłoszem. Córka pisarza Ewa Beynar-Czczott wspomina, że ojciec mocno przeżył śmierć „swojej Władeńki”. I wtedy nagle w maju 1966 roku na wieczorach autorskich Jasienicy pojawia się nowy, stały gość. Kobieta, nie piękna, ale elegancka i elokwentna. Świetnie zna historię Polski – zwłaszcza średniowieczną – i widać, że jest admiratorką pisarza. I nie narzuca mu się. Na razie.

To właśnie Nina O'Bretenny – TW Ewa. W maju 1966 roku napisze w swoim raporcie: „w zachowaniu Jasienicy widać tendencję do nawiązywania flirtu”. Tymczasem było odwrotnie. To TW Ewa postanowiła okręcić sobie pisarza wokół palca. Ich spotkania w cztery

oczy stają się dłuższe – mają miejsce głównie w jej mieszkaniu. TW Ewa pisze w raporcie: „miały charakter dość osobistych zwierzeń, w których opowiadał mi o swych przeżyciach z okresu okupacji i z czasów partyzanckich walk w wileńskim oddziale AK Łupaszkii”. Nie tego chce SB, które stawia Ninie O’Bretenny zadanie rozpoznania środowisk opozycji „skupionych wokół Związku Literatów Polskich”, a zwłaszcza działalności Jasienicy.

Pisarz związany z opozycją stawał się coraz bardziej niewygodny dla władz. Na Rakowieckiej, czyli w siedzibie MSW, wściekłość wywołał donos TW Konrada, który opisał pogrzeb Stanisława Cata-Mackiewicza i mowę Jasienicy nad trumną. „Ostatnie lata, czas od chwili podpisania Listu 34 spędził w nieustającym zatargu. Żył w walce i płacił za to” – mówił Jasienica. Co najgorsze, Lech Beynar przejął też kontakty Mackiewicza z paryską „Kulturą” i z Londynem. Od momentu przechwycenia pierwszych listów Jasienicy do osób związanych z tamtejszą emigracją moczarowskie MSW czekało tylko na okazję, aby „dać mu po nosie”, podobnie jak innym „inteligenckim zgniłkom” (to słowa Moczara).

Okazji do rozprawienia się z pisarzem dostarczył jednak dopiero Marzec 1968. Po pamiętnym wystąpieniu pisarza na forum Związku Literatów Polskich przeciwko „haniebnemu antysemityzmowi” i poparciu przez niego i innych intelektualistów studenckich protestów, I sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka najpierw opluwa go w swoim przemówieniu, a potem oświadcza, że aresztowany przez UB Jasienica „wyszedł z więzienia z powodów, które są mu doskonale znane”. Dla znających ezopowy język tamtej epoki było jasne – Gomułka powiedział, że Jasienica to donosiciel. Zaraz potem ukazuje się artykuł w „Słowie Powszechnym” – przyszły autor „Polski Piastów” zostaje oskarżony o „wymordowanie bezbronnych mieszkańców wsi Narewka”. Nina O’Bretenny oferuje gościnę pisarzowi, bowiem „do stolicy mają przybyć autokarami mieszkańcy Białostockiego, którzy chcą zemścić się na bandytach mordujących w latach 1944-1947”. Potem napisze w raporcie: „Od 15 bm. mieszka u mnie Paweł Jasienica. (...) Nie wychodzi. (...). Zofia Bartoszevska powiedziała mi o wiadomości, która przyszła z PIW-u – wycofuje się z bibliotek publicznych na prowincji książki pisarzy niebezpiecznych, jak

Andrzejewski, Jasienica, Kijowski, Kisielewski. Niestety, powoduje to często wręcz odwrotny skutek, a mianowicie umacnia ich popularność. Jasienica zdecydował się napisać krótkie, na jedną stronę maszynopisu, rozszerzenie swego życiorysu z okresu lat 1946–48 [jest to tzw. Fragment życiorysu, wydawany potem w podziemiu – przyp. aut.]. Również w tym piśmie wyjaśniał sprawę swego nazwiska, że nie ma ono nic wspólnego z pochodzeniem żydowskim. Listy są zaadresowane do: Iwaszkiewicza, Putramenta, Maliszewskiego, Centkiewicza, Opalewskiego, oraz do Zarządu Głównego ZLP. Do kogo innego jeszcze wysłał, na razie nie wiem, ale się dowiem”.

Gdy „najgorsze zagrożenie”, wymyślone zresztą przez O’Bretenny, mija, pisarz jest już zadowolony u przyjaciółki. A ona pisze często 3 raporty dziennie, i to o wszystkim i wszystkich. 25 kwietnia 1968 roku raportuje: „Byli u mnie wieczorem Jan Olszewski, Marta Miklaszewska i Jan Konopka. Nastrój przygnębiający, bo Olszewski i Konopka zostali zawieszni w swych czynnościach adwokackich. Statutowo, dopóki są zawieszni, nie mogą wykonywać żadnej pracy”. W raporcie z 28 kwietnia znalazły się uwagi: „P. Jasienica zatelefonował ode mnie z domu do Stefana Kisielewskiego zapraszając go do siebie na wtorek 29.04 na godzinę 18. po odbiór książek i małą wódkę. (...) Postaram się w miarę możliwości dokładnie przytoczyć wypowiedzi Kisielewskiego”.

Co ciekawe, w tym samym czasie opozycję obserwowało dwóch innych agentów SB i jeden z nich w raporcie postulował „objęcie specjalną obserwacją Z.O.” [Niny Zofii O’Bretenny – red.]. Okazuje się, że TW Ewa także była inwigilowana na wypadek, gdyby pod wpływem Jasienicy zaczęła zmieniać swe poglądy.

Nieświadomy niczego Paweł Jasienica zapoznaje Ninę O’Bretenny ze swoją córką Ewą. Ogólne wrażenie jest pozytywne – Ewa Beynar-Czczott wspomina, że na początku uważała Ninę za osobę „sympatyczną”. W grudniu 1969 roku Jasienica i O’Bretenny biorą ślub.

Bezpieka otrzymuje z tej uroczystości sążnisty raport, ale nie od TW Ewy, którą teraz przemianowano na TW Max. Ona dostaje tydzień urlopu. Raport pochodzi od innego, nieznanego jeszcze agenta – KO (kontaktu obywatelskiego, czyli swoistego spontanicznego donosiciela)



Andrzeja. Jego donos zawiera m.in. listę gości, wśród których znaleźli się: Jerzy Turowicz, Melchior Wańkowicz i Stanisław Stomma. Nie zabrakło też... menu potraw weselnych.

TW Max zaraz po ślubie wraca do „pracy”, ale wokół niej zaczyna się robić gorąco. W raporcie jednego z agentów SB znalazł się ustęp o tym, że Adam Michnik miał powiedzieć małżeństwu Staszewskich, aby uważali na żonę Jasienicy, bo jest ona konfidentką SB i to od 25 lat. Adam Michnik twierdził kilka lat temu, że nie pamięta takiej rozmowy, ale była ona możliwa. Nina Goldbergowa, redagująca książki Jasienicy dla PIW-u, także była pewna związków drugiej żony pisarza z SB – miała o tym się dowiedzieć od Melchiora Wańkowicza. Jednak plotki te nie dotarły ani do pisarza, ani do jego córki.

Marzec 1968 i późniejsza nagonka partyjna podkopały zdrowie pisarza. Choruje, szybko zapada diagnoza – rzadka, nieuleczalna forma raka. Pawłowi Jasienicy zostaje tylko kilka miesięcy życia. W tym czasie jego żona nie przestaje pisać donosów. 19 sierpnia 1970 roku pisarz umiera. SB dostaje dokładne sprawozdanie z pogrzebu. Prawda, że nie napisała go TW Ewa, czyli teraz TW Max. Ona wystarczająco dużo miejsca (4 donosy) poświęca samym przygotowaniom. Na ceremonię SB zwalnia ją z obowiązku raportowania. Donos z pogrzebu dostarczy TW Andrzej. Ale już w tydzień po pogrzebie O'Bretenny pisze donosy o tym, kto pomaga w przedostawaniu się książek pisarza na Zachód, kto urządzał uroczystości pogrzebowe. Po śmierci pisarza wdowa zostaje w mieszkaniu pełnym pamiątek. Dalej pisze donosy – ostatni pochodzi z czerwca 1972 roku i opowiada o wieczorze autorskim poświęconym pisarzowi. Potem znika. Rzekomo w St. Tropez pracuje i opiekuje się rezydencją pewnego „milionera”. Jednak pisarze kontaktujący się z paryską „Kulturą” nie mają wątpliwości – drugą żonę Jasienicy wysłała nad Sekwanę SB, która chciała mieć dokładne informacje o środowisku emigranckim.

Wraca do Polski w 1979 roku i tym razem zaczyna szpiegowanie KOR. Nie wychodzi jej to najlepiej mimo zbliżenia się do Wojciecha Ziemińskiego i Jana Olszewskiego.

Po przełomie w 1989 roku sprawa jej pracy dla SB ujawnia się bardzo powoli. Co prawda w 1992 roku (premierem jest wówczas Jan

Olszewski) nasilają się podejrzenia, że współpracowała z SB, ale do jej śmierci pięć lat później brak na to praktycznie dowodów. Dopiero w 2002 roku, kiedy córka pisarza Ewa Beynar-Czeczott otrzymuje wgląd do esbeckiej teczki ojca, prawda wychodzi na jaw. Trzeba jeszcze 4 lat i procesu, aby córka odzyskała wszystkie prawa autorskie ojca, z których część pozostawała w rodzinie Niny O'Bretenny. Jej syn Marek Obretenny nie zakwestionował pozwu córki Pawła Jasienicy.

### **Przeceniana Matylda?**

Matylda Sobieska została konfidentką nieco przypadkowo. Z dobrym pochodzeniem, zaprzyjaźniona z rodziną Leszka Moczulskiego, twórcy Konfederacji Polski Niepodległej, była w orbicie zainteresowań SB od 1978 roku, czyli od ukończenia liceum. Jednak jako osoba rozpracowywana, a nie kandydat na agenta. SB namierzyła Sobieską po raz pierwszy podczas obchodów Święta Niepodległości 11 Listopada przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Esbecy postępowali wręcz klasycznie – najpierw przeprowadzili z Sobieską serię rozmów ostrzegawczych, potem zrobiono kilka pokazowych rewizji w mieszkaniu jej rodziców, a na koniec dwukrotnie zatrzymano ją na dłużej, czyli na 48 godzin. 1 września 1979 roku, kiedy powstała KPN, Sobieską zatrzymano wraz z innymi aktywistami nowej organizacji. 11 listopada 1979 roku zatrzymano ją powtórnie i po rozmowie w Komendzie Stołecznej MO... dobrowolnie zgodziła się na współpracę z SB. Por. Paweł Przeorski, prowadzący werbunek, zapisał nawet w notatce służbowej: uważa ona, że „rozmowa z nim była wielkim przełomem w jej życiu”.

Szybko związała się z politykiem Ruchu Młodej Polski Aleksandrem Hallem, mimo że jej rodzina nie aprobowwała tego związku. 14 kwietnia 1980 roku oświadczyła, że zamierza wziąć ślub z Hallem i odciągnąć go od działalności opozycyjnej w rezultacie wyjazdu na prowincję.

„Nie da się ukryć, że informacje dostarczane przez Sobieską przeceniano. Nie były to, jak w przypadku żony Jasienicy, ważne donosy, bo ten pisarz był w głównym nurcie opozycji. Tutaj większość materiału stanowiły straszliwe ploty środowiskowe, dobre czasem na tzw. haki, ale trudne do zweryfikowania. Może dlatego jest teraz

wokół tego taki szum” – twierdzi w rozmowie z „Focusem Historia” pragnący zachować anonimowość wysoki oficer ówczesnego MSW.

Przyjęła pseudonim TW Andrzej i stała się agentem rozpracowującym kierownictwo KPN, a później – Ruchu Młodej Polski. Za każdą wartościową informację, według historyka IPN Sławomira Cenckiewicza, otrzymywała 1500 zł. Historyk twierdził, iż „gadatliwość” Halla wobec Sobieskiej przyczyniła się do wpadki RMP. Hall na łamach prasy polemizował z nim, odpowiadając, że niczego istotnego przy niej nie mówił. Faktem jest też, że do ślubu nie doszło.

Sobieska według niepotwierdzonych informacji obecnie pracuje w jednej z firm zachodnich. Nie chce rozmawiać z prasą.

## **Bliska obca**

Przypadek Barbary Wereszczyńskiej-Raina jest zupełnie inny i zadziwiający. W latach 70. stosunkowo liberalna polityka wyjazdowa ekipy Gierka spowodowała wzmocnienie komórek wywiadu i kontrwywiadu. I pion MSW, zajmujący się sprawami zagranicznymi i opierający się głównie na sieci rezydentur w polskich placówkach konsularnych, dzielił się na 19 wydziałów, wyspecjalizowanych głównie w penetracji wysoko rozwiniętych państw kapitalistycznych. Liczył aż 700 oficerów. Posiadał własne archiwum, sekcję kadr, kancelarię, własny dział wywiadu gospodarczego. Uchodził za „państwo w państwie”. Historyk Peter Raina od dawna znajdował się w obszarze zainteresowań tego pionu. Skromny stypendysta z Kaszmiru, który w latach 60. przybył do Polski, aby napisać pracę o Władysławie Gomułce, szybko związał się z opozycją polityczną, co doprowadziło do wydalenia go z PRL w 1967 roku. Władze wkrótce pojęły, że zrobiły błąd, bo Raina znalazł się Berlinie Zachodnim i z jednej strony obdarzony zaufaniem opozycji, z drugiej – prymasa Wyszyńskiego (był autorem biografii księdza prymasa) stał się łącznikiem między opozycją a Kościołem. 27 października 1968 roku Peter Raina wziął ślub z Barbarą Wereszczyńską, panną „znakomitego rodu” pieczętującego się herbem Korczak i chlubiącego przodkami o wielkich tradycjach niepodległościowych. Wkrótce zostaje ona

pilotem zagranicznych wycieczek jeżdżących do „krajów demokracji ludowej”. Potrzebny jest jednak do tego pewien drobiazg – paszport konsularny. Jak mówi jedna z hipotez, Wereszczyńska-Raina otrzymuje go... za cenę zostania agentem SB.

„Operacja werbunku i wykorzystywania Wereszczyńskiej miała miejsce na styku wywiadu wojskowego i wewnętrznego. Prawdę mówiąc, obie służby sobie trochę przeszkadzały. Przez ich konflikt stracono cennego agenta – takie opinie słyszało się »w korytarzu«” – twierdzi wspomniany oficer MSW.

Ostateczny werbunek dokonuje się 27 października 1969 roku w Warszawie. Żona Petera Rainy zgadza się na pisanie raportów o aktywności męża i o jego środowisku. Zgadza się także na założenie „urządzeń elektronicznych”, czyli podsłuchu w domowym telefonie. Wyrazem tej zgody jest własnoręcznie podpisana przez nią deklaracja: „Ja Barbara Wereszczyńska wyrażam zgodę na współpracę z polskim wywiadem za granicą, co pozostaje największą tajemnicą”. Peter Raina, który zapoznał się z aktami SB, twierdzi, że przeważały względy materialne. Podobnie sądzi dr Jan Żaryn z IPN, zauważając, że agentka Sehu, bo taki kryptonim otrzymała Wereszczyńska, dostawała miesięcznie od SB 1000 zł w bonach PKO, okresowo marki zachodniemieckie – do 2500 rocznie i premie za zadania specjalne. Co ciekawe, po 14 latach SB odzyskała niemal wszystkie pieniądze – a było tego ponad 100 tys. zł – zabierając je po prostu z konta zmarłej agentki.

Sehu już na pierwszym spotkaniu przekazała informacje o kontaktach swego męża z RWE i paryską „Kulturą”. Pod jego nieobecność wpuszczała kilkakrotnie esbeków do mieszkania, aby przejrżeli papiery Petera Rainy i skopiowali z nich to, co było dla nich istotne. Pomogła też zainstalować podsłuch w domowym telefonie. Aranżowała także sytuacje, które miały ułatwić funkcjonariuszom kontakt z Rainą, a nawet zwerbować go, co oczywiście się nie udało. Pod koniec lat 70. zaczęła chorować, zauważyli to nawet jej mordercy z SB. Zmarła nagle 6 lutego 1982 roku.

Utrata tak cennego agenta była ciosem dla SB. Dr Jan Żaryn wysuwa nawet przypuszczenie, że Barbara Wereszczyńska mogła paść ofiarą „walki wywiadów” w Berlinie Zachodnim.

„A w ogóle to wokół agentów ulokowanych w opozycji i za granicą panowała taka mania »wicie, rozumiecie, mamy tam człowieka i wszystko wiemy«. Gówna prawda, oni czasem przynosili szajs, materiału operacyjnego było w tym niewiele, wszystko trzeba było po trzy razy sprawdzać. Nie mówię, że oni byli generalnie do dupy. Ale po prostu ich przeceniano” – zapewnia wysoki oficer MSW.

Peter Raina, który napisał o żonie książkę *Bliski szpieg*, zadedykował ją... właśnie jej, w 25-lecie śmierci. Dla niego była przede wszystkim kobietą jego życia.

**Marek Mejsner**

Dziennikarz zajmujący się problematyką historyczną oraz ekonomiczną. Publikował m.in. w „Focusie”

# Agentka w synagodze

Karin Mylius została pierwszym rabinem w dziejach Niemiec. Nie była jednak Żydówką, lecz utalentowaną agentką Stasi

autorka **Beata Dżon**

**M**ylus przez 18 lat – od 1968 roku – kierowała żydowską gminą w enerdowskim Halle. A nie zdarzało się codziennie, by stanowisko takie obejmowały kobiety. Socjalistyczne Halle zdawało się więc wyprzedzać swoją epokę. Stało się tak ku zaskoczeniu członków gminy i wbrew woli większości rabinów. Mylius pojawiła się nagle, nikt nie znał jej przeszłości ani rodziny. Miała jednak za sobą mocne, choć niejawnie, poparcie partii komunistycznej (SED) i Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego (Staatssicherheitsdienst). Chciała nawrócić członków gminy na jedynie słuszny światopogląd: marksizm-leninizm. Nic dziwnego, nie była bowiem Żydówką. Co więcej, jej ojciec w czasach Hitlera należał do komanda SS, które „oczyszczało” społeczeństwo z „elementu żydowskiego”...

## **„Czyszczenie” po enerdowsku**

Zanim wybuchła II wojna światowa, na terytorium przyszłej NRD mieszkało 85 tys. osób pochodzenia żydowskiego. Po wojnie, w spisie ludności z 1946 roku, doliczono się ledwie 4500 Żydów i kilku tysięcy osób pochodzenia żydowskiego, które nie były jednak wierzące.

Mimo to już w pierwszych miesiącach od powstania NRD na terenach radzieckiej strefy okupacyjnej, w Biurze Politycznym SED, słychać było głosy antysemickie. Zaczęły się ciche akcje usuwania Żydów z centralnych organów partii. W Saksonii zaznaczano w aktach żydowskie pochodzenie członków SED. Po cichu „oczyszczano” też z żydowskiej inteligencji media. Żydów zaczęto rejestrować

na specjalnych kartach, a w lipcu 1952 roku wszystkie prywatne dobra żydowskie zostały znacjonalizowane.

Kiedy na dodatek doszło do antysemitycznego „procesu Slansky’ego” w Pradze w 1952 roku, ponad czterystu Żydów uciekło przed represjami na Zachód. Pamiętali o losie Ericha Nehlhansa, pierwszego prezydenta gminy żydowskiej w Berlinie. W 1948 roku został on uwięziony i skazany za rzekomą dezercję na 25 lat robót przymusowych.

Tak oto socjalistyczna NRD traktowała swoich obywateli żydowskiego pochodzenia. I w tych warunkach zaczęła się kariera Karin Mylius...

### **Legenda „żydowskiej sieroty”**

Emilie i Paul Löbel sprowadzili się z czteroletnią córeczką Karin z Münster do Halle w 1938 roku. Ojciec zaczął pracować w policji. W 1941 roku zgłosił się ochotniczo do SS i pomagał w eksterminacji Żydów w Europie Wschodniej.

Jednak po wojnie rodzina Löblów uzyskała wygodny status „ofiara faszyzmu”. Mogła dzięki niemu otrzymać w Halle mieszkanie, i to w siedzibie gminy żydowskiej. Dawny członek SS został dozorcą majątku Żydów!

Karin Löbel postawiła po raz pierwszy stopę w biurze gminy żydowskiej zapewne w latach 50. Podjęła tam pracę jako sekretarka. Przewodniczącym był wówczas Hermann Baden, 40 lat starszy od Karin. Atrakcyjna dziewczyna, brunetka o ostrych rysach, nie musiała się specjalnie wysilać, by zostać jego kochanką.

Dlaczego w ogóle tam przyszła? Nie wiadomo. Jedno jest pewne: Karin do końca życia była związana z żydowską gminą i długi czas odgrywała w niej wielką rolę, mimo że nie miała ani żydowskiego pochodzenia, ani pojęcia o tradycjach i zwyczajach. Co więcej – jak wyjaśnia historyk z Halle dr Frank Hirschinger – nie była nawet konwertytką! Kiedy główny rabin z Berlina chciał ją oficjalnie włączyć do żydowskiej społeczności, Karin zapewniała, że zawsze była wyznania mojżeszowego.

Dziewczyna uparcie przekonywała, że jej prawdziwe nazwisko

brzmiało Morgenstern. Wspominała, jak podczas „nocy kryształowej” w listopadzie 1938 roku hitlerowcy zastrzelili jej rodzeństwo i rodziców. „Ona sama miała zostać adoptowana przez antyfaszystowskie małżeństwo: policjanta Paula Löbla i jego żonę. Przyznawała, że dopiero dużo później dotarła do swoich żydowskich korzeni” – opowiada Hirschinger. Jego zdaniem przypadek Karin był przykładem na bezwzględną kontrolę, jaką sprawowała w państwie jedynie słuszna partia. Komunistyczne NRD odżegnywało się od nazizmu i Holokaustu, a żydowskie gminy wykorzystywało, by propagować swoje „antyfaszystowskie” oblicze. Wieści miały iść w świat. Oczywiście aparat SED wcale nie zufała członkom żydowskiej wspólnoty. Dlatego umieszczał tam szpicli Stasi. Z drugiej strony NRD (podobnie jak inne państwa Układu Warszawskiego) prowadziła antysyjonistyczną politykę, dla której wsparcie każdego prominentnego obywatela o żydowskich korzeniach było cenne.

### **Sfałszowana biografia**

W książce Franka Hirschingera *Fałszowanie i instrumentalizowanie antyfaszystowskich biografii* znajdują się dokumenty, które potwierdzają, że Mylius była hochsztaplerką, działającą dla energdowskiej Staatssicherheitsdienst. Nie jest pewne, czy należała do SED, ale z pewnością pozwalała się „używać” partyjnemu aparatowi.

Już na początku lat 60. agent Stasi Max Abramowitz – dawny więzień obozów koncentracyjnych, członek gminy żydowskiej – donosił o sfałszowanej biografii Karin Mylius. Od 1954 roku był on na usługach Ministerstwa Bezpieczeństwa NRD. Według Hirschingera – jako Żyd i agent – zajął się rozpracowywaniem rodzinnej historii Mylius. Jego odkrycia okazały się szokujące. W 1962 roku donosił: „Jest córką Paula Löbla. (...) Brał on udział w wyrzucaniu żydowskich rodzin z ich mieszkań. Rodzona córka odgrywała zaś później rolę prześladowanej Żydówki.”.

Zastanawiano się, czy jej żydowska tożsamość miała być ochroną dla grzechów ojca? A może to przykład patologicznego filosemityzmu? Tak czy inaczej, mimo że Abramowitz wielokrotnie informował władze



o swoich podejrzaniach, te milczały. Nie podjęły żadnych kroków. Mylius mogła się bowiem przydać tajnym służbom w razie antypaństwowego wrzenia wewnątrz gminy żydowskiej. Tym bardziej że nie było wierniejszej wyznawczyni linii ideologicznej SED niż Karin. Poza może jej mężem, orientalistą Klausem Myliusem, profesorem marksizmu-leninizmu na uniwersytecie w Lipsku.

Żyd z Halle Max Schwab, emerytowany profesor geologii, pamięta „rządy” Karin. Nie lubił jej. Zwłaszcza kiedy poślubiła Klause Myliusa, oddanego komunistę. Max Schwab wycofał się z życia gminy żydowskiej. Wspominał, że odkąd Mylius została przewodniczącą, nie było żadnego powodu, by brać udział w nabożeństwach. „Pani Mylius robiła przedstawienie. Utrzymywanie żydowskich gmin w NRD było sprawą propagandową” – uważa Schwab. A Mylius z pewnością oszukiwała, ponieważ swoimi „kanałami” w RFN drezdeński historyk żydowskiego pochodzenia Helmut Eschwege zdobył świadectwo chrztu Karin Mylius z Münster. Napisano tam czarno na białym, że Paul i Emilie Löbel są rodzonymi rodzicami Karin, a chrzest przyjęła w kościele ewangelickim!

Frank Hirschinger zastanawia się nad powodami postępowania hochsztaplerki: „Może przez wykalkulowane oszustwo usiłowała uzyskać uwagę, władzę, wpływy? Zaprzecza jednak temu fakt, że nie zaproponowała przemyślanej wersji swojej przeszłości. Osobiście wskazywałbym bardziej na problemy psychiczne”. Działania Karin Mylius potwierdzałyby tę opinię. Raz mówiła, że wojnę spędziła w Moskwie, innym razem, że ukrywała się w klasztorze. Kiedy w połowie lat 70. zmarł jej ojciec, pochowała go na cmentarzu żydowskim w Halle zgodnie z rytuałami pochówku żydowskiego. Na nagrobku znalazła się gwiazda Dawida. Cztery lata później pochowała tam także matkę. Dla religijnych Żydów takie wydarzenia i tacy „goście” na cmentarzu to naruszenie godności i czci współwyznawców. Mylius coraz częściej prowadziła nabożeństwa w samowolnie używanych szatach rabinackich. Jednocześnie bez sentymentów pozbywała się przedmiotów kultu i zabytków „swojej” gminy.

## **Kompleksy i medale**

Karin uważała się za ofiarę antysemityzmu i chętnie przyjmowała postawę męczennicy za sprawę żydowską. Opowiadała o antysemickich napaściach na syna, przez które wysłała go do szkoły na Węgrzech. Innym razem wspólnie z Abramowitzem odkryła na swoich drzwiach swastykę, narysowaną kredą. Szpieg Stasi odprowadził ją do pokoju. Bawiła się tam jej 8-letnia córka Gloria. Zza telewizora wyciągnęła szkolną kredę i powiedziała, że to taka jak ta na drzwiach. Abramowitz skrętnie odnotował, że Karin nie była przygotowana na taką sytuację.

W połowie lat 70. jakoby podłożono ogień w mieszkaniu Mylius. Jednak lekarz stwierdził na ciele Karin oparzenia, mogące pochodzić od papierosów lub od świec. Były i inne „zamachy”, również z użyciem chemikaliów. Tym „atakami” i zatruciu przypisywano nawet chorobę nowotworową Karin. Ostatecznie lekarz stwierdził, że były to samouszkodzenia, które miały uchodzić za napaści. Karin chodziło o „uzyskanie współczucia, zademonstrowanie politycznego lub religijnego cierpienia albo psychiczno-seksualne kompleksy”.

Organy ścigania uznały, że to sama Mylius stoi za rzekomymi antysemickimi wybrykami, jednak i to nie przeszkodziło jej w sprawowaniu funkcji. Stasi pozwalało hochsztaplerce działać dalej. W końcu trudno było o lepszą dla SED przewodniczącą żydowskiej społeczności. Politykę Izraela nazywała bowiem imperialistyczną, a konflikt bliskowschodni wyrazem walki klasowej. Karin Mylius – jako jedna z nielicznych przedstawicieli Żydów z NRD wysyłana na spotkania zagraniczne – zawsze wypowiadała się zgodnie z wytycznymi partii. Konflikt izraelsko-arabski radziła rozwiązać za pomocą marksizmu-leninizmu. Przekonywała do propagowania tej ideologii we wszystkich gminach żydowskich. Nawet tragedia Holokaustu była – jej zdaniem – wyolbrzymiona. W NRD obowiązywała bowiem wersja, że hitlerowcy walczyli przede wszystkim z socjalizmem i byli narzędziem kapitalistów. Żydzi nie mogli więc ponieść większych strat niż komuniści...

I tak w 1979 roku Mylius otrzymała pierwszy medal za zasługi, w roku 1984 kolejny. Następnie została radną miejską.

Karin stała już na czele gminy żydowskiej w Halle, kiedy jej biografią zainteresowała się Gudrun Goeseke, orientalistka i badaczka

prześladowań antyżydowskich. W 1978 roku odkryła w piwnicy siedziby gminy porzucone akta, dokumenty i listy z nazwiskami Żydów wywożonych do obozów śmierci – i to przypieczętowało początek końca Mylius. Choć Karin twierdziła, że to „stare rupiecie” i „kto by się tym interesował, przecież oni wszyscy są martwi”, Goeseke zajęła się porządkowaniem dokumentów. Wkrótce mogła udowodnić, że Mylius nie była adoptowanym dzieckiem żydowskich rodziców, lecz rodzoną córką urzędnika policji z Münster. A także pokazać, że jako przewodnicząca gminy skoncentrowała się na osobistych finansowych korzyściach, podczas gdy życie gminy zanikało.

Goeseke rozesłała te informacje do innych gmin żydowskich w Niemczech. W połowie lat 80. trafiły także do USA i Izraela. SED nie miała wyjścia i musiała podjąć kroki wobec znanej sobie uzurpatorki.

Mylius konsekwentnie zaprzeczała faktom, uznając je za „reakcyjny spisek”. Na wieść o pojawieniu się oryginału dokumentu jej chrztu zarzuciła oponentom fałszerstwo. Groziła też samobójstwem. Kiedy w USA pojawił się artykuł o aferze Karin Mylius, we wrześniu 1986 roku szef Związku Gmin Żydowskich w NRD Helmut Aris odsunął ją ze stanowiska. Biuro w Halle opieczętował, poinformował też o oszustwie przewodniczącej.

Mylius próbowała jeszcze walczyć. Zerwała pieczęcie, nie chciała oddać stanowiska. Zrobiła to jednak z przyczyn zdrowotnych – była chora na raka. Po 18 latach od niemal samozwańczego przybrania symboli rabinackich, Mylius zgodziła się oficjalnie zakończyć swoją karierę z dniem 1 stycznia 1987 roku. Nie dała jednak nikomu satysfakcji przeżycia swojego upadku. 13 grudnia 1986 roku zmarła w wieku 52 lat.

### **To jeszcze nie koniec**

Mimo śmierci Karin nie ustępował jej mąż. Wdowiec Klaus Mylius nie chciał opuścić mieszkania służbowego w siedzibie gminy żydowskiej i toczył o nie boje do 1990 roku. Wytoczył też Gudrun Goeseke proces o zniesławienie. Zresztą już cztery lata wcześniej proponował na spotkaniu władz lokalnych, by ją „wsadzić na 2 dni do więzienia, to się uspokoi”. Goeseke była pod obserwacją Stasi. Nie znaleziono

jednak podstaw, by oskarżyć ją o malowanie swastyk na budynku gminy czy wrzucenie bomby do mieszkania Myliusów, co „poszkodowani” sugerowali. Trudno uwierzyć, ale Klaus Mylius kontynuował swoje oskarżenia w sądzie już zjednoczonych Niemiec. Postępowanie zakończyło się w listopadzie 1992 roku ugodą, na którą Goeseke (rocznik 1926) zgodziła się, ponieważ ze względów finansowych nie mogła już dalej się procesować.

Ale to właśnie Gudrun Goeseke odkryła, że SED kontrolowała pracę gminy żydowskiej w Halle. Wyszło też na jaw, że Mylius manipulowała listą członków gminy, by otrzymywać większe dotacje (dbając o swój wizerunek za granicą, władze NRD wspierały gminy finansowo, ale i – jak widać – mieszały się do ich działalności). Okazało się również, że zaginęło wiele zabytków z 300-letniej historii gminy.

Jak wspomina Max Schwab, za rządów Karin Mylius halleńska gmina żydowska znajdowała się w opłakanym stanie i liczyła jedynie 7 członków. Potem było nawet gorzej. Kiedy po śmierci Mylius przymierzano się do wyboru nowego przewodniczącego, okazało się, że gmina nie ma ani jednego członka! Mylius po prostu ją zniszczyła. Jak mówi dawny członek gminy w Halle, wśród władz NRD zrodził się wtedy pomysł, aby ją uzupełnić kadrami partyjnymi SED...

Po upadku komunizmu zarząd centralny gmin żydowskich uzyskał kolejne informacje w Instytucie Gaucka na temat współpracy Karin Mylius ze Stasi. Wiadomo dziś, że szpiegowała i denuncjowała Żydów jako „ekstremistów-syjonistów”. Zajęto się też szczątkami rodziców Mylius, pochowanych bezprawnie na cmentarzu żydowskim. Zostały ekshumowane i przeniesione na cmentarz komunalny.

Dziś, 20 lat po upadku muru, w Halle mieszka około 500 Żydów. To jednak imigranci z dawnego Związku Radzieckiego, którzy przybyli tu po zjednoczeniu Niemiec. Dzięki nim gmina żydowska w Halle odrodziła się. Zorganizowała niezwykłą wystawę „Tego u nas nie było”, poświęconą antsemityzmowi w NRD. Pokazano również wielki skandal z Karin Mylius w roli głównej oraz badania historyka dr. Franka Hirschingera.

Jest też nieoczekiwany ciąg dalszy tej historii. Obecnie funkcjonują w Halle dwie gminy żydowskie: dla starej i dla nowej społeczności. Ta druga, Synagogegemeinde, szukała nowego kantora, mającego

prować nabożeństwa. I któż zaproponował jej swoje umiejętności? Frank Mylius, syn Karin. W młodości miał w Halle paść ofiarą antysemickiego napadu. Szefowa gminy zdecydowała więc, by wysłać go do seminarium rabinackiego w Budapeszcie. Wkrótce musiał je opuścić z powodu dokonywania licznych kradzieży w bibliotece. Mimo to, szkolony w śpiewie w Budapeszcie, został kantorem w USA i Izraelu. Teraz – o ironio! – postanowił wrócić do miejsca, które jego matka próbowała zniszczyć...

**Beata Dżon**

Dziennikarka i tłumaczka. Publikowała m.in. w „Przeglądzie” i „Gazecie Wyborczej”.  
Współpracuje z TVP. Specjalizuje się w tematyce niemieckiej.

# Szyfranci na wojennej ścieżce

Podczas II wojny światowej Amerykanie wykorzystywali narzecza Indian do kodowania wojskowych rozkazów. Niemcy i Japończycy mogli tylko bezradnie rozkładać ręce.

autor **Marek Kryda**

**P**od koniec I wojny światowej na froncie francuskim czternastu Indian Czoktawów (ang. Choctaw) z amerykańskiej 36. Dywizji miało pełne ręce roboty, choć jedynym ich zadaniem było rozmawianie przez telefon w ich własnym języku. Do tej pory niemieccy kryptolodzy łamali wszelkie kody armii amerykańskiej, ale szyfru indiańskiego nie udało się im nigdy zrozumieć, mimo że przechwycili jedną czwartą amerykańskich meldunków. „Etniczny” system kodowania okazał się skuteczniejszy niż skomplikowane maszyny szyfrujące. Dzięki niemu Amerykanie zwyciężyli w kilku decydujących bitwach w ofensywie Meuse-Argonne we Francji w końcowej fazie I wojny światowej.

## Głuchy telefon

Jest 12 września 1918 roku, na froncie zachodnim rusza kolejna ofensywa wojsk Ententy, w której skład wchodzi Amerykańskie Siły Ekspedycyjne gen. Johna Pershinga. To największa od czasów wojny secesyjnej amerykańska operacja militarna. Miesiąc później sytuacja 36. Dywizji walczącej w rejonie Argonne bardzo się komplikuje. Wspierani przez czołgi francuskiej 4. Armii, ale częściowo okrążeni żołnierze amerykańscy ponoszą ciężkie straty i z trudem wypierają Niemców. Nastroje w sztabie dywizji są minorowe, kiedy okazuje się, że nie dość, że Niemcy złamali amerykańskie szyfry radiowe, to jeszcze zainstalowali podsłuchy na niemal każdej linii telefonicznej wojsk amerykańskich. Dowódca jednego z pułków dywizji płk Alfred

W. Bloor raportował: „W celu określenia skali podsłuchów rozpuściliśmy pogłoski o tym, że nasza dywizja posiada bazę zaopatrzenia w miejscu o zmyślonych współrzędnych. Już po 30 minutach rozpoczął się ostrzał tego punktu przez przeciwnika. W taki sposób uzyskaliśmy pewność, że nieprzyjaciel wie zbyt wiele”. Gdy podwładny płk. Bloora kpt. Lawrence przygnębiony sytuacją wracał z narady sztabu do swojej kompanii, w pewnej chwili do jego uszu dobiegły dziwne głosy. Usłyszał rozmowę dwóch żołnierzy ze swojej jednostki, ale nic nie rozumiał. Kapral Solomon Lewis i starszy szeregowy Mitchell Bobb posługiwali się narzeczem Indian Czoktawów z Oklahomy. Okazało się, że tylko w tej jednej jednostce aż 8 żołnierzy płynnie posługiwało się językiem tego plemienia. Wtedy kapitan już wiedział, że szansą na zmianę losów bitwy pod Argonne może być wykorzystanie Indian do komunikowania się jednostek amerykańskich. Podejrzewał, że ich narzecze będzie szyfrem nie do złamania, gdyż potomkowie Czoktawów mogli mówić 26 dialektami, z których 23 nigdy nie zapisano i istniały jedynie w formie ustnej. W szeregach wojsk niemieckich nie było nikogo, znającego mowę Czoktawów. 26 października „szyfrujący Indianie” po raz pierwszy przekazali pododdziałom rozkaz ataku, który całkowicie zaskoczył Niemców. W ciągu 24 godzin szala zwycięstwa przechyliła się na stronę Amerykanów, którzy w ciągu pół godziny wzięli 500 niemieckich jeńców, wśród nich nawet jednego generała. Ten wysokiej rangi oficer zaraz po pojmaniu miał tylko jedno pytanie: „Jakiej narodowości od wczoraj są wasi telefoniści?”. Był to niezbity dowód na skuteczność niemieckich podsłuchów, lecz także ich bezradność wobec „indiańskiego szyfru”. Generał otrzymał lakoniczną odpowiedź: „To są tylko Amerykanie”.

Po pierwszym sukcesie Czoktawowie zostali rozmieszczeni w poszczególnych sztabach kompanii, gdzie zajęli się przekładaniem na swój język wszystkich przekazywanych telefonicznie i przez łączników meldunków i rozkazów. Ich pobratymcy w pozostałych jednostkach tłumaczyli te meldunki ponownie na język angielski. Dzięki zwycięstwom pod Argonne 1 listopada 1918 roku ofensywa amerykańska ruszyła dalej. Sześć dni później dotarła do Sedanu i umożliwiła zajęcie miasta oddziałom francuskim. Początkowo dla US

Army problemem był brak wielu potrzebnych słów w języku Indian, ale szybko go rozwiązano, tworząc neologizmy. I tak oto karabin maszynowy stał się indiańskim „małym działem szybkostrzelnym”, artyleria „wielkim działem”, a bataliony „ziarnami kukurydzy”.

### **SZYFR CZOKTAWÓW**

pułk: plemię

kompania: łuk

1. batalion: jedno ziarno kukurydzy

2. batalion: dwa ziarna kukurydzy

pluton: rzemień

racje żywnościowe: jedzenie

gaz bojowy: złe powietrze

karabin maszynowy: małe działo szybki strzał

artyleria: wielkie działo

amunicja: strzały

granaty: kamienie

patrol: wielu wojowników

ofiary: skalpy

atak: walka

Żyjący w XIX wieku wódz Czoktawów Puszmataha przepowiadał, że „okrzyk bojowy Czoktawów będzie słyszany w odległych krajach”. Czy Puszmataha zdawał sobie sprawę, jak bardzo trafna będzie jego przepowiednia? Podczas I wojny światowej w armii amerykańskiej służyło ponad 10 tys. Indian. Zgłosili się na ochotnika, choć aż do 1924 roku nie mieli nawet praw obywatelskich. W czasie I wojny światowej zakazano używania języka Czoktawów w szkołach w Oklahomie, być może ze względu na klauzulę tajności, jaką otrzymał ich język, tak ważny dla US Army.

### **Góra Babel**

Po zakończeniu I wojny światowej Niemcy i Japończycy zaczęli wysyłać swoich przedstawicieli do USA, by studiowali kulturę i język Indian. Wzbudziło to obawy Amerykanów, że ponowne użycie języka Czoktawów w wojnie może zostać rozpracowane. Rozpoczęto więc rekrutację członków innych indiańskich plemion: Nawahów, Mohawków, Hopi, Seminoli, Kiowów, Czeroki, Winnebagów, Siuksów



(Dakota i Lakota), Komanczów i innych. Ostatecznie największa rola przypadła Nawahom, ponieważ była to jedyna duża grupa Indian północnoamerykańskich niebadana przez europejskich lingwistów.

Niepokój Amerykanów wzbudzał dr Friedrich Einbar, wybitny niemiecki antropolog, który prowadził badania wśród Apaczów w 1911 roku – nie było pewności, czy badacz nie zebrał również materiałów dotyczących języka Nawahów. Utrzymywane w najściślejszej tajemnicy prace nad przygotowaniem etnicznego szyfru na potrzeby przyszłej wojny były osobiście nadzorowane przez prezydenta Roosevelta. Zlecił on nawet US Army zbadanie, czy bliźniacy mają swój własny język i czy mogliby pracować jako szyfranci.

Również Hitler doceniał znaczenie indiańskich szyfrantów w I wojnie światowej. Zresztą Führer od dziecka fascynował się kulturą Indian – podczas nauki szkolnej ukradkiem czytywał na lekcjach powieści Karola Maya o Winnetou. Później wracał do nich wielokrotnie – gdy został kanclerzem, w swym gabinecie miał półkę, na której eksponował oprawione w skórę książki Maya. Był przekonany, że jest mistrzem strategii wojskowej właśnie dzięki tym lekturom – rekomendował je nawet swoim generałom sztabowym. Jeszcze przed atakiem na Polskę w 1939 roku wysłał do USA grupę niemieckich antropologów z zadaniem nauczenia się jak najwięcej języków indiańskich. Okazało się to jednak zbyt trudne – narzecza indiańskie, często nieistniejące w formie literackiej, były bardzo liczne i zbyt skomplikowane... Władze amerykańskie, widząc gorączkowe próby Niemców, ostatecznie zdecydowały się użyć indiańskich szyfrantów w czasie II wojny światowej jedynie podczas działań przeciwko Japonii. Podczas walk w Europie tylko 14 Komanczów pełniło służbę w czerwcu 1944 roku w czasie lądowania w Normandii na plażach „Omaha” i „Utah”. Niewielu Mohawków służyło także w 3. Armii gen. Pattona podczas zdobywania Paryża i walk we Flandrii.

Nie tylko Indianie służyli jako szyfranci. Podczas II wojny Amerykanie – w krajach, w których nie było Basków – wykorzystali do szyfrowania język baskijski. Obecnie włada nim tylko ok. miliona osób, nie jest spokrewniony z żadnym z języków indoeuropejskich, a ponadto ma aż 10 dialektów. Na taki pomysł wpadł kpt. Frank D. Carranza, obliczywszy, że w amerykańskiej piechocie morskiej służy

60 Basków. Jednak jego dowódcy byli sceptyczni, ponieważ w odróżnieniu od plemion indiańskich Baskowie byli rozsiani po świecie – osiedlili się i na Filipinach, i w Chinach, a w samej Hiroszynie mieszkało aż 35 baskijskich jezuitów. W konsekwencji zatrudniono Basków w USA i w Australii. Z ich pomocą przesyłano rozkazy do admirała Nimitza poprzedzające inwazję na Wyspach Salomona na Pacyfiku. Brytyjczycy również mieli etnicznych szyfrantów podczas II wojny światowej – Walijszyków, których użyto także na niewielką skalę podczas misji pokojowych na Bałkanach pod koniec XX w.

### **Nawahowie w akcji**

Podczas II wojny światowej Amerykanie postawili na szyfrantów z plemienia Nawahów. Pomysłodawcą był Philip Johnston, syn misjonarza pracującego wśród Indian, wychowany w rezerwacie weteran I wojny światowej, który znał Nawaho i wiedział, jaką rolę odegrali Czoktawowie 20 lat wcześniej. Okazało się, że język Nawahów szczególnie nadawał się do szyfrowania wiadomości, ponieważ poza rezerwatami był nieznan. Nie istniał w formie pisanej i na dodatek jego wymowa była tak skomplikowana, że w pełni mogło go opanować wyłącznie dziecko. Jeśli ktoś nauczył się języka Nawahów w starszym wieku, to w porównaniu z osobą, która mówiła nim od dziecka, różnice w wymowie były znaczące. Na początku wojny – według rozeznania armii amerykańskiej – tylko 30 nie-Nawahów (w tym ani jeden Japończyk) znało ten język. W maju 1942 roku 29 pierwszych Nawahów rozpoczęło supertajny trening szyfrantów US Marines. Na początek mieli nauczyć się błyskawicznego przekładu 211 angielskich najczęściej używanych w łączności wojskowej słów. Do końca wojny taki trening przeszło prawie 400 Indian tego plemienia i jeden nie-Indianin. Służyli oni we wszystkich sześciu dywizjach Marines. W czasie wojny na Pacyfiku przekazywali zaszyfrowane meldunki i rozkazy, zwłaszcza te dotyczące ataków lotnictwa USA na pozycje japońskie. Japończycy nigdy nie rozszyfrowali kodu Nawahów, choć byli bardzo blisko. W 1942 roku wzięli do niewoli sierżanta z tego plemienia – Joego Kieyoomia.

Torturami próbowali zmusić go do odczytania amerykańskich depech, ale bez skutku – akurat on nie przeszedł szkolenia dla szyfrantów, a sama znajomość języka nie wystarczała.

Nawahowie odegrali szczególną rolę podczas zdobywania wyspy Iwo-jima na Pacyfiku. Miała ona kluczowe znaczenie jako zaplecze dla lądowania wojsk amerykańskich na Wyspach Japońskich. Dowództwo Armii Cesarskiej uważało tę wulkaniczną wyspę za twierdzę nie do zdobycia. Podstawą jej obrony było lotnictwo – umieszczono tu dwa strategiczne lotniska, na których stacjonowała flotylla powietrzna pod dowództwem kontradm. Ichimaru. Na górującym nad wyspą wulkanie Suribachi znajdowały się doborowe oddziały artyleryjskie. W sumie Iwo-jimy bronił 22-tysięczny garnizon, a pod ziemią wykopano 20-kilometrową sieć tuneli, którymi można było dostarczać zaopatrzenie w warunkach długotrwałego oblężenia.

Od grudnia 1944 roku amerykańskie lotnictwo systematycznie bombardowało, a marynarka ostrzeliwała wyspę. Jednak morale żołnierzy japońskich było niewzruszone.

W lutym 1945 roku dywizje Marines przy wsparciu lotnictwa i armady okrętów były gotowe do ataku. Inwazją dowodził wiceadm. Turner, który miał pod swoją komendą 495 okrętów, w tym: 14 pancerników, 22 krążowniki i 117 niszczycieli. Desant wspomagały 22 lotniskowce. Wojska lądowe oddano pod rozkazy gen. Hollanda Smitha, który dowodził 5. Korpusem US Marines.

---

Szyfranci z plemienia Nawahów byli tak skuteczni, że podjęto decyzję przydzielenia niektórym z nich „ochrony”, która miała zastrzelić podopiecznego, gdyby dostał się w ręce nieprzyjaciela.

---

W pochmurny poranek 19 lutego po trzydniowych bombardowaniach i ostrzale morskim w ciągu niespełna godziny na plażach wyspy wylądowało 30 tys. żołnierzy. Admirał Chester W. Nimitz uważał, że przy tak ogromnych siłach zdobycie wyspy

będzie dla Marines „czterodniową przechadzką”. Tymczasem ich straty w ciągu 48 godzin od lądowania były ogromne: zginęło 3,6 tys. żołnierzy, a 10 godzin później liczba zabitych osiągnęła 5372. Na plażach Iwo-jimy rozegrała się krwawa bitwa, w której Amerykanie użyli czołgów typu Sherman i artylerii wszelkich typów (w tym 360 dział kalibru powyżej 75 mm), miotaczy ognia, a nawet wyrzutni rakietowych. Słynna fotografia korespondenta wojennego Joe Rosenthala przedstawiająca zatknięcie amerykańskiej flagi na szczycie Suribachi w piątym dniu walk o wyspę stała się z czasem jednym z najważniejszych symboli II wojny światowej, przyniosła Rosenthalowi Nagrodę Pulitzera, a później obiegała świat i została uznana za najczęściej reprodukowane zdjęcie w dziejach. Na fotografii znajduje się 6 żołnierzy, wśród nich Indianin z plemienia Pima – Ira Hays, który był spadochroniarzem Marines.

Dowódca sekcji szyfrów amerykańskiej piechoty morskiej na Iwo-jimie mjr Howard Connor w pierwszych dniach bitwy dowodził 6 Indianami Nawaho, którzy pracowali 24 godziny na dobę. Tych 6 szyfrantów było w stanie bezbłędnie wysłać i odebrać ponad 800 rozkazów i meldunków. Connor napisał we wspomnieniach: „Bez Nawahów nasi Marines nigdy by nie zdobyli Iwo-jimy”. W sumie walki trwały aż 5 tygodni. Iwo-jima stała się grobem 7 tys. żołnierzy amerykańskich i 20 tys. japońskich. 19 tys. Amerykanów odniosło rany podczas walk, do niewoli trafiło tylko 216 Japończyków.

### **Ochrona do grobowej deski**

Szef japońskiego wywiadu gen. Seizo Arisue już po wojnie przyznał, że japońscy kryptolodzy nigdy nie złamali szyfru Nawahów US Marines, co udało się w przypadku kodów amerykańskich wojsk lądowych i lotnictwa. Szyfranci Nawahów byli tak skuteczni, że podjęto decyzję przydzielenia niektórym z nich „ochrony”, która miała zastrzelić podopiecznego, gdyby dostał się do niewoli. Nawahowie byli też czasem brani przez amerykańskich żołnierzy za Japończyków; wielu Indian cudem uniknęło śmierci. Szyfranci Nawahów służyli później także podczas wojny koreańskiej i w początkowej fazie wojny wietnamskiej.

Indiańscy szyfranci podobnie jak polscy kryptolodzy, którzy złamali kody Enigmy, musieli czekać dziesiątki lat na uznanie swego wkładu w zwycięstwo nad Niemcami i Japonią. Rząd amerykański zdecydował się na ujawnienie działalności indiańskich i baskijskich szyfrantów dopiero w 1968 roku, czyli 23 lata po zakończeniu wojny. Dla Nawahów oficjalne, pełne uznanie przyszło jednak jeszcze później, bo dopiero w lipcu 2001 roku, gdy w Białym Domu na spotkaniu z indiańskimi weteranami prezydent George W. Bush powiedział: „Dziś Ameryka oddaje cześć 21 rdzennym Amerykanom, którzy w godzinie próby wykonali dla swego kraju służbę, którą tylko oni mogli wykonać. W warunkach wojennych, używając swego własnego języka, przekazywali tajne wiadomości, które zmieniały losy bitew. W swych domach przez dziesiątki lat skrywali oni tajemnice własnego heroizmu. Dziś właśnie oddajemy tym niezwykłym Marines hołd, na który zasłużyli już przed tylu laty. (...) Na czynnej służbie ich znaczenie było tak duże, a zadania tak delikatne, że byli pod szczególną ochroną. Pod koniec wojny prawie 400 Nawahów służyło jako szyfranci. Trzynastu z nich zginęło i ich nazwiska widnieją dziś na tablicy pamiątkowej”.

**Marek Kryda**

Dziennikarz „Archeologii Żywej”.

Copyright for the Polish edition © 2011 G+J

Korekta: Jadwiga Piller

Projekt graficzny okładki: Paweł Rafa

Zdjęcia na I stronie okładki: Corbis/FotoChannels, KRT Photos

Redakcja techniczna: Mariusz Teler

Projekt i skład: IT WORKS, Warszawa

Redaktor prowadzący: Agnieszka Radzikowska

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie, w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Wydanie I elektroniczne

ISBN 978-837-778-089-3

Gruner + Jahr Polska Sp. z o.o. & Co. Spółka Komandytowa.

ul. Marynarska 15, 02-674 Warszawa

Dział handlowy: tel. 22 360 38 41-42

Konwersja i edycja publikacji

